

TUSK CORAZ BARDZIEJ SAM

SZCZERA ROZMOWA NAJSZTUBA
Z PREMIEREM TUSKIEM

>20

PRZE KROJ

NR 1/3367 / 5 STYCZNIA 2010 / CENA 4,95 ZŁ
ZAWSZE WE WTOREK



022150

77

RZECZY,
DLA
KTÓRYCH
WARTO ŻYĆ
W ROKU
2010

>10

TWÓJ MÓZG
GRZESZY,
A TY IDZIESZ
DO WIĘZIENIA

>38

JERZY PILCH
PISZE
DZIENNIK
- TYLKO
U NAS!

>74

INDEKS 371424



Ako. 75/2011

rys. Piotr Młodożeniec

Neckermann

...to udany urlop!

Przedłużamy Gwiazdkę!

Wybierz prezenty dla siebie

Wakacje już
od 157 zł

Zniżki
do 30%

4 noclegi
gratis

Super ceny
dla dzieci

Oferty dla
singli

Tylko
w styczniu
!!!

Dodatkowa
zniżka do 250 zł
w wybranych hotelach
w Turcji, Tunezji, Egipcie i Grecji

www.neckermann.pl

NA
POCZĄTEK

RACZKOWSKI

NARYSOWAŁ MAREK RACZKOWSKI



W TYM TYGODNIU NIE PISZEMY...

...o zakupach kompulsywnych, czyli znanej niemal wszystkim sytuacji, w której człowiek nie potrafi się powstrzymać od danego zakupu, choćby nawet wiedział, że jest to zakup nierozsądny – jedni robią to potajemnie, a inni wprost. Bo, niestety, nie znamy na to rady, być może lekarstw staje się dopiero brak roztrwonionych pieniędzy.

...o Władysławie Frasyniuku, który zdecydował się porzucić Partię Demokratyczną (jak słusznie zauważył: „Politycznie ta partia już praktycznie nie istnieje”) i postanowił pozapartyjnie wesprzeć Andrzeja Olechowskiego w jego staraniach o fotel prezydenta. Bo nie pierwsza i pewnie

nie ostatnia to legenda, która ma piękny początek, ale końcówkę beznadziejną.

...o fantastycznej okazji, żeby zdobyć 10 milionów złotych. Bo pomijając już to, że nie jesteśmy jedną z instytucji uprawnionych do złożenia projektu w konkursie ogłoszonym przez Kancelarię Prezesa Rady Ministrów, musielibyśmy najpierw pojąć temat tegoż konkursu: „Budowanie mechanizmów dla uprawiania polityki publicznych »w oparciu o dowody« (ang. evidence-based policy). Tworzenie instytucjonalnych warunków do uruchamiania pilotaży i eksperymentalnych wdrożeń”. Uwaga! Prosimy nie nadsyłać rozwiązań. Redakcja nie

przewidziała żadnych nagród dla tych, którzy to rozumieją.

...o groźbach sformułowanych przez kandydata na prezydenta Tomasza Nałęcza – zapytany, jaki ma pomysł na swoją kampanię wyborczą, odrzekł: „Chcę jak najczęściej jeździć po Polsce i rozmawiać z ludźmi. Zamierzam też publikować”. Bo nie ma czym się przejmować – to są groźby niekaralne i nieskuteczne. Gdyby miał na przykład skontrolować egzaminatorów szkół jazdy, mógłby odpowiedzieć tak samo.

...o Andrzeju Lepperze, który zapewnił telewidzów: „Rodzina jest zdrowa, utrzymaliśmy strukturę partii i wzmocniłem się duchowo”. Bo nam to wystarczy, a Wam?

PRZE KROJ

PRZED W SZYSTKIM

- 4 | **Komentarze**
Rafała Kostrzyńskiego
i Pawła Moskałowicza
- 6 | **Kawa bez cukru**
Bogdana Rymanowskiego
- 8 | **Krótko**

KRAJ I ŚWIAT

- 10 | **Kultura, polityka, sport**
– wydarzenia 2010 roku,
na które czekamy

SYLWETKA

- 20 | **Najsztab pyta premiera Donalda Tuska**, dlaczego zaczął wolniej mówić i czy narasta w nim strach
- 26 | **Sto lat temu urodził się Marian Eile**, dzięki któremu narodził się „Przekrój”
- 28 | **Arianna Huffington** walczy blogiem ze starymi mediami
- 31 | **Jerzy Szmajdziński** – kandydat przezroczysty
- 34 | **Lang Lang** zagra nam Chopina pięknie
- 36 | **Teczki osobowe** i Skok w bok Olgi Woźniak

CYWILIZACJA

- 38 | **Neuroprawo**: to nie ja zabiłem, to mój mózg!
- 43 | **Pluskwa milenijna** – kto nią straszył, kto na niej zarobił?
- 46 | **Korzystaj**

KULTURA

- 48 | **„Parnassus”** – wielki powrót Terry'ego Gilliana
- 52 | **Film**: „Głód” nasyci was ideami
- 54 | **Muzyka**: Małe Instrumenty, wielka muzyka
- 56 | **Książki**: Awangarda oswojona
- 58 | **Teatr**: Stendaperzy znad Wisły
- 59 | **Gry**: Mordować nie w grupie

LEKTURA

- 60 | **Zygmunt Bauman**: Ideologie mają się dziś znakomicie!

OTWÓRZ OCZY

- 64 | **Świetne ścinki Matisse'a** w końcu zebrane

ZAWSZE W „PRZEKROJU”

- 51 | **Czwarta strona kultury**
- 70 | **Rozmaitości** i Stopklatka
- 74 | **Dziennik Jerzego Pilcha** 6, 70, 72 | **Raczkowski**: Rysunki

LAST MINUTE

+ Krzysztof Płyta +

Nowy rok na ulicach:
wszędzie korki.



PiS truje Trójkę

Jak jest coś do zepsucia, zawsze można liczyć na kadry z zaplecza PiS

PAWEŁ MOSKALEWICZ

UMOWA TO UMOWA. DLATEGO MAGDALENIE JETHON, ODWOŁANEJ DYREKTOR radiowej Trójki, nie pomogły ani rekordowa słuchalność (8,1 procent w grupie słuchaczy między 25. a 45. rokiem życia), ani poparcie zespołu, ani nawet dobra opinia prezesa Polskiego Radia. PiS twardo zażądało zgodnego z umową podziału łupów. A ta stanowi, że w publicznym radiu lewica ma prezesa i dyrektora Jedynki, partii braci Kaczyńskich przypada Trójka. Dlatego odwołano Jethon, a na jej fotelu zasiadł Jacek Sobala.

Jethon nie miała łatwo. Dyrektorem została w atmosferze politycznej awantury, która rozgorzała po odwołaniu popieranego przez PiS Krzysztofa Skowrońskiego. Niemniej nowa dyrektor przekonała do siebie zarówno zespół (nie prowadziła czystek, nie pchała się na antenę), jak i słuchaczy. Powołany przez nich Komitet Przyjaciół Trójki zebrał ponad 600 tysięcy złotych na ratowanie misyjnych zadań tej anteny.

Jednak gdy karty rozdają politycy, takie fakty nie mają żadnego znaczenia. Fotel dyrektora Trójki zajął Jacek Sobala, po stać, której warto (choć bez przyjemności) poświęcić kilka zdań. Do publicznego radia trafił w 2006 roku, obejmując kierownictwo Radia BIS. Dość szybko zdewastował tę młodzieżową, alternatywną antenę, wyrzucając z pracy znanych dziennikarzy i likwidując popularne autorskie audycje. To wtedy raper Duże Pe spektakularnie zakończył współpracę ze stacją, rapując na antenie: „Szczerwany lis nasłany przez PiS zabiera nam BIS”.

Ponieważ dyrektor się sprawdził, pisowski zarząd radia powierzył mu odpowiedzialne zadanie pokierowania Jedynką, gdzie Sobala zasłynął pełną dyspozycyjnością wobec PiS, dyrektywami zakazującymi zapraszania do radia „agentów” oraz poruszania na antenie prywatnego życia braci Kaczyńskich. Jarosław Kaczyński był za to stałym gościem Jedynki (jako jedynym nagrywanym wcześniej, a nie na żywo), a swoje audycje otrzymali skrajnie prawicowi publicyści, między innymi Rafał Ziemkiewicz i Tomasz Sakiewicz.

Sobala stracił pracę pod koniec 2008 roku (po zawieszeniu pisowskich prezesów Czabańskiego i Targalskiego), ale – jak widać – nie na długo.

Nominacja Sobali to kolejne aroganckie i otwarte potwierdzenie politycznego podziału łupów w publicznych mediach. To wyraz lekceważenia słuchaczy i zespołu od lat budującego legendę Trójki. Ciekawe, czy wpuszczając swego gończego na nowe łowisko, PiS zdaje sobie sprawę z tego, że ta demolka nic nie da. Bo jeszcze nigdy kontrola nad publicznymi mediami nie przełożyła się na wyborczy wynik. I tylko Trójki żal...



Co się stanie w Iranie
Kibicujmy irańskiej opozycji
i życzymy jej wytrwałości,
bo droga przed nią długa i wyboista

RAFAŁ KOSTRZYŃSKI

REWOLUCJA POLEGA NA WYWRACANIU wszystkiego do góry nogami. A ponieważ „wszystko” oznacza przeważnie „całkiem sporo”, nie jest to zajęcie dla ludzi, za którymi nie stoi poparcie mas.

Wywracanie wszystkiego do góry nogami nie jest – przynajmniej oficjalnie – zajęciem podejmowanym dla zabicia nudy, ale ma jakiś cel wyższy. A ponieważ pojęcie „cel wyższy” jest już elementem ideologii, wymaga ideologa.

Ideolog nie wystarczy, jeśli nie jest człowiekiem czynu. Dlatego rewolucjonistami nie zostają raczej papieże, lecz aktywiści. Aktywiści niekoniecznie są dobrymi ludźmi; bywają zaci, ale nierzadko to zwykłe świni.

Świnia czy nie świnia – aktywiści nie może być idiotą, który porywa się z motyką na słońce. Musi wiedzieć, że stoi za nim nie tylko racja, ale także siła. Idiotą kończy jak Janajew*: robi spektakularną głupotę, a potem trzeba opatrywać jego nazwisko gwiazdką, żeby przypomnieć ludziom, kim właściwie był.

W Iranie po raz kolejny od czerwcowych wyborów prezydenckich doszło do masowych protestów opozycji wobec duchownych i rządu. Tak jak poprzednio, tak teraz władza brutalnie rozprawiła się z opozycją; znów zginęło kilka osób i znów świat dowiedział się o tym z filmów kręconych za pomocą telefonów komórkowych. Ale w kraju ajatollahów nie ma rewolucji. I nic nie wskazuje na to, by do niej doszło.

Ci, którzy przychodzą na wiece z zielonymi sztandarami lub

transparentami (zieleń to kolor tamtejszej opozycji), wcale nie chcą wywracać wszystkiego do góry nogami. A w szczególności nie chcą obalenia obecnego systemu. Uspokoi ich zmiana tyle kosmetyczna, ile nierealna: dymisja Mahmuda Ahmadineżada i za instalowanie w jego miejsce Mirhosejny Musawiego, którego opozycja ogłosiła swoim przywódcą.

Musawi – przywódca bardziej mimo woli niż z własnego wyboru – nie jest jednak ideologiem, który porwałby za sobą tłumy. Jego poglądy na to, jak powinien funkcjonować Iran, są z grubsza takie same jak Ahmadineżada: Iran powinien funkcjonować tak samo, jak funkcjonuje dziś, być państwem islamskim rządzone przez duchownych i mieć prawo do własnej energii jądrowej (oficjalnie: stosowanej tylko do celów pokojowych).

Nie jest tym bardziej Musawi aktywistą. W ostatnich miesiącach reżim aresztował około 70 osób z jego otoczenia i dziś polityk, który o mało nie wysadził Ahmadineżada z prezydenckiego siodła, jest bezradny jak dziecko.

Wreszcie – w odróżnieniu od zapomnianego Janajewa – Musawi zdaje sobie sprawę z własnych ograniczeń. Wie, że reżimy obala się tylko wtedy, gdy są już tak słabe, że zaraz same padną. Tak było, jest i będzie. Inszallah. □

• Giennadij Janajew – przywódca puczu moskiewskiego w 1991 roku. Wraz z kilkoma kolegami stanął przeciwko całemu narodowi rosyjskiemu. Można to porównać tylko do próby uprowadzenia samolotu ze 160 milionami osób na pokładzie

Po pierwsze,

przyszłość to słowo na plus.

Dlatego cokolwiek powiemy, mówimy to z optymizmem.

Są powody. Trzy firmy, zbierające nagrody i świetne opinie fachowców, są jeszcze bliżej siebie.

→ AIG PTE przyjęło nazwę Amplico Powszechne Towarzystwo Emerytalne.

→ AIG TFI to teraz Amplico Towarzystwo Funduszy Inwestycyjnych.

→ Dotychczasowe Amplico Life takim pozostaje.

Wszystkie trzy firmy posługują się nowym logo.

Są teraz jeszcze bliżej siebie – dla Ciebie.



Dowiedz się więcej
www.amplico.pl

Amplico

Bliżej siebie. Dla Ciebie.

PRZE
KROJ

Założył
w roku 1945
w Krakowie
Redaktor
Marian Eile

Maciej Jarkowicz, Joanna
ROZMAITOŚCI, KRZYŻÓWKI: roznywa@przekroj.pl, Marcin Pieszczyk; stale współpracują: Ola Salwa, Kaliber 45
Malgorzata Kłoszewska, Adam Szymański, Krzysztof Zakrzewski FOTODYSCJA: foto@przekroj.pl, Marcin Kapica (szef), Anna Bajorek, Bogdan Krętel, Marek Szczepański; stale współpracują: Kuba Dąbrowski, Tomasz Kniolek,
Marcin Zagarek PROJEKT GRAFICZNY: Marek Knap STRONA INTERNETOWA: Marcin Gichowski KOREKTA: Dorota Dul, Tatiana Hardej REDAKTOR TECHNICZNY: Alan Jawor ARCHIWUM: Dominika Bok
OBRÓBKA ZDJĘĆ, PRZYGOTOWANIE DO DRUKU: Absolut Meat

GREMI
GRUPA

WYDAWCA: WYDAWNICTWO PRZEKROJ SP. Z O.O., UL. NOWOGRODZKA 47 A, 00-695 WARSZAWA, TEL. 22 525 99 33, FAKS 22 525 99 88

PREZES WYDAWNICTWA: Grzegorz Hajdarowicz DYREKTOR WYDAWNICTWA: Barbara Stanisławczyk PROMOCJA I MARKETING: promocja@przekroj.pl, Agata Stremiecka (szef), Jakub Maćkowski
BIURO REKLAMY „PRZEKROJ”: reklama@przekroj.pl, Grzegorz Wilczek – dyrektor, tel. 22 525 99 17, Malgorzata Skorupa tel. 22 525 99 18, Grzegorz Makowski tel. 22 525 99 16, Elżbieta Smoleń tel. 22 525 99 50,
Beata Drogowska tel. 22 525 99 51, Eliza Żyromska tel. 22 525 99 52 DYREKTOR DYSTRYBUCJI: Elżbieta Maciążek DRUK: RR Donnelley PRENUMERATA – informacje, zamówienia, reklamacje,
tel. 22 525 99 69 PRZEZ RUCH SA – RUCH SA prenumerata krajowa – 804 200 600, prenumerata zagraniczna – 22 532 88 16; 22 532 88 23, www.ruch.pol.pl

ARTYKUŁÓW
NIEZAMÓWIONYCH
NIE ZWRACAMY.
REDAKCJA
ZASTRZEGA
SOBIE PRAWO
DO ZMIAN
I SKRÓTÓW
W NADESŁANYCH
ARTYKUŁACH
I LISTACH.

(KAWA BEZ CUKRU)

Napoleon a sprawa polska

Aleksander Kwaśniewski śnił o zwycięstwie. Szefowi komisji śledczej mogą się przyśnić jedynie koszmary

Bogdan Rymanowski, TVN

BEZSENNOŚĆ DOPADŁA PRZEWODNICZĄCEGO ZARAZ PO TYM, jak zaczął kierować komisją śledczą. Za każdym razem, gdy udawał się na spoczynek, przeżywał koszmar. Leżał teraz w łóżku z przymkniętymi powiekami i rozpamiętywał ostatnie wydarzenia. Znowu widział twarze Kempy i Wassermanna. Z minuty na minutę stawały się jednak coraz mniej wyraziste.

Przewodniczący poczuł, że odpływa. Nagle zobaczył, jak z mgły wyłania się niski, krępy mężczyzna. Podszedł bliżej, zdjął kapelusz i rozpoczął konwersację.

– Witam, pan mnie chyba poznaje? Jestem Napoleon Bonaparte.

– Ależ wasza cesarska mość, czemu zawdzięczam tę wizytę? – Przewodniczący był totalnie zaskoczony.

– Przybyłem tutaj, żeby uświadomić panu jedną rzecz, że armia baranów, której przewodzi lew, jest silniejsza od armii lwów prowadzonej przez barana.

– Czy pan pije do mnie?! – oburzył się Przewodniczący.

– Proszę sobie to interpretować, jak pan chce. Mam jeszcze tylko prośbę: nie stwierdzajcie faktów na podstawie podejrzeń.

– Pana zdaniem nie mieliśmy prawa przesłuchiwać? Kempy i Wassermanna?! Przecież oni pracowali przy zławstwie, wydawali opinie. Dopóki będę szefem komisji, będę działał zgodnie z literą prawa.

– Tylko pozornie ma pan rację. Zapomniał pan, że ustępować w pewnych sprawach jest często najlepszą polityką. To była wizerunkowa klapa.

– Wybaczy pan, ale nie obchodzi mnie, co myślą ludzie. Gdybym chciał przejmować się wizerunkiem, zatrudniłbym się w agencji PR. Z całym szacunkiem, ale nikt niczego nie będzie mi sugerował. Słucham się tylko swojego sumienia.

– Obaj jesteśmy w tym wieku, że darowałyby pan sobie takie farmazony. To pan nie wie, że polityka jest niczym innym jak wojną na błędy?! Na tej waszej wojnie z PiS pan popełnił ich całe mnóstwo.

– Ale na tej wojnie nie ma miejsca na sentymenty. Po ludzku nawet mi żal Kempy i Wassermanna, ale prawo jest prawem. Musieli być wyrzuceni. Nie chcę być bezczelny, ale jest pan trochę niedzisiejszy. Zresztą nie słyszałem, żeby był pan szczególnie delikatny dla swoich wrogów.

– Pański upór to kolejny dowód, że wielu naprawdę mądrych ludzi zachowuje się po dziecinnie, i to po kilka razy dziennie. Wojna składa się z nieprzewidywanych zdarzeń i bez natychmiastowej na nie reakcji czeka was porażka. Zwłaszcza teraz, gdy o wszystkim decyduje ta dziwka – opinia publiczna.

– Niech pan mnie nie straszy opinią publiczną! Widział pan sondaże?! Może trochę jedziemy po bandzie, ale ludziom to nie przeszkadza. Bo oni rozumieją nasze przywiązanie do prawa. A zwłaszcza do sejmowych ekspertyz. Ta ostatnia mówi jasno: Kempa i Wassermann przesłucha-

ni jako świadkowie mają na komisję szlaban i już!
– Niechże pan wreszcie wysłucha starego generała. Po pierwsze, ta ekspertyza to błąd. Mogliście wymyślić coś bardziej inteligentnego. Po drugie, niech pan zrozumie, że cztery nieprzyjemne gazety są groźniejsze od tysięcy bagnatów. Wkrótce ich poślizliwość się skończy.

– Ludzie wciąż są po naszej stronie. Kroczymy od sukcesu do sukcesu, o których opozycja może sobie tylko pomarzyć.

– To jedyna opinia, z którą się zgadzam. Rzeczywiście, wasza opozycja to obraz nędzy i rozpaczy. Proszę jednak nie zapominać, że sukces nie jest dowodem, a jeszcze mniej uzasadnieniem, na to, że to, co zrobiliście, było słuszne.

– Gadka szmatka. Wie pan, ile osób podchodzi do mnie i dopinguje mnie: „Dalej, dowalcie tym PiS-owcom”?! Każdemu życzyć takiego poparcia.

– Gratuluję. Ale niech pan pamięta, że człowiek nie ma przyjaciół, przyjaciół ma tylko powodzenie. I jeszcze jedno. Coś, czego sam boleśnie doświadczyłem. Od świetności do śmieszności jest tylko jeden krok*.

W tym momencie Przewodniczący obudził się z krzykiem. – Boże, znowu te koszmary – powiedział drżącym ze zdenerwowania głosem. Chwilę później obudził się ja sam. A jednak to był tylko sen. Taki strasznie naturalistyczny. I chyba dużo bardziej prawdopodobny od snu Aleksandra Kwaśniewskiego.



Od snów proroczych gorsze bywają sny prawdziwsze od skrzeczącej rzeczywistości

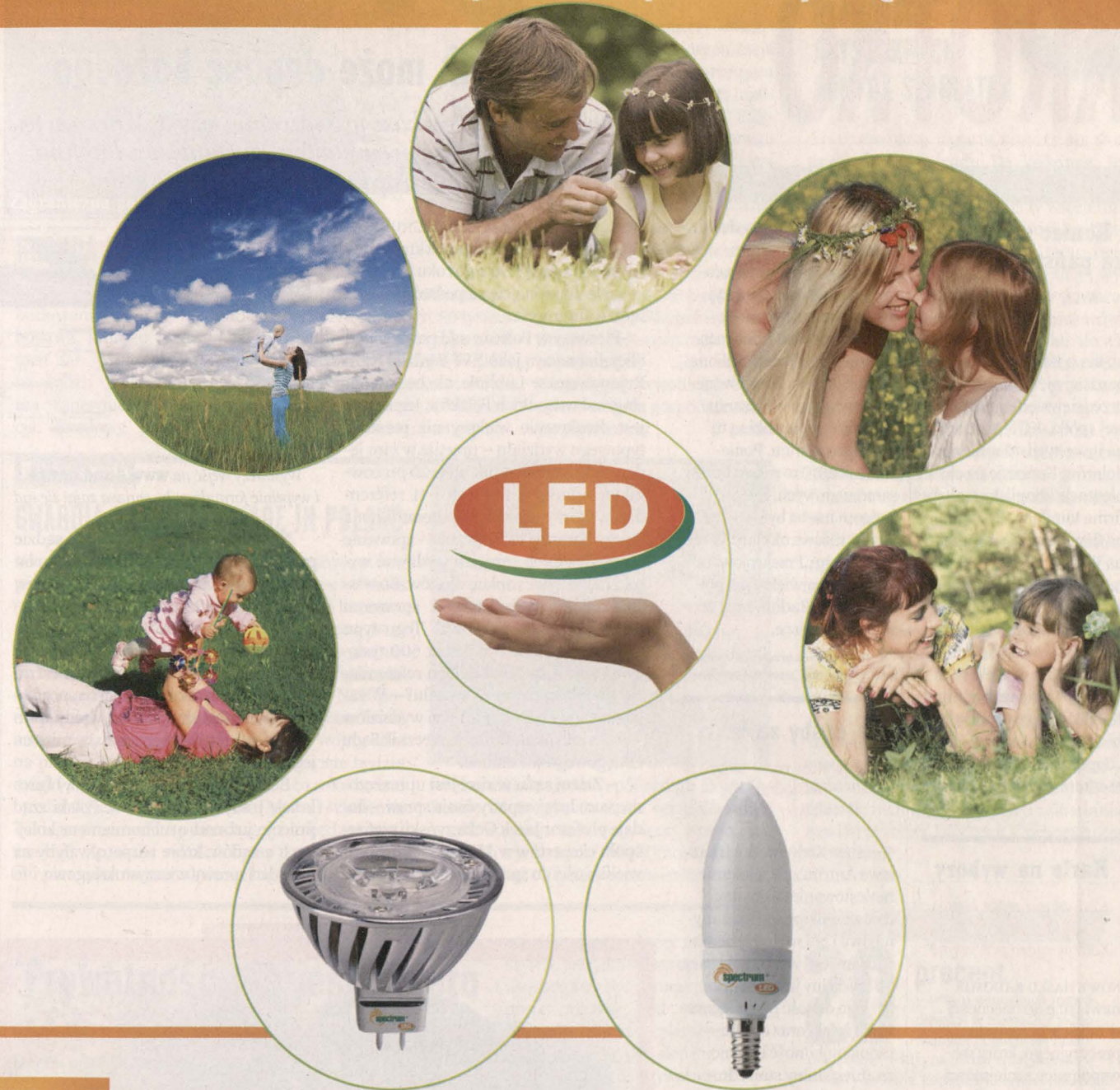
* Teksty zapisane kursywą są cytataami z Napoleona Bonaparte

WYMYŚLIŁ I NARYSOWAŁ MAREK RACZKOWSKI



więcej obrazków na galerii.przekroj.pl

światło wydobywa piękno



Trwałość jednej żarówki Spectrum LED wynosi około 10 lat. W porównaniu ze standardową żarówką to aż o trzydzieści razy więcej! Żarówka Spectrum to absolutnie nowa jakość. Świeci ona cztery razy dłużej niż żarówka energooszczędna i piętnaście razy dłużej niż popularny halogen. Wykonana z nieszkodliwych dla środowiska materiałów, jest całkowicie przyjazna naturze. Jeśli więc chcesz zaoszczędzić do 90% energii, a przy tym cenisz estetykę wnętrza i harmonię z otaczającym Cię światem, żarówka Spectrum LED jest idealnym rozwiązaniem dla Twojego domu.



Nasi dystrybutorzy: Hurtownia Karel 2, ul. Katowicka 180, 43-346 Bielsko-Biała, tel.: (33) 82 81 620 | Hurtownia Karel 2, ul. Przemysłowa 55, 43-100 Tychy, tel.: (32) 780 18 46, (32) 271 75 53 | Hurtownia Elektra, ul. Rostka 1, 41-800 Zabrze, tel.: (32) 271 75 53 | Hurtownia MEGAel, ul. Trudna 64, 32-700 Bochnia, tel.: (14) 611 70 25 | Hurtownia Maik, ul. Piotra Skargi 29, 05-600 Grójec, tel.: (22) 670 30 63 | Hurtownia Elbo, Al. Niepodległości 91, 05-600 Grójec, tel.: (22) 664 07 51 | Hurtownia Elektrosprzet, ul. Niedziałkowskiego 19/21, 26-600 Radom, tel.: (48) 363 00 40 | Hurtownia El-Skład, ul. Świdnicka 38, 58-200 Dzierżonów, tel.: (74) 831 97 55 | Hurtownia Elektrorygiel, ul. Kotowo 54, 60-009 Poznań, tel.: (61) 830 33 25 | Hurtownia Acel, ul. Twarda 6c, 80-871 Gdańsk, tel.: (58) 340 14 45 | sklep internetowy www.lightmarket.pl

szukaj w dobrych sklepach oświetleniowych

www.woinarowscy.com.pl

KRÓTKO

CO TAM FACEBOOK?
PORTAL SPOŁECZNOŚCIOWY TWORZY PIŚ

Koniec przygody za państwową kasę

KGHM wycofuje się z inwestycji w Kongu

TO BYŁO JEDNO Z NAJBARDZIEJ NIEUDANYCH przedsięwzięć tej państwowej spółki. KGHM stracił na inwestycji 40 milionów dolarów. Koncesję na eksploatację kongijskich złóż firma kupiła w 1997 roku od firmy zarejestrowanej na Wyspach Dziewiczych. Potem się okazało, że wydobywanie wymaga specjalistycznej technologii, co czyni ją nieopłacalną. Prokuratura w 2002 roku postępowanie wobec firmy KGHM Congo umorzyła, bo inwestycja okazała się „dopuszczalnym eksperymentem gospodarczym”.

– iggy

Hasło na wybory

Radom ma nowe hasło: „Siła w precyzji”
Zadziwiającą precyzję

NOWE HASŁO RADOMIA nawiązuje do obecności w mieście przemysłu precyzyjnego, który we współpracy z miejscową politechniką ma być szansą na lepszą przyszłość dla mieszkańców. Radomianom slogan kojarzy się jednak głównie z precyzyjnym planowaniem

codziennych podróży do odległej o sto kilometrów Warszawy (pracuje tam co piąty z nich) oraz precyzyjnym wyliczeniem miejsc w przedszkolach i żłobkach (75 miejsc na ćwierć miliona mieszkańców). Nie mówiąc o precyzyjnym wyliczaniu wydatków – zarobki są tu najniższe w kraju. Ponieważ rok 2010 to rok wyborów samorządowych, mieszkańcom trzeba było włożyć na nos różowe okulary. W tegorocznym „Przekroju” rankingu największych polskich miast Radom zajął 26., ostatnie, miejsce.

– cich

http://www.przekroj.pl/wydarzenia_kraj_artykul,4898.html

Za gruby za kraty

Otyłość może ratować przed odsiadką.
W Wielkiej Brytanii

66-LETNI KOŚCIELNY Z HRABSTWA Antrim za wieloletnie molestowanie seksualne dziewczynki został skazany na dwa i pół roku więzienia. Sąd zawiesił wykonanie kary, bo kościelny jest... za gruby. Jego otyłość i wynikające z niej zylaki oraz ograniczoną mobilność uznano za „niestabilny stan zdrowia” i pedofila wypuszczono na wolność. Ofiara – dziś 44-letnia kobieta – stwierdziła, że nie jest z tego powodu szczęśliwa, ale decyzję sądu rozumie.

– mac

Trudno mi ocenić, czy to jest dużo, czy niedużo, bo przyznam, że rzadko zakupuję sobie posiłek na tak zwanym mieście – **Jerzy Miller**, szef MSWiA, proszony o przyznanie, że 2,71 złotego ekwiwalentu dla katowickich policjantów za ciepły poranny posiłek to niedużo.

SĄDOWNICTWO ANNA SZULC

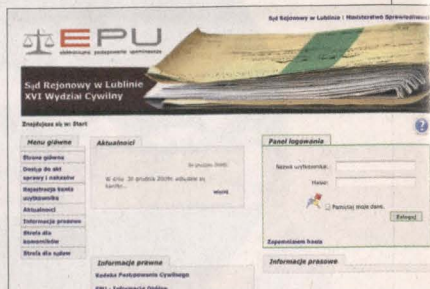
E-procesik może dopaść każdego

Nieważne, czy mieszkasz w Szczecinie, czy w Warszawie. Nie zdziw się, jeśli pozew sądowy dostaniesz z Lublina. Tam właśnie ruszył pierwszy w Polsce e-sąd

MIESIĄCAMI NIE PŁACIŁEŚ RACHUNKÓW za prąd? Od dawna zalegasz z kredytem? Jechałeś na gapę? Od tego roku twoi wierzyciele dopadną cię za pośrednictwem sądu w Internecie.

Pierwszy w Polsce e-sąd powstał pod oficjalną nazwą jako XVI Wydział Sądu Rejonowego w Lublinie, ale będzie obsługiwał wszystkich Polaków. Jego skład jest dwukrotnie większy niż personel typowego wydziału – pracuje w nim jeden sędzia przewodniczący, 20 pracowników administracyjnych i 11 referendarzy, którzy przed komputerami mają – przynajmniej teoretycznie – sprawnie i bez większych ceregieli wydawać wyroki nakazujące zapłatę długów. Bo właśnie takimi najprostszymi sprawami e-sąd będzie się zajmował. Tego typu e-wyroków może być nawet 600 tysięcy rocznie. Czy 11 lubelskich referendarzy podda takiemu wyzwaniu? – W zapasie mamy posiłki z innych wydziałów – zapewnia Artur Ozimek, rzecznik Sądu Okręgowego w Lublinie.

– Zaletą sądu w sieci jest uproszczona procedura rozpatrywania spraw – dodaje profesor Jacek Gołaczyński, szef zespołu ekspertów w Ministerstwie Sprawiedliwości do spraw e-sądownictwa.



Wystarczy wejść na www.e-sad.gov.pl i wypełnić formularz, by sprawą zajął się sąd

Nie trzeba jak w tradycyjnym sądzie przedstawiać stosu dokumentów i opłat skarbowych (zastąpi je jeden e-przelew w wysokości 1,25 procent wartości długu), a jedynie opisać, o jakie konkretne roszczenia i o jakiego dłużnika chodzi (niepotrzebny jest też podpis elektroniczny). Od wyroku, rzecz jasna, pozwany będzie mógł się odwołać, wtedy sprawa trafi już do zwykłego sądu, w miejscu jego zamieszkania.

E-sąd ma zmniejszyć zbędną biurokrację tradycyjnych sądów. Polski rząd pracuje już nad uruchomieniem kolejnych e-sądów, które rozpatrywałyby na przykład sprawy wieczystoksięgowe. □

MIŁOŚĆ I POMNIKI



Największy ze wszystkich Mao

W 116. urodziny Mao Zedonga w mieście Changsha w prowincji Hunan odsłonięto pomnik jego głowy. Najnowszy Mao jest największy z dotychczasowych (mierzy 32 metry) i najbardziej kontrowersyjny – to pierwszy pomnik, który przedstawia go w wieku młodzieńczym.

– mac

60 procent obywateli Ruandy żyje poniżej granicy ubóstwa. Pomóc mają im tanie laptopy ze Stanów

Zagraniczna pomoc i jej nieprzejadanie

RUANDA DOLINĄ KRZEMOWĄ AFRYKI

RUANDA MA NOWY POMYŚL odbudowania kraju po fali ludobójstwa, którego ofiarą w latach 90. padło około miliona ludzi. Lepszą przyszłość ma zapewnić... informatyzacja. Rządowy plan zakłada,

że do 2020 roku w 10-milionowej Ruandzie ma być 50 tysięcy programistów, a do roku 2012 każde dziecko w wieku 9–12 lat będzie miało laptopa z dostępem do Internetu, e-biblioteką podręczników i pomocy na-

Polska armia

GWARDIA NARODOWA MADE IN POLAND

9-MIESIĘCZNĄ ZASADNICZĄ SŁUŻBĘ WOJSKOWĄ ZASTĄPIĄ kontrakty z rezerwistami podpisywane na okres od 2 do 6 lat. Nabór do Narodowych Sił Rezerwy (NSR) ma ruszyć jeszcze w styczniu. Rezerwistami kontraktowymi będą mogli być mężczyźni albo kobiety przed ukończeniem 50 lat (oficerowie będą mogli służyć do 60. roku życia). Z NSR podobnie jak z amerykańskiej Gwardii Narodowej armia będzie korzystać tylko w czasie wojny albo na przykład w czasie powodzi. Rezerwista będzie mógł więc normalnie pracować, ale co roku będzie musiał wyjeżdżać na okresowe (30 dni) szkolenia. Takiego pracownika pracodawca nie będzie mógł zwolnić. Za okres szkoleń firma dostanie od armii pieniądze na zatrudnienie kogoś w zastępstwie

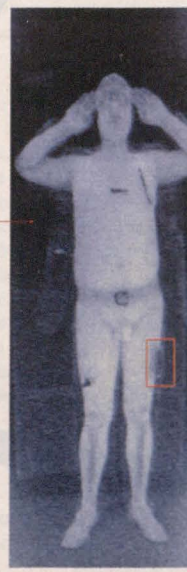
ROZMOWA

Prywatność nie jest święta

Czy skaner ciała narusza prawa człowieka?

„Przekrój”: Po próbie zdetonowania bomby w samolocie lecącym z Amsterdamu do Detroit Komisja Europejska chce znów dyskutować o wykorzystaniu na lotniskach skanerów ciała. Skanery pokazują nie tylko każdy ukryty w ubraniu przedmiot, ale też intymne części ciała. Czy skanery nie będą naruszały prawa do naszej prywatności?

Adam Bodnar, Helsińska Fundacja Praw Człowieka: – Doktryna praw człowieka mówi o tym, że prawo do ochrony prywatności może być ograniczane ze względu na interes w postaci bezpieczeństwa publicznego. Ograniczenie tego prawa musi być jednak proporcjonalne do realizowanego celu, a także mieć wyraźną podstawę ustawową. Moim zdaniem użycie w stosunku do pa-



sażerów skanera, który miałby wykrywać nie tylko substancje metalowe, mogłoby być uznane za środek proporcjonalny, pod warunkiem że zastosujemy zabezpieczenia, które zminimalizują stopień ingerencji w nasze prawo do prywatności.

Ale jak to zrobić?

– Należałoby stosować skanery, które nie pokazują strażnikowi szczegółów anatomicznych. Są technologie, które na to pozwalają. Ważne jest też, aby zagwarantować – i technicznie, i prawnie – to, żeby było niemożliwe gromadzenie danych z takiego skanowania.

I to by wystarczyło, by prawa człowieka nie były naruszane?

– Trzeba pamiętać, że już teraz nasza prywatność na lotniskach jest mocno ograniczana, na przykład poprzez możliwość dokładnej kontroli osobistej. Prawa do prywatności nie należy traktować jak nienaruszalnej świętości.

not. szczep

Balamuctwa

FRANCUSCY ARYSTOKRACI KONTRA SZARLATAN



PO DZIEWIĘCIU LATACH KOŃCZY SIĘ NIEWOLA duchowa rodu De Vedrines. Jego członkowie oddali siebie i cały majątek guru, który teraz siedzi w więzieniu. 14 przedstawicieli 300-letniej rodziny De Vedrines jeszcze dekadę temu było szanowanymi obywatelami Francji, wykształconymi i wykonującymi poważane zawody. Spotkanie z 35-letnim wówczas Thierryem Tillym doprowadziło ich do ruiny. Tilly, dziś określany przez ofiary jako „da Vinci manipulacji”, przekonał De Vedrines, że są potomkami tajemnego zakonu Harmonia Świata. Zakon miał być powołany przed wiekami do walki ze złem. Tilly podał się za agenta zakonu i geniusza finansowego, który pomoże rodzinie odzyskać znakomitą przeszłość.

W 2001 roku 11 członków rodu zamknęło się w zamku pod Bordeaux. Pięć lat później przenieśli się do Oksfordu, skąd pochodzi ich guru. Sprzedali posiadłość, klejnoty, obrazy i powierzyli Tilly'emu majątek wart pięć milionów euro. O rodzinę przez lata walczyli bliscy. Bez skutku. W październiku 2009 roku Tilly'ego aresztowała szwajcarska policja pod zarzutem porwania i manipulacji. Pod koniec grudnia kolejni członkowie zbalamuconego rodu wracali do Francji. Dziś ośmiu z nich jest gotowych do składania zeznań przeciw Tilly'emu – proces rusza w styczniu.

– joa

Co mówią liczby

20 procent

– w tylu wnioskach rozwodowych w Stanach Zjednoczonych pojawia się hasło „Facebook” – biją na alarm amerykańscy obrońcy rodziny. Popularny serwis społecznościowy jest wymieniany jako jedna z przyczyn rozpadu więzi rodzinnych. Na świecie z Facebooka korzysta już 350 milionów ludzi, w Polsce prawie 2,5 miliona, co czyni go drugim (po Naszej-klasie.pl) pod względem popularności serwisem. Nasz profil: facebook.com/przekroj więzy tylko wzmacnia (i to nie tylko rodzinne).

– cich

Sprostowanie MEA CULPA!

W recenzji z „Zagłady domu Usherów” w warszawskim Teatrze Wielkim („Przekrój” nr 49) pomyliłem z rozpędu Scenę Kameralną Opery Narodowej z warszawską Operą Kameralną, instytucją przeciw osobną. Niewybaczalne. Mimo wszystko proszę o wybaczenie.

Tadeusz Nyczek

77 RZECZY, DLA KTÓRYCH WARTO ŻYĆ W 2010 ROKU

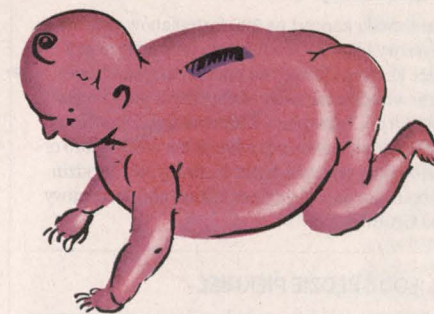
MYŚLICIE, ŻE 2010 ROK BĘDZIE TAKI SAM JAK POPRZEDNIE LATA? TO MACIE TROCHĘ RACJI, BO NA PEWNO – JAK POPRZEDNIE LATA – BĘDZIE WYJĄTKOWY. NIE WIEMY O NIM WSZYSTKIEGO, ALE JUŻ TO, CO WIEMY, WYSTARCZY, ŻEBY SZCZERZE GO WAM POLECIĆ



ILUSTRACJE DANIEL HOROWITZ

1. OJCIEC BĘDZIE MÓGŁ BYĆ MATKA (NA RAZIE PRZEZ TYDZIEŃ)

Od 1 stycznia 2010 roku ojcom w Polsce przysługuje odrębny od macierzyńskiego urlop ojcowski, zwany tyleż popularnie, co niepoprawnie tacierzyńskim. Na razie będzie to bardziej urlopik niż urlop, bo w 2010 i w 2011 roku tata oeska będzie mógł wziąć najwyżej tydzień, a dopiero od 2012 roku dwa tygodnie wolnego. Ojcowie nie muszą brać urlopu zaraz po narodzinach dziecka, mogą to zrobić w dowolnym momencie przez pierwsze 12 miesięcy życia potomka – pod warunkiem jednak, że matka zrezygnuje z części urlopu macierzyńskiego.



2. SYRENKĄ PRZEZ EUROPE. ALBO TRABANTEM

Złombol to rajd po Europie samochodami wartymi najwyżej tysiąc złotych, wyprodukowanymi w krajach bloku komunistycznego. W imprezie bierze udział około 30 załóg, ale tylko kilka dociera do mety. Dwa lata temu uczestnicy Złombola jechali do Monte Carlo (podjechać pod tamtejsze kasyno syrenką i wręczyć kluczyki parkingowemu – bezcenne), a rok temu na koło podbiegunowe. Dochód z imprezy (ostatnio ponad 40 tysięcy złotych) jest przeznaczony na domy dziecka. Tegoroczna trzecia edycja nie ma jeszcze opracowanej trasy, ale już można zgłaszać się do organizatorów: złombol@o2.pl.

3. NASZE TORY BĘDĄ WOLNE. NARESZCIE

1 stycznia weszła w życie unijna dyrektywa o transporcie kolejowym, która otwiera nasze drogi żelazne dla przewoźników z zagranicy. To może oznaczać, że poprawi się oferta dla pasażerów. W pierwszej kolejności na polskie tory wjadą zapewne koleje niemieckie, austriackie i czeskie. Dlaczego? Bo do tej pory Polska utrzymywała połączenia międzynarodowe z Wiedniem, Berlinem i Pragą, ale przewoźnicy z tych państw zarabiali tylko na biletach międzynarodowych. Jeśli ktoś jechał pociągiem kończącym bieg w Berlinie, zyski z biletu na trasie Warszawa–granica wędrowały do PKP, przewoźnik Deutsche Bahn zarabiał jedynie na przewożeniu pasażerów przez obszar Niemiec. Najbliższa zmiana rozkładu jazdy czeka nas w czerwcu. Wtedy się okaże, czy PKP mają silną konkurencję.

4. LETNI SEZON FESTIWALOWY

Open'er to nie wszystko. Lato w tym roku będzie naprawdę gorące. Ambitne dziwolągi na Offie, przesterowane gitary w Szczecinie i Węgorzewie, wieczne młodzi buntownicy w Jarocinie. Nocne tańce na Auditorium i Selectorze, machanie głową na Knock-Out, lekcja rockowej historii w Dolinie Charlotty i bardzo Nowa Muzyka w cieniu szybów kopalnianych. Bohaterowie kolorowych teledysków na Coke Live i zakochani w czerni gości na Castle Party. Kowboje na Pikniku Country w Mrągowie i Indianie na wrocławskim Brave Festival. Cicho i głośno, kolorowo, różnorodnie, ciekawie. Opuść sobie gnienie na egipskiej plaży. Zaplanuj wakacje w Polsce przy światowej muzyce.

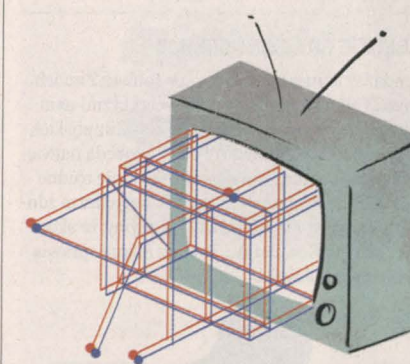
5. WIEŻOWIEC DLA SNOBA

Wiadomość dla tych, którzy lubią architektoniczne rekordy, i dla tych, którzy brzydzą się nadmiernym konsumpcjonizmem. Burdż Dubaj, najwyższy

wieżowiec na świecie – 818 metrów wysokości (160 pięter) – miał zostać uroczystie otwarty 4 stycznia. To część wartego ponad 20 miliardów dolarów kompleksu apartamentów, hoteli, centrów handlowo-rozrywkowych oraz biurów o nazwie Downtown Burj Dubai. To było dla tych, co lubią. A teraz dla tych, co się brzydzą. Będzie to pewnie ostatnia taka inwestycja w Dubaju – emirat ma duże problemy ze spłatą długów, a ceny nieruchomości spadły tam nawet o 70 procent. Właściciele Burdż Dubaj nie chcą na razie zdradzić, jaka część jego powierzchni została wykupiona, ale wiadomo, że niecała.

6. TRZECIE D

Zauważyłeś premierę „Avatara”? Spodziewaj się więc, że to dopiero początek. Rok 2010 zapowiada się bardzo przestrzennie – jeśli tylko film Camerona spełni oczekiwania finansowe (a nie nie zapowiada, by miało być inaczej), to kolejne wytwórnie poważnie zabiorą się do dodawania do filmów trzeciego wymiaru. Dzielnie wspierać je będą producenci sprzętu wideo – Panasonic, Sony i inni potentaci już zapowiadają premiery zestawów kina domowego przystosowanych do filmów 3D. Ciekawe, jak zareagują klienci, którzy całkiem niedawno wymieniali stare telewizory na nowy, płaski sprzęt. Tyle że 2D.



7. HERZOG NAUCA

Bo trudno nazwać to zwykłym uczeniem: słynny reżyser otwiera Rogue Film School: lekcje będą się odbywać w różnych lokalizacjach i z różną częstotliwością (pierwsze spotkanie 8–10 stycznia, Los Angeles, wolnych miejsc od dawna brak). Wszyscy zainteresowani zdobyciem technicznej wiedzy o realizacji i produkcji proszeni są o opuszczenie sali. Żadnych komórek, żadnych laptopów, żadnego nagrywania zajęć. Tu się czyta poezję, rozmawia o muzyce, literaturze – czy się życia po prostu. Ech, dożyć dnia, w którym będzie

się miało wolne 1450 dolarów na dwudniowe seminarium z Herzogiem! Bo kto wie, czy nauczyciel nie będzie wtajemniczał także nad Wisłą. Jest szansa, że wiosną zawita do Polski!

8. CZESŁAW ZNOWU ŚPIEWA

Był tylko sezonową sensacją i jego chłopięca safandulowatość już się opatrzyła. Tak mówią przeciwnicy. Jest nową, wielką gwiazdą polskiej muzyki, ostatnim prawdziwym rockandrollowcem i dopiero teraz, bez lęku o budżet płyty i jej dystrybucję, będzie mógł w pełni rozwinąć talent. Tak twierdzą fani. Tak czy owak, nowy album Czesław Śpiewa nagrywany od kilku miesięcy w Łodzi z pomocą stada zaprzyjaźnionych artystów będzie wydarzeniem. To, że Czesław obiecuje zająć się w tekstach (tym razem autorskich) między innymi kulisami polskiego show-biznesu, tylko dodaje sprawie pikanterii.

9. ZAĆMIENIE SŁOŃCA

Warto pożyć przynajmniej do 15 stycznia. Tego dnia w Polsce ujrzymy, jak Księżyc przysłania częściowo tarczę Słońca. Dobra wiadomość: cały spektakl potrwa trochę ponad 20 minut. Zła: świadkami tego zaćmienia będą jedynie mieszkańcy południa Polski. Zainteresowanym z północnych województw i spragnionym mocniejszych wrażeń polecamy tego dnia rejs po Oceanie Indyjskim. Koszty nie najmniejsze, ale nagroda za determinację wielką – rarytas wśród tego typu zjawisk: zaćmienie obrączkowe.

10. NOWE BRZMIENIE JESIENINA

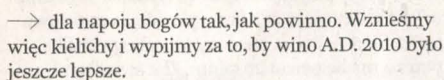
Siergiej Jesienin w nowym spolszczeniu Adama Pomorskiego (wybór wierszy nazywa się „Kamieniem strącam księżyc”) trafi do nas dzięki wydawnictwu Świat Książki. Jak nieco zapomniany, a przecież wielce wspaniały rosyjski poeta i chuligan zabrzni w nowych przekładach? Czy nieśmiertelny poemat „Moskwa karczemna” zyska po polsku nowy blask? Przekonamy się już w styczniu.

11. GIGANT DZWONI

Choć reszta producentów niechętnie to przyznaje, w 2007 roku firma Apple, prezentując iPhone'a, rozpoczęła prawdziwą wojnę sprzętową. Nagle wszyscy zaczęli robić telefony z dotykowym ekranem i dbać o programy, które rozszerzają funkcjonalność komórki. Teraz zapowiada się druga wojna telefoniczna – na początku stycznia pojawi się Nexus One. To telefon firmowany przez Google, wyprodukowany co prawda przez HTC, ale działający na bazie nowej wersji systemu Android. Trudno się spodziewać, żeby sam Nexus zasadniczo zmienił sytuację na rynku, ale Android instalowany w komórkach różnych firm ma już taki potencjał. To naprawdę świetny system – po raz pierwszy Apple ma czego się bać. A my mamy z czego się cieszyć – tak czy siak, to klienci wygrają tę wojnę.

12. DOSKONAŁY ROCZNIK 2009

Mówi się, że wino im starsze, tym lepsze, jednak to z rocznika 2009 (zaraz trafi do sklepów) będzie od razu znakomite. Znamy i producenci nie mają wątpliwości: będzie najlepsze od co najmniej trzech dekad. Wszystko w ubiegłym roku układało się →



Jedną z ciekawszych młodych kapel jazzowych Portico Quartet pod koniec stycznia zagra w katowickiej Hipnozie. Nie szkodzi, że nigdy o nich nie słyszeliście. Nie szkodzi, że nie będziecie potrafili nazwać wszystkich instrumentów, na których grają. Usłyszycie, docenicie.

Peter Gabriel szarga świętości stare i nowe, ale w elegancki sposób. Przy akompaniamencie orkiestry zamierza zaśpiewać na nowo klasyczne utwory Davida Bowiego, Paula Simona, Lou Reeda czy Neila Younga, a także Radiohead, Elbow, Bon Iver czy Arcade Fire. Wszystko to ukaże się 26 stycznia na albumie „Scratch My Back”. A że projekt zakłada wzajemność, jest szansa, że wymienieni wyżej Gabrielowi się odwzajemnią pięknym za – chociaż to się jeszcze okaże – nadobne.

27 stycznia w polskich księgarniach pojawi się „Zaginiony symbol” – długo oczekiwana powieść Dana Browna. To trzecie dzieło znanego pisarza, którego bohaterem jest harwardzki specjalista od symboli Robert Langdon (postać z „Kodu da Vinci” oraz „Aniołów i demonów”). Tym razem akcja powieści rozgrywa się w Waszyngtonie i dotyczy loży masonskiej. „Zaginiony symbol” stał się już bestsellerem za granicą – w dniu premiery książki w Wielkiej Brytanii, Kanadzie i USA sprzedano ponad milion egzemplarzy. Ciekawe, jak pójdzie u nas?

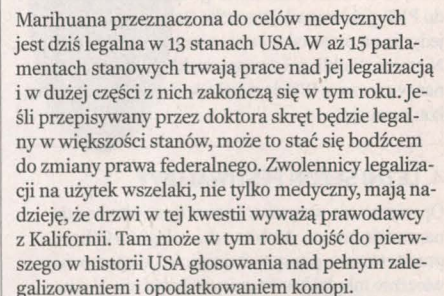
Kevin Costner i jego zespół wystąpią w marcu w Gdyni. Czy naprawdę warto żyć, żeby usłyszeć: a) nie dość, że country, b) to jeszcze w wykonaniu Costnera? Odpowiedź brzmi: każdy powód jest dobry, żeby wyjechać nad morze!

Warszawski koncert na 200 fortepianów oraz zmiana nazwy placu Defilad (to ten, przy którym stoi Pałac Kultury i Nauki) na plac Fryderyka Chopina to wisienka na torcie obchodów Roku Chopinowskiego. Takie plany ma przynajmniej minister kultury. Zastanawia nas tylko jedna rzecz: skoro organizatorzy tak chcą uczcić rocznicę 200. urodzin Chopina, to co się będzie działo na 600-lecie bitwy pod Grunwaldem?

Kto nie wie, jak dziś wygląda najważniejszy dworzec kolejowy w trzecim pod względem wielkości mieście w Polsce, powinien czym prędzej wybrać się do Łodzi Fabrycznej. I to szybko, bo jeśli, na co liczymy, spełnione zostaną obietnice władz miasta, jeszcze wiosną 2010 roku ruszy w jego miejscu budowa centrum festiwalowo-kongresowego według projektu jednego z największych współczesnych architektów Franka Gehry'ego. A dlaczego na to liczymy? Bo my na tym dworcu bywamy. Szczególnie w czasie rozpoznawalnego już na całym świecie festiwalu Plus Camerimage, kiedy to bywają tam także Bill Murray, Ang Lee, David Lynch i im podobni. Absorbując od korzyści kulturalno-finansowych, jakie według specjalistów będą płynąć do miasta z tego centrum, fajnie byłoby, gdyby powyższe osoby wyjeżdżały z Łodzi z innymi niż widok Łodzi Fabrycznej wspomnieniami.

Platy Massive Attack starzeją się pięknie. Robert „3D” Del Naja, *spiritus movens* grupy, doskonale sobie z tego zdaje sprawę, nie więc dziwnego, że po śpiewach w studiu jest mu obcy. Ale nawet w jego ślimaczym tempie w końcu coś trzeba nagrać. Zaplanowany na 8 lutego album „Heligoland” budzi tym większe nadzieje, że po kilkuletniej separacji do kapeli powrócił Daddy G.

Legendarny komentator sportowy Tomasz Zimoch (słynne „Turku, koniec ten mecz” wciąż brzmi nam w uszach) założył się, że na igrzyskach olimpijskich w Vancouver (12–28 lutego) Polacy zdobędą najwięcej medali w historii. Nie jest to przesadnie trudne zadanie, bo na zimowych zawodach dotychczas zdobyliśmy aż cztery krawki, jednak wierzymy, że skocz-kowie, Justyna Kowalczyk i Tomasz Sikora sprawią nam niemało radości.



Był perkusistą grającym u boku słynnego Feli Kutiego, a ponieważ o charakterze granej przez Kutiego muzyki zwanej afrobeatem decydował rytmika, Allen był pełnoprawnym współtwórcą gatunku. Ten Nigeryjczyk wychowany na polirytmicznej muzyce afrykańskiej wyniósł funkowy styl perkusyjny na wyżyny sztuki, inspirując się przy tym połamanymi rytmami jazzmanów. Dziś współpracuje z największymi postaciami sceny pop – Damonem Albarnem z Blur i Fleą z Red Hot Chili Peppers na czele. Skończy w tym roku 70 lat. W Polsce zagra po raz pierwszy – 20 lutego w warszawskim klubie Palladium.

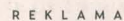
W dodatku podwójnie Odyseusz. Bo nie dość, że dyrektor TR Warszawa sporo w ostatnich latach podróżuje teatralnie po Europie, to pod koniec lutego da w Essen premierę „Aretei”, swojego autorskiego spektaklu na motywach właśnie odysejskich. Kto będzie chciał być na bieżąco z twórczością naszego wybitnego reżysera, musi także po trosze zamienić się w Odyseusza i wybrać się w świat, tym razem niedaleki.

Po sławnej już „Marilyn” Krystian Lupa przygotowuje drugą część zamierzonego tryptyku scenicznego – „Simone Weil” poświęconą postaci wielkiej francuskiej filozofki, zarazem Żydówki, chrześcijanki bez kościelnego chrztu i wojującej syndykalistki o lewicowych przekonaniach. Rolę tę pierwotnie miała zagrać Maja Komorowska, jedna z ikon teatru Lupy („Wymazywanie”, „Mewa”, „Na szczytach panuje cisza”), ale ostatecznie 13 lutego zagra debiutującą w jego teatrze Joannę Szczepkowską. Szykują się niezłe emocje, tym bardziej że w aktorce, która z kolei próbuje grać Simone, wcieli się u Lupy Małgorzata Braunek.

Świętyni polski animator i reżyser filmów rysunkowych i kombinowanych, specjalista od form krótkich nakręcił w ubiegłym roku swoją pierwszą pełnometrażową fabułę łączącą sceny animowane i aktorskie. „Las” (na ekranach od 26 lutego) to film od konkretności codzienności uciekający w nienachalną metaforę, film o śmierci i odchodzeniu, trudnych relacjach między ojcem a synem. Kto zna dotychczasową twórczość Dumay (przepiękną „Łagodna” czy „Nerwowe życie kosmosu”), tego na jego nowy film nie trzeba namawiać. Kto nie zna, niech od „Lasu” zacznie, ale w żadnym razie na nim podróży przez twórczość Dumay nie kończy.

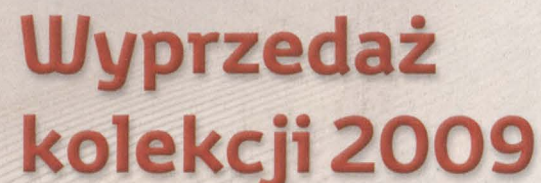
Już w lutym w Paryżu, a w Warszawie najpewniej w marcu premiera „Tramwaju zwanego pożądaniem” według słynnego dramatu Tennessee Williamsa. Reżyseruje Krzysztof Warlikowski, a główne role grają – uwaga! – Isabelle Huppert i Andrzej Chyra. Zobaczyć wielką gwiazdę francuskiego kina na żywo – warto wielkich pieniędzy. Posłuchać, jak Chyra mówi po francusku: jeszcze większych.

Związany już od niemal dekady z „Przekrojem” malarz doczekał się wreszcie indywidualnej wystawy w Muzeum Narodowym w Krakowie (wiosna). W szacownych murach pojawiają się więc dresiarze, kibole, celebryci i politycy. Potoczność w muzeum. No to ładnie!



Śmierci papierowej książki na razie się nie spodziewamy, ale początku wielkich zmian – zdecydowanie tak. Pod sam koniec 2009 roku premierę miał pierwszy polski czytnik e-booków eClio.to. Choć drogi i niezbyt jeszcze popularny, przyspiesza zmiany, które już się rozpoczęły. Tak zwane młode pokolenie coraz częściej „konsumuje” książki z ekranu komputera i przez słuchawki – dzięki audiobookom. Wydawcy muszą się z tym pogodzić i tylko od ich rozsądku zależy, czy będą chowali głowę w piasek, czy może odnajdą się w nowej sytuacji i zarobią na nowych sposobach czytania.

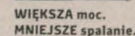
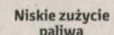
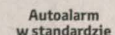
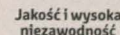
Można rwać włosy z głowy, ale można się i cieszyć. Papierowe książki przetrwają jeszcze długo, poza tym treść na karcie, czytniku czy w słuchawkach jest ta sama co w woluminach. A przecież o treść tu chodzi.



Za mniej otrzymasz więcej



[Toyota Yaris – zaoszczędź 4 400 zł]*



Infolinia: 0 801 20 20 20
koszt połączenia wg taryfy lokalnej operatora

www.toyota.pl

**Today
Tomorrow
Toyota**

30. SKANDALISTA RYSZARD KAPUŚCIŃSKI?

Książka „Kapuściński. Non fiction” autorstwa Artura Domosławskiego zapowiada się – twierdzą wtajemniczeni – rewelacyjnie i nieomal skandalicznie. Czy mistrz reportażu był bardziej mistrzem fikcji? Aż trudno dać wiare. Czekajmy, a przekonamy się – rzecz ukaże się w marcu w Świecie Książki.

31. NOWE SEZONY „MAD MEN” I „CZYSZTEJ KRWI”

Rekiny przemysłu reklamowego z Madison Avenue i wampiry z Bon Temps powrócą na anteny amerykańskich kablówek już wiosną. Czwarty sezon „Mad Men” na antenie AMC, trzeci „Czystej krwi” do HBO (z małym poślizgiem będą dostępne legalnie w sieci). Oba serie proponują oryginalne rozwiązania scenariuszowe, są wizualnie atrakcyjne, łamią wiele obyczajowych tabu i wciągają bardziej niż najlepszy kryminał. Jeśli jeszcze się o tym nie przekonaliście, macie do wlosy sporo czasu na nadrobienie zaległości („Mad Men” emituje w Polsce Fox Life, „Czysta krew” – HBO).

32. KUBICA ZNÓW ZACZNIE WYGRYWAĆ

W sezonie 2010 Robert Kubica stanie na podium, bo wreszcie będzie miał sprawny samochód. Przed nami 19 wyścigów Grand Prix, podczas których jedni będą usypiać z nudów, a drudzy wpatrywać się w bolidy jeżdżące w kółko z prędkością 300 kilometrów na godzinę. My należymy do tych drugich, co, mamy nadzieję, Kubica nam wynagrodzi. Zacznie to robić 14 marca w Bahrajnie, a skończy 14 listopada w odległym od niego o zaledwie 500 kilometrów Abu Zabi.

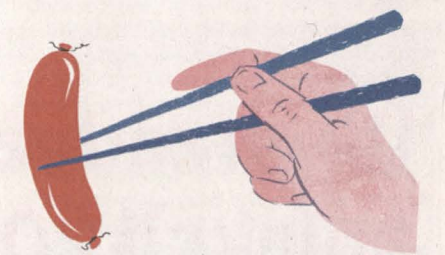
33. OBAMA ZNÓW BĘDZIE MÓGŁ ZABYŚNĄĆ

Stany Zjednoczone i Rosja wciąż nie mogą się dogadać w sprawie przedłużenia układu o redukcji broni strategicznych START I, ale w 2010 roku Barack Obama będzie miał dwie okazje, żeby pokazać, że pokojowego Nobla nie dostał tylko za ładne deklaracje. W kwietniu prezydent USA zaprosi przedstawicieli ponad 40 państw do Waszyngtonu na globalny szczyt bezpieczeństwa nuklearnego. Być może wtedy rozwinie przedstawiony w zeszłym roku w Pradze pomysł na świat bez broni atomowej. Obama zapowiedział też wzmocnienie układu o nierozprzestrzenianiu broni jądrowej (NPT). Tym zajmie się miesiąc później w Nowym Jorku konferencja przeglądowa układu, na którą zjadą delegaci z ponad 190 państw.



34. FISKUS ZAUWAŻY, ŻE ISTNIEJE INTERNET

W zeszłym roku mało kto wierzył, że składanie PIT-ów drogą elektroniczną będzie możliwe. A jednak się udało – możliwość tę zyskały osoby zatrudnione na umowę o pracę, emeryci i renciści (ci, którzy wypełniali PIT-37). Choć system uruchomiono zaledwie na trzy tygodnie przed terminem składania zeznań (bywało też, że zawieszal się serwer), z możliwości wysłania PIT-u siecią skorzystało aż 77 tysięcy osób. Od tego roku już wszystkie PIT-y (poza PIT-28) będzie można rozliczać przez Internet. I to bez konieczności posiadania podpisu elektronicznego. Czy wreszcie czeka nas pelzająca podatkowa e-rewolucja?



35. CUDA W SZANGHAJU

Expo 2010 (początek 1 maja, koniec 31 października) ma być wyjątkowe – jak wszystko zresztą, do czego zabierają się Chińczycy. Na obszarze o powierzchni prawie 5,5 kilometra kwadratowego zbierze się rekordowa liczba wystawców, a nad wszystkim będzie górował stylizowany na pagodę chiński pawilon. Światowa gospodarka nie miała się w zeszłym roku najlepiej – tym większe zainteresowanie poszczególnych krajów i światowych organizacji udziałem w Expo, zwłaszcza że wystawę przygotowuje jedno z najprężniej rozwijających się miast najprężniej rozwijającego się państwa. Polska chce zwrócić uwagę chińskich inwestorów pawilonom, który przypomina ludową wycinankę, i muzyką Chopina – jednego z niewielu Polaków rozpoznawanych w Państwie Środka.

36. PÓŁ WIEKU KRYSZTYNY MIŁOBĘDZKIEJ

W 2010 roku mija 50 lat od debiutu wielkiej, a wciąż niedocenianej poetki. Kulminacja obchodów na kwietniowym festiwalu Port Wrocław. Będzie nowy wybór wierszy „zbierane, gubione”, zapisy ze spotkań autorskich na papierze i DVD (a byłyby to iście hipnotyczne spotkania), a pewnie także sporo niespodzianek.

37. JANĄČEK Z KLECZEWSKA

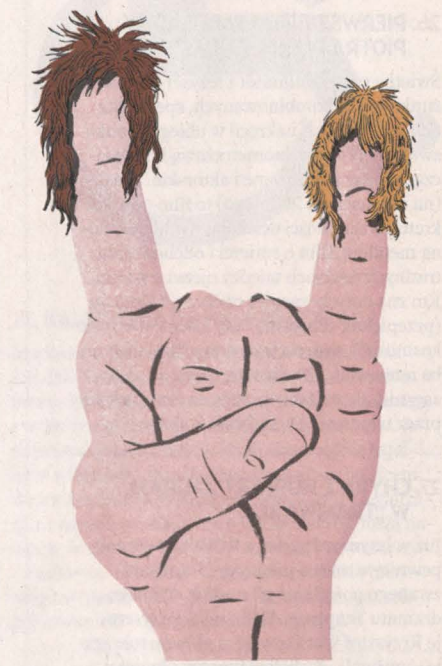
W Teatrze Wielkim-Operze Narodowej czeka nas w tym roku parę niezłych niespodzianek. Wybieramy dwie. Pierwsza to nigdy niewystawiana w stolicy (a w Polsce pokazana tylko raz, 30 lat temu we Wrocławiu) opera Leoša Janáčka „Katia Kabanowa” w reżyserii szalonego Amerykanina Davida Aldena. Podśmiewamy się z Czechów i mijamy ich bokiem, a tymczasem taki Janáček to potęga, o jakiej nam się nie śniło. Zbudź się więc, narodzie, i hajda! na Janáčka! Druga niespodzianka to polska prapremiera (15 maja) dwóch kameralnych oper – „Sudden Rain” Aleksandra Nowaka i „Between” Agaty Zubeł – jakie przygotowuje w ramach jednego wieczoru, uwaga, Maja Kleczewska, nasza czołowa prowokatorka teatralna.

38. KONIEC ERY LABURZYSTÓW?

Wyборы parlamentarne w Wielkiej Brytanii będą albo przełomowe, albo sensacyjne. Przełomem będzie zwycięstwo Partii Konserwatywnej, która odbije Downing Street z rąk Partii Pracy po aż 13 latach. Wielka Brytania będzie wówczas miała najbardziej eurosceptyczny rząd w Unii, a premierem zostanie David Cameron, szykujący się na to stanowisko prawie tak długo jak książę Karol do tronu. Sensacją będzie natomiast trzecie z rzędu zwycięstwo Partii Pracy. Powie więcej o kryzysie konserwatystów niż o sile laburzystów. Wybory najpóźniej 3 czerwca.

39. METALLICA, SLAYER, MEGADETH, ANTHRAX

Jeszcze rok czy dwa lata temu ze sobą nie rozmawiali. Teraz umówili się na wspólny koncert na warszawskim Bemowie. 16 czerwca w ramach festiwalu Sonisphere wielka czwórka thrash metalu po raz pierwszy wystąpi na jednej scenie. Oczywiście konfrontacja to będzie nierówna, bo Metallica to stadionowa megagwiazda, a o Anthrax pamięta jedynie garstka najbardziej zagorzałych fanów, ale i tak warto wziąć udział w tym historycznym wydarzeniu. A bilet kupić jak najwcześniej, bo to chyba pierwszy koncert muzyki popularnej, którego zadowolą nam narody świata, więc możemy się spodziewać pielgrzymek metalowców z całego globu.



40. MUNDIAL W RPA – MOŻE LEPIEJ, ŻE BEZ NASZYCH?

Marcin Sendecki (poeta, ale zna się) zapowiedział, że Anglicy na mistrzostwach świata w piłce nożnej znów odegrają szekspirowską tragedię. Oby w takim razie Włosi zafundowali nam boską komedię, a Hiszpanie porządnie zawalczyli z wiatrakami (czyli z Holendrami, miejmy nadzieję, że latającymi). Oprócz nich kandydaci do medalu to Brazylijczycy, Francuzi, Argentyni, Niemcy, Nigeryjczycy, Portugalczycy, a nawet piłkarze z Kamerunu i Ghany – czyli w zasadzie wszyscy, skoro nie ma naszych. A skoro nie ma naszych,

to z góry wiadomo, że te mistrzostwa będziemy oglądać wyłącznie dla sportu. Początek 11 czerwca. Koniec – miesiąc później.

41. PIERWSZY STADION NA EURO 2012

W czerwcu zostanie zakończona budowa Stadionu Miejskiego w Poznaniu i będzie to pierwsza gotowa polska arena na Euro 2012. Wykonawca (Hydrobudowa) zapewnia, że termin inwestycji nie jest zagrożony, a piłkarze poznańskiego Lecha będą grali na wykańczanym obiekcie już od marca. Oby tylko wraz ze stadionami wypiękniała nam rodzima piłka nożna.

42. GRUNGE WRACA NA OPEN'ERZE

Pierwsza gwiazda Open'era 2010, jaką ogłosili organizatorzy, to świetny na koncertach zespół Pearl Jam. A zarazem potwierdzenie nowej fali zainteresowania muzyką grunge, której szczyt popularności przypadł na początek lat 90. Reszta to na razie spekulacje, ale my typujemy przyjazd na Open'era grup Muse, Green Day i P!nk. Na giełdzie głośno też (nie od dziś) o Portishead. A klubowo-cygańscy Shantel & Bucovina Club Orkestar koncertujący latem mogliby być dobrymi następcami Buraka Som Sistema. Cała impreza przez cztery dni od 1 do 4 lipca w Gdyni, na lotnisku Babie Doly.

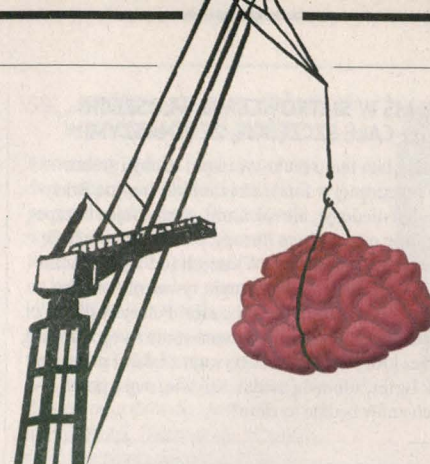
43. TĘCZOWA WARSZAWA

Europejska Parada Równości po raz pierwszy odbędzie się w Polsce. Przez tydzień pod hasłem różnorodności i tolerancji po mieście będą jeździć platformy z roztańczonymi ludźmi, będzie pełno tęczowych flag, balonów, imprez kulturalnych, wystaw, paneli i konferencji. To wszystko czeka Warszawę już w lipcu. Rozpoczynający się 8 lipca ponadtygodniowy festiwal zakończy 17 lipca uroczysty przemarsz (i przejazd) ulicami Warszawy. Organizowana od 18 lat impreza przyciąga do kolejnych europejskich stolic rzesze reprezentantów środowisk LGBT (społeczności lesbijek, gejów, biseksualistów i transseksualistów). Organizatorzy – Fundacja Równości – spodziewają się nawet kilkuset tysięcy gości z całej Polski i świata (rekordowa madericka parada w 2007 roku przyciągnęła prawie 2,5 miliona uczestników).



44. WIKIMANIA W GDAŃSKU

Między 9 a 11 lipca w Filharmonii Bałtyckiej w Gdańsku odbędzie się Wikimania – coroczna konferencja wikipedystów z całego świata. Pierwszą Wikimanię zorganizowano w 2005 roku we Frankfurcie nad Menem; od tego czasu co roku obrady odbywają się w innym mieście. Podczas zjazdu użytkownicy, redaktorzy i programiści zastanawiają się, jak sprawić, żeby tworzona przez tysiące internautów encyklopedia nie traciła



na jakości. Zakres konferencji poszerza się z roku na rok. Jej tematem nie jest już sama Wikipedia, ale szeroko rozumiany wolny dostęp do wiedzy w Internecie.

45. 14. MISTRZOSTWA ŚWIATA W NOSZENIU ŻON

Po raz kolejny w lipcu w Sonkajärvi, kilkutysięcznym miasteczku w centralnej części Finlandii, odbędą się największe na świecie (ale już niejedne) zawody w noszeniu żon. W tym wyścigu z przeszkodami na dystansie 253,5 metra najlepsi są tradycyjnie Estończycy, którzy wypracowali specjalną technikę polegającą na noszeniu małżonki

REKLAMA

Wittchen Trendy

W prestiżowym gronie Partnerów Programu Class&Club witamy kolejne firmy – Wittchen oraz QUIKSILVER ROSSIGNOL SHOPS. Teraz płacąc za zakupy w salonach tych marek kartą Class&Club, uczestnicy Programu korzystają ze stałych zniżek – 12% w sklepach Wittchen i 10% w QUIKSILVER ROSSIGNOL SHOPS.

Program Partnerski

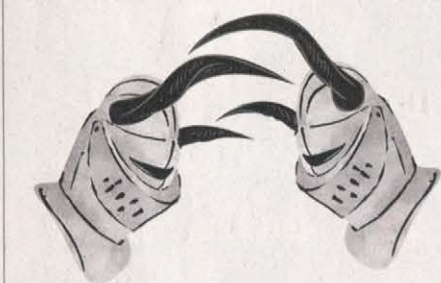
Class&Club

www.classandclub.pl

→ nogami (odpowiednio oplecionymi wokół szyi męża) do przodu. Uwaga! W wyścigach można wykorzystać cudzą żonę. Minimalna waga partnerki to 49 kilogramów. Warto jednak zaryzykować więcej – nagrodą jest tyle piwa, ile ważyła dźwigana żona. To jeden z nielicznych wciąż amatorskich sportów na świecie. Wpisowe wynosi 50 euro.

46. AZJA W HOLLYWOOD

Zobaczyć Angelinę Jolie w thrillerze to żadne halo. Ale zobaczyć Daniela Olbrychskiego w thrillerze z Angeliną Jolie to już coś! W „Salt” polski aktor gra agenta rosyjskich służb specjalnych, a amerykańska gwiazda agentkę CIA podejrzaną o współpracę z Rosjanami. Na ile znacząca jest rola Olbrychskiego, przekonamy się latem, ale jeśli wierzyć trailerom – całkiem znacząca.



47. ROK DWÓCH NAGICH MIECZY

Kto lubi i Chopina posłuchać, i na średniowieczną rzeź popatrzeć, nie będzie mógł narzekać. Organizatorzy obchodów 600-lecia bitwy pod Grunwaldem szykują szereg konferencji, wystaw prac plastycznych, w planach jest też komiks, wybiecie monet i medalu grunwaldzkiego oraz wydanie kolekcjonerskich znaczków i kopert. Litwini szykują dodatkowo superprodukcję, film „Grunwald – Dzień żelaza”. Kulminacją obchodów będzie inscenizacja (w sobotę, 17 lipca) bitwy na polach Grunwaldu. Przyjeźdźni będą mogli ją obejrzeć w nowym amfiteatrze. Osobno świętować będzie Kraków, który szykuje m.in. inscenizację powrotu do Krakowa króla Władysława Jagiełły po zwycięskiej bitwie.

48. NARODZINY KOPERNIKA

W połowie 2010 roku czeka nas doskonała zabawa – otwarcie Centrum Nauki Kopernik w Warszawie. Zabawa, bo celem tej instytucji edukacyjnej ma być uczenie w sposób nowoczesny, bez przymuszania i smucenia, za to z dużymi emocjami i mnóstwem ciekawostek. Przebojem każdego tego typu centrum (a na świecie jest ich mnóstwo) są zawsze eksperymenty, które można wykonywać własnoręcznie. Różne lunaparki i inni wyciągacze pieniędzy będą się mogli schować!

49. FILM „DRUŻYNA A”

Miłośnicy „Drużyny A” będą mogli w 2010 roku obejrzeć kinową wersję kultowego serialu z lat 80. Zobaczymy między innymi Liama Neesona (Hannibal Smith), Bradleya Coopera (Buźka) i Jessicę Biel. Fani serialu już spierają się, czy nowi aktorzy sprostać ich wysokim oczekiwaniom. „Drużyna A” wejdzie do polskich kin 8 sierpnia.

50. MŚ W SIATKÓWCE WE WŁOSZACH – CAŁE SZCZĘŚCIE, ŻE Z NASZYMI!

Cztery lata temu biało-czerwoni zdobyli srebro po przegranej w finale z bezkonkurencyjną Brazylią. Był niedosyt, ale rok temu, wygrywając bezapelacyjnie mistrzostwa Europy, panowie wyzbyli się kompleksu Złotek. We Włoszech (od 23 września do 10 października) głównym rywalem Polaków znów będą Brazylijczycy i... sami Polacy. Jeśli nasi zawodnicy pokonają dziwne stany swego umysłu, przez które czasem przegrywają z takimi potęgami jak Egipt, zdobędą medal. Kto wie, może po 36 latach znów będzie to złoto?

51. DZIENNIK MIRONA BIAŁOSZEWSKIEGO

Zgodnie z wolą autora dopiero w 2010 roku mogło dojść do jego publikacji. Na razie znamy parę fragmentów drukowanych w czasopiśmie, ale i bez nich – najzupełniej w ciemno – można orzec, że będzie to najważniejsza książka tego roku. Wydawnictwo Znak zapowiada jej wydanie na jesień, więc zimą, wiosną i lato spędzimy na wyjętym z czekaniu na nieznanne zapisy mistrza Mirona.

52. DLA MIŁOŚNIKÓW TNKDSL

„Krwawego południka” Cormaca McCarthy’ego nie doczekaliśmy się – wbrew zapowiedziom – w roku ubiegłym, lecz chyba doczekamy się teraz. Krwawa opowieść o amerykańskim pograniczu, uchodząca za główne opus autora „To nie jest kraj dla starych ludzi”, trafi do polszczyzny za pośrednictwem Wydawnictwa Literackiego.

53. CZESKIE ŚWIĘTA

Jiří Kolář – zmarły w 2002 roku poeta, dramaturg, teoretyk sztuki, plastyk – był jedną z ikonicznych postaci czeskiej sztuki i niezależnej kultury ubiegłego stulecia. Są szanse, że wyprawimy mu w Polsce małe uroczystości ku czci – za sprawą dużego wyboru wierszy „Sposób użycia” w przekładzie niezmordowanego w imporcie świetnej czeszczyzny (i nie tylko) Leszka Engelkinga (ATUT). Rzecz nie jest jeszcze podobno stuprocentowo pewna (problemem mogą okazać się, jak zwykle, pieniądze), ale tym bardziej warto jej – oby skutecznie – wyczekiwać.



54. KOBIETY DO WŁADZY

W Sejmie odbędzie się głosowanie nad projektem ustawy parytetowej. Warto żyć dla równości płci na partyjnych listach wyborczych, bo – jak pokazują doświadczenia innych krajów – przez większy udział pań polityka cywilizuje się, a w debacie publicznej przełamywane są pozostałe tabu. Słowem: zyskuje demokracja. Za parytetem jest SLD i duża część PO z premierem włącznie, więc szansa, że ustawa przejdzie, jest spora.

55. WARSZAWA BĘDZIE MIEĆ LEPSZĄ WODĘ

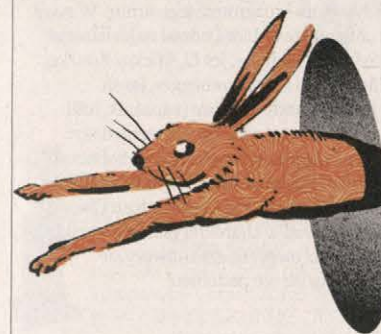
W przyszłym roku skończy się przebudowa warszawskich filtrów Lindleya. Dzięki temu znacznie ma się poprawić jakość wody w stołecznych kranach. Teraz leci z nich cuchnąca breja nienadająca się do picia. Jest ona uzyskiwana z tego, co płynie w Wiśle. Po modernizacji, kosztem 60 milionów euro, woda będzie filtrowana przy pomocy węgla aktywnego, a potem ozonowana. Dzięki temu w procesie uzdatniania w ogóle przestanie być używany chlor. Nowe urządzenia staną w wykańczanym właśnie budynku o powierzchni 12 tysięcy metrów kwadratowych, nawiązującym do zabytkowej architektury starych Filtrów. Prawie dwie trzecie inwestycji sfinansowała Unia Europejska.

56. MINISTER ZNÓW BĘDZIE (TYLKO) MINISTREM

Kto był zwolennikiem oddzielenia funkcji ministra sprawiedliwości i prokuratora generalnego, będzie miał powody do zadowolenia. Zostaną rozdzielone. Chodzi o to, by na czele prokuratury nie stawiali politycy z legitymacją partyjną w kieszeni. Jerzy Jaskiernia, Grzegorz Kurczuk (SLD) czy Zbigniew Ziobro (PiS) byli przecież ważnymi działaczami swoich ugrupowań. W konsekwencji zdarzało się, że prokuratura działała na rzecz interesów konkretnych polityków. Wystarczy przypomnieć umorzenie śledztw w sprawie tzw. inwigilacji prawicy, tzw. mo-skiewskiej pożyczki czy kontrowersyjny przypadek zatrzymania prezesa PKN Orlen Andrzeja Modrzejewskiego. Teraz, na mocy nowej ustawy, prokuratora generalnego wybierze prezydent spośród dwóch kandydatów przedstawionych przez Krajową Radę Sądownictwa.

57. „GDZIE MIESZKAJĄ DZIKIE STWORY” W KINACH

Na myśl o tym filmie nogami przebiegają w szczególności fani Maurice’a Sendaka (autor książki) i Spike’a Jonze’a (autor ekranizacji). Nie wszyscy wiedzą, że ten pierwszy – genialny autor i ilustrator książek dla dzieci – ma polskie korzenie: rodzice wyemigrowali z Polski do Nowego Jorku. Drugi wslawił się zjawiskowymi teledyskami dla Björk, R.E.M. i Beastie Boys. Przestrzegamy jednak, że filmem familijnym „Gdzie mieszkają dzikie stwory” bynajmniej nie jest. „Przyciszony, a momentami nawet lekko depresyjny obraz o tym, że strach przed otaczającym światem dziecko może utracić, tylko tracąc niewinność” – napisał recenzent „The Guardian”. Dokładna data polskiej premiery jest wciąż nieznana, więc wciąż nie wiadomo, kiedy ostatecznie stracimy niewinność.



59. JEDYNE WYBORY, KTÓRE NAPRAWDĘ NAS KRĘCĄ

Ktoś poniesie klęskę. Albo Lech Kaczyński, albo Donald Tusk. A może obaj? Jak widać, emocje gwarantowane. Polityki wprawdzie nie kochamy, ale akurat na wybory prezydenckie chodzimy najchętniej. Wybór głowy państwa uzależniony jest bowiem bezpośrednio od głosów wyborców. Głosujemy na konkretnego człowieka, a nie – jak w wyborach parlamentarnych – na partię. To pozwala nam poczuć smak realnego wpływu na władzę. A jeśli tak, to czy miejsce w Pałacu Prezydenckim zajmie Tusk, który tym samym będzie musiał pożegnać się z funkcją premiera i oddać swemu następcy splendor prowadzenia prac całej UE, gdy w drugiej połowie 2011 roku Polska przejmie unijne przewodnictwo? Nie mówiąc już o tym, że taki wybór byłby dla Tuska końcem marzeń o zmianie konstytucji i silnym ośrodku kancelarskim, bo przecież jako prezydent nie będzie walczył o ograniczenie własnej władzy. Te wybory będą kluczowe także dla lewicy. Albo któryś z jej kandydatów (Jerzy Szmajdziński lub Tomasz Nałęcz) zajmie przynajmniej trzecie miejsce, albo lewica przestanie być istotnym graczem politycznym i przyjdzie jej po raz kolejny wyprowadzić sztandar.

60. JEDYNE WYBORY, KTÓRE NAPRAWDĘ SIĘ LICZĄ

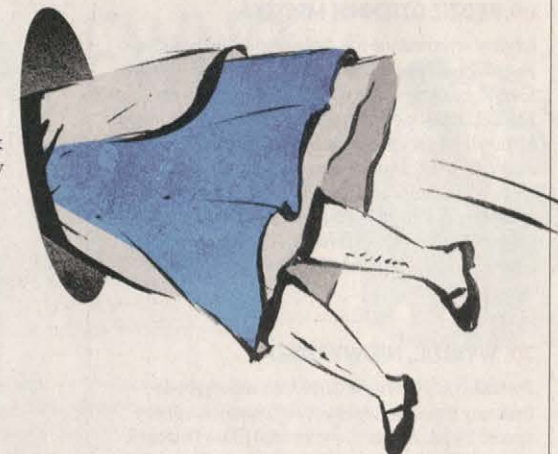
Jesienią wybierzemy prezydentów miast, burmistrzów, wójtów i sołtysów. I wbrew pozorom ich codzienna praca jest dla każdego z nas o wiele istotniejsza niż działania głowy państwa. Bo od ich sprawności menedżerskiej zależy rozwój naszego miasta, wsi, gminy oraz to, czy zdołają wykorzystać niepowtarzalną okazję finansowania różnych inwestycji z pieniędzy Unii Europejskiej. W latach 2007–2013 roku Polska ma do wykorzystania 67 miliardów złotych funduszy strukturalnych: na budowę i modernizację dróg, szkół, wodociągów, oczyszczalni ścieków, zakładów przemysłowych. Dzięki tym pieniądзом wiele gmin już wypiękniało. Od naszego wyboru zależy, czy będą pięknieć nadal.

61. WRACA VAN HALEN...

...w dodatku gwiazdy heavy metalu z lat 80. znów wydadzą płytę ze swoim najsłynniejszym wokalistą Davidem Lee Rothem, pierwszą od ćwierć wieku. I po raz pierwszy z młodzieńskim Wolfgangiem (od Wolfganga Amadeusza Mozarta) Van Halenem na gitarze basowej. Jest to syn Eddiego Van Halena,

58. „ALICJA W KRAINIE CZARÓW” W KINACH OD 5 MARCA

Ekranizacji „Alicji...” było już ponad dwadzieścia, od filmów aktorskich, po animacje Disneya. Swoją wersję w 1981 roku wyprodukował nawet Związek Radziecki. Czemu więc tak bardzo czekamy na kolejną? Bo po raz pierwszy w historii książkę Lewisa Carrolla wziął w obroty człowiek o równie pokręconej co pisarz wyobraźni: Tim Burton, ten od „Edwarda Nożycorękiego” i „Gnijącej panny młodej”. Zresztą powodów do sprawdzenia tej wersji „Alicji...” jest więcej. Autorem zdjęć jest polski operator od lat pracujący w Hollywood Dariusz Wolski (pracował między innymi przy „Piratach z Karaibów”), a rolę Alicji gra Australijka polskiego pochodzenia Mia Wasikowska.



gitarzysty grupy, a zarazem bratanek Alexa Van Halena, perkusisty. Tę sieć zależności warto znać, bo nowej płycie towarzyszy gra „Guitar Hero: Van Halen”. A ponieważ Van Halen byli w latach 80. grupą najczęściej odgrywaną na rakietach do tenisa przez domorosłych wirtuozów, teraz ma szansę stać się przebojem konsoli do gier.

62. HISTORIA 80 MILIONÓW ZŁOTYCH...

...które działacze Solidarności wyciągnęli z państwowej kasy tuż przed 13 grudnia 1981 roku. To między innymi dzięki tym pieniądзом związkowi udało się działać w czasie stanu wojennego. Na ekran historii przeniesie Waldemar Krzystek, a film ma być utrzymany w konwencji kina gangsterskiego (wyprawa po pieniądze przypominała ponoć skok na bank). O ile jesteśmy umiarkowanymi fanami poprzedniego filmu Krzystka („Mała Moskwa”), o tyle pomyśl na pokazywanie polskiej historii od innej niż martyrologicznej strony bardzo się nam podoba. Zatem trzymamy kciuki i czekamy na efekty.

63. ZŁODZIEJOM KART BĘDZIE TRUDNIEJ

W tym roku na rynek trafią bezpieczniejsze karty płatnicze. Dziś większość z nich ma pasek magnetyczny, który stosunkowo łatwo skopiować. Jeśli złodziej zamontuje na bankowym czytniku kart specjalną nakładkę i jeśli pozna nasz PIN, to ma już wszystko, co trzeba, by dostać się nam do konta. Nowe karty będą mieć informacje zapisane na czipie, a więc na nośniku, którego złodzieje nie potrafią jeszcze podrobić. Trzy banki zaczęły już wydawać takie karty, a BZ WBK wyposażył w nie wszystkich swoich klientów. Wymiany nie dokonały jednak dwa największe banki: PKO BP (ma 7 milionów klientów) oraz Pekao SA (5 milionów). W tym roku czeka nas więc masowa wymiana kart, zwłaszcza że instytucje finansowe, które nie robią tego do końca tego roku, czekają kary.

64. WPADNIJ NA JUBILEUSZOWE PIWO

Na Oktoberfest warto oczywiście pojechać zawsze, ale w tym roku warto szczególnie. Monachijskie święto piwa obchodzi bowiem jubileusz 200-lecia. Między 18 września a 4 października na wspólne piwo w charakterystycznych litrowych kufkach zwanych *mass* przyjdzie co najmniej sześć milionów ludzi, dlatego hotel w Monachium warto zarezerwować już teraz.

65. WRESZCIE POLKI BĘDĄ JAK BOSKA MARILYN

Kultowa marka jubilerska Tiffany & Co. ma wejść do Polski – jej stoiska pojawią się ponoć w wybranych salonach W. Kruk (podobne ma już Rolex). Ekskluzywna biżuteria w charakterystycznym pudełku z seledynową wstążką popularnie zwanym blue boksem (to oficjalnie zastrzeżony kolor nazwany „Tiffany blue” albo „kolorom jaja drozda”) to amerykańska ikona stylu i elegancji, luksus w najlepszym wydaniu. Teraz ulubioną biżuterię Marilyn Monroe czy Audrey Hepburn („Śniadanie u Tiffany’ego”) będą mogły nosić Polki. Niestety, tylko bogate.

66. PÓŁ METRA DROGI TO TWOJE DZIEŁO

Liczy podawane przez Generalną Dyрекcję Dróg Krajowych i Autostrad brzmią jak muzyka dla uszu każdego kierowcy: w 2010 roku planowana jest budowa 1247 kilometrów dróg (około pół metra w przeliczeniu na każdego finansującego je podatnika), w tym 536 kilometrów autostrad i 711 kilometrów dróg ekspresowych. Na tym tle nawet 30 miliardów przeznaczonych na ten cel nie zgrzyta. No dobrze, nie wierzymy, że GDDKiA wywiąże się z planów w stu procentach, ale nawet jeśli w 2010 roku statystyczny podatnik położy 10 centymetrów asfaltu, to i tak warto na nie czekać.

67. WRACA „OPIS OBYCZAJÓW”!

Tak, tak, to nie plotka! Mikołaj Grabowski kompletuje obsadę do trzeciej edycji swojego najsławniejszego spektaklu sprzed 20 lat. Obok kilkorga weteranów z tamtej dawnej obsady zagra nowa, młoda gwardia z Tomkiem Karolakiem na czele, nowy też będzie scenariusz, adekwatny do dzisiejszych czasów.

68. SEWERYN, PODEJŚCIE OSTATNIE

Po kilku przymiarkach do zasiadania w dyrektorskim fotelu któregoś z polskich teatrów (a była mowa co najmniej o Narodowym i Starym) Andrzej Seweryn, czołowa gwiazda Comédie Française, od nowego sezonu będzie kierował warszawskim Teatrem Polskim. Może nareszcie po tylu latach pętania się po artystycznych opłotkach zasłużona stołeczna scena odzyska dawny wigor i odbuduje artystyczną pozycję. Dyrektorowi Sewerynowi i scenie życzymy 2010 sukcesów.

69. BĘDZIE DZIENNIK MROŻKA

Czyżby szykował się rok dzienników? Bo wcale nie jest przesadzone, kto w konkurencji o miano Dziennika Roku ostatecznie wygra: Białoszewski czy Mrozek, który swoje zapiski z kilkudziesięciu lat po stanowił niespodziewanie wydobyć z kufra. Przedsmak zaś tego, co może nam zaoferować autor „Słonia” i „Tanga”, od paru lat dostajemy w postaci grubaśnych tomów korespondencji Mroźka z Błoińskim, Skalmowskim i Tarnem. A przygotowują się dalsze, z Erwinem Axerem i – uwaga! – Stanisławem Lemem.

70. WYJDZIE, NIE WYJDZIE?

Polański oczywiście. W 2010 roku ani chybi doczekamy się ostatecznego rozstrzygnięcia sprawy sprzdy 30 lat. Ale też najnowszego filmu Polańskiego – „Ghost”, w obsadzie którego znaleźli się między innymi Pierce Brosnan i Ewan McGregor. Jakkolwiek świetny byłby ów thriller polityczny, tym razem życie emocjonować będzie bardziej niż kino.

71. ZAĆMIENIE KSIĘŻYCA

Jeśli nie masz jeszcze planów na poranek 21 grudnia 2010 roku, to mamy propozycję nie do odrzucenia. Wstań o świcie i poszukaj dogodnego miejsca, by spojrzeć w niebo. Jeśli będzie bezchmurne, masz szansę zobaczyć, jak cień rzucany przez Ziemię przysłania Księżyc w pełni. Niezwykle, rzadkie i do tego za darmo. Czego chcieć więcej?

72. EURO TANIE JAK NIGDY

Szwajcarski bank UBS prognozuje, że na koniec 2010 roku euro będzie kosztować 3,4 złotego, a frank szwajcarski 2,26 złotego. Jeśli się nie myli (a w ostatnich latach się nie mylił), to posiadacze kredytów odetchną z ulgą, a wyjazd na wczasy do Miami przestanie być fikcją.

73. POZNAĆ BĘDZIE MIAŁ MINARET

„Projekt w procesie realizacji” – taką informację znajdziemy na stronie Joanny Rajkowskiej – tej samej, która ustawiła palnę na stołecznym rondzie de Gaulle’a i pozwoliła warszawiakom odetchnąć przy tryskającym wodą Dotleniaczu. Ów projekt to Minaret, w który ma się przekształcić nieużywany komin na skrzyżowaniu ulic Estkow-

skiego i Garbary w Poznaniu. Jeszcze nie powstał, a już wywołał burzę. Poznańscy urzędnicy uznali, że będzie to religijna prowokacja i obiekt obcy kulturowo. Realizacji nie doczekał się wciąż inny projekt w przestrzeni miejskiej: „(...)” Anny Baumgart i Agnieszki Kurant. Wielokrotnie ze srebrnych balonów, znak opuszczenia, zawisnąć miał w grudniu 2009 roku w miejscu kładki na Chłodnej, łączą-

cej w czasie okupacji tak zwane male i duże getto. Instalacja przypominać miała o wymordowanej społeczności i o lukach w pamięci. Warto dożyć chwili, gdy oba intrygujące i owszem prowokujące – tyle że do myślenia – projekty staną się rzeczywistością.

74. KOLEJNE CUDOWNE ROLE COLINA FIRTHA

Ostatnie dwa sezony pokazały, jak wielce mylili się ci, którzy myśleli, że popularna rólka Marka Darcy’ego w „Dziennikach Bridget Jones” to szczyt możliwości Firtha. W tym roku zobaczymy go na ekranie w „A single man” Toma Forda w przepięknej, poruszającej roli geja przeżywającego żałobę po zmarłym kochanku (pikanterii filmowi dodaje fakt, że akcja dzieje się w jeszcze bardziej niż dzisiaj nieprzychylnych dla mniejszości seksualnych latach 60.) i jako lorda Henry’ego Wottona w „Dorianie Grayu” na motywach powieści Oscara Wilde’a.

75. SIEDMIU WSPANIAŁYCH

Dyktator w pewnym południowoamerykańskim kraju porywa, morduje i gnębi swoich obywateli. Wrażliwy na ludzką krzywdę rząd USA oczywiście

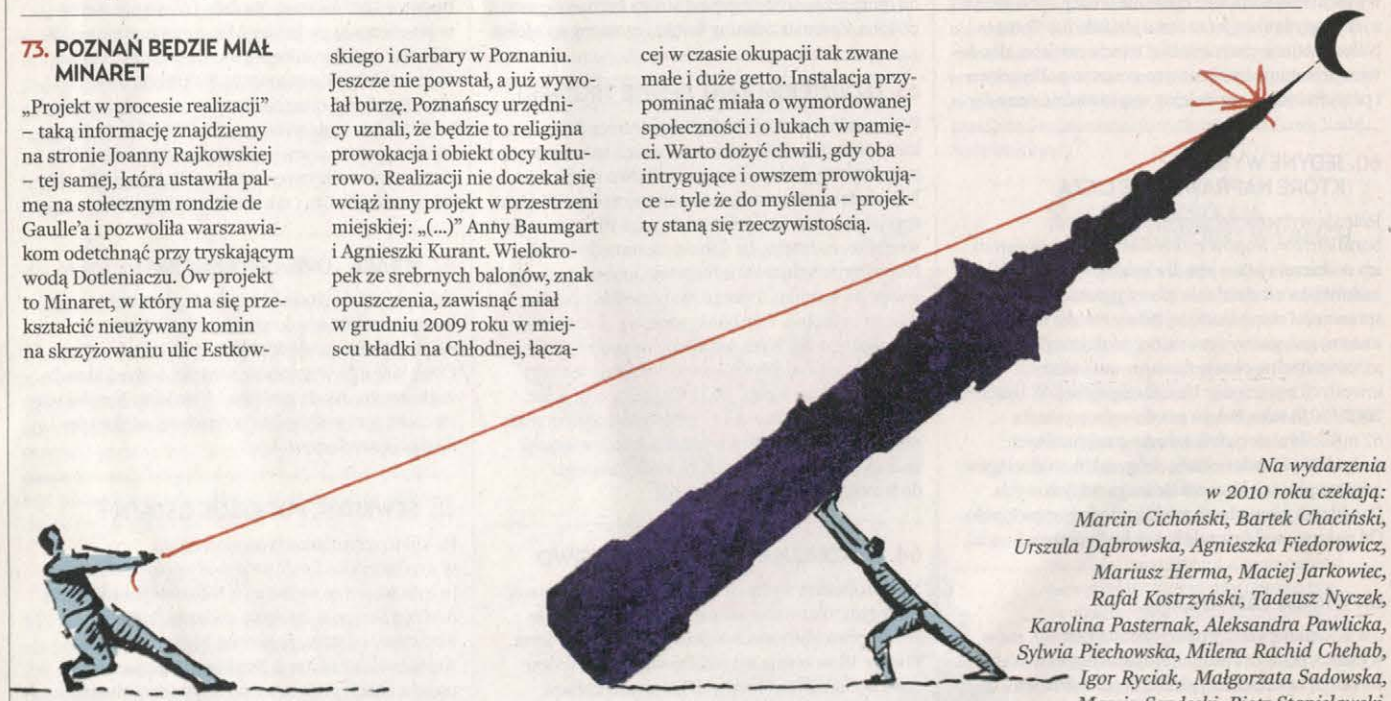
nie może tego ścierpieć, więc postanawia odsunąć od władzy dyktatora i rozgromić jego armię. W misji z gatunku „niemożliwe” biorą udział najdzielniejsi Ameryki: Sylvester Stallone, Jet Li, Mickey Rourke, Bruce Willis, Arnold Schwarzenegger, Jason Statham i niejaki Randy Couture (zapaśnik, jeśli ktoś nie wie). No nie mówcie, że nie warto dożyć chwili, by całe to doborowe towarzystwo zobaczyć w jednym filmie! Podejrzewamy, że kawę na planie „The Expendables” nosił Vin Diesel, a Jean Claude Van Damme podawał w charakterystyki waciki. I niech któryś widz na premierze odważy się powiedzieć, że mu się nie podobało!

76. MIESZANKA WYBUCHOWA W PUERTO RICO

Johnny Depp wziął się do swojego ulubionego pisarza Huntera S. Thompsona. Ale nie do lektury, tylko ekranizacji (jako producent i odtwórca głównej roli) „The Rum Diary”, powieści o dziennikarzu, który w latach 50. porzuca Nowy Jork i obejmuje posadę w dzienniku wychodzącym w Puerto Rico. Rzecz o ucieczce od problemów do... jeszcze większych problemów. Depp, Karibby, Thompson, rum – zapowiada się naprawdę mocna mieszanka.

77. OBRAŻA, NIE OBRAŻA?

„Tajemnica Westerplatte” staje się z miesiąca na miesiąc coraz bardziej tajemnicza. Po głośnej awanturze o scenariusz tego rzekomo „niepatriotycznego” filmu problemy z produkcją się nie skończyły. Podczas kręcenia zdjęć na Litwie rozchorował się odtwórca roli majora Henryka Sucharskiego Bogusław Linda. Czy doczekamy się więc jeszcze w 2010 roku filmu ze słynną już sceną, gdy jeden z bohaterów sika na portret Rydza-Śmigłego? Oto jest pytanie. Niepatriotyczne. Ale warto czekać na odpowiedź.



RADIO VOX FM
Więcej na ten temat słuchaj w Radiu VOX FM we wtorek 5 stycznia o godz. 20.00

Na wydarzenia w 2010 roku czekają:
Marcin Cichoński, Bartek Chaciński,
Urszula Dąbrowska, Agnieszka Fiedorowicz,
Mariusz Herma, Maciej Jarkowicz,
Rafał Kostrzyński, Tadeusz Nyczek,
Karolina Pasternak, Aleksandra Pawlicka,
Sylvia Piechowska, Milena Rachid Chehab,
Igor Ryciak, Małgorzata Sadowska,
Marcin Sendecki, Piotr Stanisławski,
Krzysztof Szczepaniak, Jarek Szubrycht,
Joanna Woźniczko-Czczott

WYDARZY SIĘ NA PEWNO

KRÓTKA HISTORIA ROKU, KTÓRY DOPIERO SIĘ ZACZYNA



Zima

17 stycznia w Beverly Hilton Hotel w Los Angeles wręczone zostaną **[Złote Globy]**, a my dowiemy się, czy prestiżowa nagroda powędruje do rąk Abila Korzeniowskiego, polskiego kompozytora pracującego w USA. Korzeniowski nominowany jest za muzykę do świetnego „A Single Man” Toma Forda.

17 stycznia I tura wyborów prezydenckich na Ukrainie.

27 stycznia rozpocznie się jubileuszowe, 40. spotkanie światowych liderów ekonomii w szwajcarskim Davos.

29–30 stycznia w salonach sprzedaży pojawi się długo wyczekiwany **[Opel Astra IV]**. To będzie pierwsza z kilkudziesięciu premier samochodowych tego roku – potem do sklepów trafią jeszcze nowe wersje takich aut, jak Toyota RAV4, VW Passat, Renault Mégane, Citroën C3 czy Nissan Qashqai.



W czerwcu na rynku pojawi się nowa wersja pakietu biurowego **Microsoft Office 2010**.



18 maja – setna rocznica śmierci **[Elizy Orzeszkowej]**, pisarki i publicystki, autorki powieści „Nad Niemnem”. O Orzeszkowej mówiono, że „była żywą mądrością i czującym sercem całej epoki”.

25 czerwca – zakończenie roku szkolnego. W tym roku **wakacje** potrwać 67 dni (1630 godzin), czyli 18 procent roku. Powrót do szkoły w środę 1 września.



Od 4 do 9 października kolejna odsłona festiwalu teatralnego **[w Olsztynie Demoludy]**. Po krajach byłej Jugosławii przyszła kolej na teatr i dramaturgię Grupy Wyszehradzkiej. Czesi nas rozbawią, Węgrzy zarażą melancholią. Tylko co pokażą Słowacy?

8 października mija sto lat od śmierci **[Marii Konopnickiej]**, pisarki, tłumaczki, działaczki na rzecz praw kobiet, publicystki, autorki między innymi „Roty”, „Na jagody”, „Naszej szkapki”. Jej imię nosi jeden z kraterów na Wenus.



31 grudnia – tego dnia dzięki wielkiemu programowi redukcji zatrudnienia w **Telekomunikacji Polskiej** liczba zatrudnionych zmniejszy się o rekordowe 1980 osób. Dziś spółka zatrudnia ponad 22 tysiące ludzi.

Wiosna

10 i 11 lutego w łódzkiej Arenie wystąpi **[Depeche Mode]**. To koncert w ramach trasy Tour of the Universe promujący album „Sounds of the Universe”.

23 lutego – po raz pierwszy w nowym składzie zbierze się **Rada Polityki Pieniężnej**. Nowa Rada powoływana na sześć lat będzie najprawdopodobniej ostatnią w historii. Po wejściu Polski do strefy euro RPP w Europejskim Banku Centralnym będzie reprezentował tylko prezes NBP.

1 marca, w urodziny **Fryderyka Chopina**, w stołecznym Zamku Ostrogskich otwiera podwoje najnowocześniejsze muzeum Europy i najdroższa z polskich inwestycji kulturalnych – pochłoneła aż 81 milionów złotych! Zwiedzający zaopatrzeni w bilet czipowy RFID będzie mógł poznać życie i twórczość Chopina na 32 **[profilach]** zwiedzania, 4 poziomach merytorycznych i w 8 językach.

PRZEKROJ

Kwiecień – 65. urodziny „Przekroju”.



7 kwietnia w Sali Kongresowej w Warszawie wystąpi **[Peter Dinklage]**. O ile uzna, że występ w Polsce to wydarzenie, dla którego warto żyć w 2010 roku.

Lato

1 lipca startuje w Gdyni **Open'er Festival**. Wśród gwiazd tegorocznej imprezy **[Pearl Jam]**.

4 lipca – inscenizacja **[bitwy pod Kluszymem]** (zwycięstwo Polaków pod Moskwą, po którym król został carem) – święto **[husarii]** i dzień chwały oręża polskiego w Warszawie.



30 lipca na ekrany kin wchodzi film Christophera Nolana „Memento”, „Mroczny rycerz”.

27 sierpnia do kin wchodzi **[„Salt”]** Phillipe’a Noyce’a. W rolach głównych Angelina Jolie i Daniel Olbrychski.



3 września to dzień premiery **[„Ostatniego władcy wiatru”]** w reżyserii M. Night Shyamalana, który swego czasu poruszył kinową widownię „Szóstym zmysłem”.

Październik/listopad – wybory prezydenckie w Polsce.

31 grudnia – od tego dnia zaczną obowiązywać wszystkie zalecenia **rekomendacji T**, czyli dokumentu, który zobowiąże banki do udzielania nam kredytu tylko w takiej sytuacji, gdy raty wszystkich naszych zobowiązań wobec banków nie przekroczą **połowy naszych miesięcznych dochodów**. O kredyt będzie więc dużo trudniej.





NIE PRZEJDE DO HISTORII

Rozmowa odbyła się 23 grudnia 2009 roku w Warszawie

Czy jest pan zaszczepiony na świńską gripę?

- Nie.

Dlaczego pan tak ryzykuje? Skoro jest pan tak cenny dla Polski, jak sam pan wielokrotnie podkreśla...

- Gdyby to była tylko kwestia solidarności z innymi zagrożonymi, to odpowiedź byłaby prosta, ale muszę odwrócić logikę tego pytania. Firmy farmaceutyczne chcą skłonić ludzi i rządy do przyjęcia całego ryzyka za szczepionkę. Znam te umowy. Wszędzie warunkiem sprzedaży jest przejście przez rządy pełnej odpowiedzialności za skutki uboczne działania tej szczepionki. Ale jest jeszcze gorzej - rządy, które ją zakupiły, muszą się zgodzić na to, że w trakcie jej dostarczania będzie się zmieniała jej receptura. Kupujemy jedną szczepionkę, a dostaniemy być może inną, bo ta na przykład...

Jest nieskuteczna?

- W wielu krajach żałują, że zdecydowali się na taką bezprecedensową relację między kupującym a firmą farmaceutyczną, zwłaszcza tam gdzie doszło do wycofania bardzo dużych partii szczepionek. Nikt w Polsce nie kwestionował sensu szczepienia się na gripę sezonową i promujemy te szczepienia, dlatego że producenci tej szczepionki są przekonani o jej skuteczności i wierzą, iż nie będzie wywoływała skutków ubocznych. Bez żadnego problemu moglibyśmy zaszczepić grupy ryzyka przy grypie świńskiej. Ale nie czynimy tego, bo producenci nie biorą odpowiedzialności prawnej za efekty uboczne, a informacje, które docierają do nas, są bardzo niepokojące. To wynika nie ze złej woli firm farmaceutycznych, ale z paniki. Panika wymaga szybkiej produkcji, a szybka produkcja uniemożliwia badania i kontrole. **Zaraz, zaraz... Coś się zmieniło... Pan zaczął wolniej mówić.**

- Starszy jestem.

I chyba coraz bardziej samotny. Zaczął pan wolniej mówić, bo więcej pan myśli o skutkach politycznych i gospodarczych każdego swojego słowa?

- Też.

Strach narasta?

- Złośliwiec powie „strach”, a ja powiem „odpowiedzialność za słowo”. Przez te dwa lata nauczyłem się, że słowo niewyszlifowane, nieprzemyślane, choć wypowiedziane z dobrą wolą, może zostać wykorzystane wbrew intencjom wypowiadającego. Kiedy w świecie narastała panika kryzysowa, to wielu ludzi...

Zaczęło wolniej mówić?

- Nie. Wielu ludzi zrozumiało, jak ważną rolę w procesach społecznych i gospodarczych odgrywa słowo.

Bo może jest już tylko słowo? Możliwość realnych działań się ograniczyła i politycy mogą wpływać na opinię publiczną tylko słowem. Uspokajać.

- Słowo zawsze odgrywało w polityce bardzo ważną rolę, a według niektórych myślicieli politycznych polityka to są właśnie słowa, co wcale nie znaczy, że to mało. Jak się kończy polityka rozumiana jako słowa, to zaczyna się wojna.

Rozkazy już są. Pan na co dzień rozkazuje PO, podobnie jak Jarosław Kaczyński PiS, Grzegorz Napieralski próbuje rozkazywać SLD, z różnym skutkiem. Ale co z tą samotnością? Kiedy wyrzucił pan, przeniósł czy po prostu przefaksował

swoich najbliższych ministrów do parlamentu, pomyślałem: Donald Tusk wybrał samotność. Wybrał samotność, bo czuje się tak silny?

Zrozumiał, że nie ma innego wyjścia, jeżeli chce

wygrać, że tamci to potencjalne obciążenie?

- W pytaniu może się kryć sugestia, że te działania są podyktowane zbliżającą się kampanią prezydencką, a nic w ostatnich miesiącach nie przybliżyło mnie do decyzji, żeby kandydować. A jeżeli pyta pan o klasyczny model samotności władzy, to jestem liderem Platformy, więc zasadne jest pytanie, na ile klasyczna zasada samotności lidera dotyczy również mnie.

Ona się pogłębiła?

- Tak, w tym klasycznym rozumieniu, w którym wiążę się z odpowiedzialnością, jest większa dziś, niż była kiedyś. Coraz ważniejsze decyzje, za które w coraz większym stopniu odpowiadam sam.

Czy na jej pogłębienie zdecydował się pan świadomie, bo bał się, że oni pana „utopia” albo uniemożliwią panu to, że zostanie pan zapamiętany jako dobry premier?

- Tego typu decyzje podejmuje się, biorąc pod uwagę kilka okoliczności. W tym sensie dokonuje się pewnego bilansu. Weźmy przykład Mirosława Drzewieckiego, osoby bliskiej mi od wielu lat w sensie towarzyskim. Nie mam i nigdy nie miałem najmniejszych zastrzeżeń co do jego uczciwości, był bardzo dobrym ministrem, zwłaszcza jeśli chodzi o przygotowania Polski do Euro 2012 i wielki projekt orlików, który wspólnie wymyślił, a który on realizował. Więc Drzewiecki jest bardzo dobrym przykładem tego, ile muszę brać pod uwagę okoliczności, kiedy podejmuję decyzję, przycinając wewnętrzne wahania, spekulacje, wyobrażenia przyszłości.

Podjął pan i jest teraz lżej? Czy samotny czuje się pan silniejszy?

- Nie jest lżej, jest ciężiej.

Chociaż spokojniej? Bo chciał pan sobie też zapewnić spokój tą decyzją.

- Niektóre decyzje wprawiają w ruch mechanizm, który w ogóle umożliwia wyjście z sytuacji krytycznej. Nie miałem wątpliwości, że rząd będzie skuteczniejszy →

Premier
Donald Tusk
nie ma mesja-
nistycznych
wizji dla
Polski i nikogo
nie chce
prowadzić na
Bastylię. Nie
spieszy się też
z decyzją, czy
będzie walczyć
o prezyden-
turę. No i nie
ma zamiaru
popelnić
samobójstwa,
gdyby Lech
Kaczyński
jednak wygrał
te wybory



→ – w sensie uwolnienia od balastu dwuznaczności – jeśli tak postąpię. Obserwuję przecież tych, którzy są zaangażowani jako świadkowie, są przesłuchiwanie, uczestniczą w komisji śledczej, i widzę, ile to zabiera emocji, jak koncentruje uwagę. A rządzenie wymaga zespołu ludzi, który jest w stanie koncentrować możliwie najwyższy procent swojej uwagi na rządzeniu.

A nie boi się pan, że ta sprawa i tak pana dopadnie? Choćby pod postacią odpowiedzialności za ostrzeżenie podsłuchiwanym przez CBA biznesmenów od hazardu w wyniku pana rozmów na temat ustawy hazardowej z Chlebowskiem i Drzewieckim? Może wbrew swoim intencjom ostrzegł pan podejrzanych?

– Absolutnie nie mam takich obaw. Sam Kamiński, udostępniając pełny zapis stenogramów, a nie sugestie, że ktoś może być obserwowany...

Tylko on to zrobił później.

– Nie mam wątpliwości, że jedyną intencją Mariusza Kamińskiego w tej sprawie była próba uderzenia w PO, a konkretnie we mnie, i że te późniejsze nerwowe działania, łamanie wszystkich reguł służyły temu celowi. Czas to pokaże z całą ostrością. Dla mnie nie jest problemem sprawa hazardowa. Przecież nikt do tej pory nie rozprawił się z tą brudną, dwuznaczną częścią hazardu w sposób tak jednoznaczny i szybki jak ja. I trzeba mieć wyjątkowo dużo złej woli, żeby szukać we mnie sprzymierzeńca tego świata.

To spróbuję zepsuć panu humor...

– Robi to pan od pierwszych słów.

Ach, ta kokieteria... Ustawa hazardowa, którą pan ekspresowo przeforsował, wydaje mi się ustawą wychowującą. A ja nie lubię władzy, która mnie paternalistycznie wychowuje. Hazard, po pierwsze, nie jest nielegalny. Po drugie, wielki wychowawco, dlaczego po tym, jak zgłosił pan projekt tej ustawy, nie powstała w równie ekspresowym tempie ustawa zakazująca gry na giełdzie? Dlaczego bogaci nadal mogą grać wielkimi pieniędzmi, a biedni, którzy chcą zagrać za 5 złotych i marzyć o wygranej 300-złotowej, nie będą mogli tego w swoim świecie zrobić, tylko w dalekim i wymagającym większych pieniędzy kasynie? Bo są słabsi psychicznie, łatwiej ulegają nałogowi hazardu?

– Hazard – tak jak picie alkoholu – jest czymś złym. Oczywiście nie dyskutowałbym o tym, czy ludzie mają prawo pić alkohol, czy nie, bo mają. Czy w Polsce mają i będą mieli prawo ulegać hazardowi? Będą mieli.

Ale bogaci bez ograniczeń, a dla biednych wprowadził pan ograniczenia.

– Nie widzę takiej zależności. Zatrzymajmy się na tym segmencie hazardu w Polsce, który wiąże się z automatami do niskich wygranych. Ich liczba przyrastała o ponad tysiąc miesięcznie. Stał się on coraz bardziej masową rozrywką dla 12-, 13-, 15-letnich dzieciaków. Nie jestem w stanie zorganizować tysięcy funkcjonariuszy, którzy będą codziennie sprawdzali, czy grający na automatach skończyli 18 lat.

Czyli państwo musi abdykować i w związku z tym staje się represyjnym wychowawcą?

– To nie jest kwestia wychowania. Tak jak nikt nie wpadnie na pomysł, aby alkohol sprzedawać w żłobkach, tak uważam, że miejscem do gry hazardowej nie jest przystanek autobusowy czy buda z dykty na ro-

gu każdej polskiej ulicy. Możemy się spierać o model polskiego liberalizmu, o zakres ingerencji państwa i ten spór nigdy się nie skończy...

Spór sporem, ale to pod pańskimi rządami powstaje w KGP nowelizacja kodeksu drogowego, która zakłada, że po trzykrotnej utracie prawa jazdy za przekroczenie limitu punktów karnych będzie można dożywotnio odbierać prawa jazdy. To myślenie rodem z domu poprawczego o zastrzygniętych rygorach!

– Jestem zwolennikiem tej wersji liberalizmu, w której rygorów jest możliwie nie-dużo, ale są bezwzględnie egzekwowane. Istnieje pewna kategoria spraw, co do których dyskusja, czy są złe, czy dobre, niepotrzebnie zajmowałaby nam czas. Tak jest na przykład z pełnym dostępem do hazardu, bez możliwości izolowania dzieci, tak jest z pornografią dziecięcą. Mogłbym wymienić tutaj wiele spraw oczywistych, gdzie państwo powinno interweniować. Tak by-

W sprawie dopalaczy jestem radykalnie nieoliberalnym politykiem

DONALD
TUSK

ło na przykład z dopalaczami. W tej sprawie byłem radykalnie nieoliberalnym politykiem, choć zdaję sobie sprawę, że w dobie obecnej trudno walczyć z takim zjawiskiem. Ale będę używał wszystkich dostępnych w ramach prawa metod i powiem bardzo otwarcie – używając forteli i podstępów, jeśli trzeba, byleby wyeliminować dopalacze czy twarde hazard wkraczający w życie dzieci. Nie słyszałem o projekcie, żeby za punkty odbierać dożywotnio prawo jazdy, ale zdaje się, że nadszedł czas, aby znaleźć dużo bardziej radykalne sposoby na pijanych kierowców.

Tu nie chodzi o pijanych kierowców.

– Tego projektu nie znam i wydawałby mi się przesadzony. Nigdy nie byłem i nie będę zwolennikiem nadmiernej obecności państwa w życiu obywateli. Na przykład dość długo analizuję każdy zapis ustawy antynikotynowej, która ma uwolnić niepalących od dymu papierosowego, bo rzeczywiście mają do tego prawo. Ale szukam rozwiązań właściwych też dla Polski, bo miałem okazję ostatnio tłumaczyć najbardziej radykalnym zwolennikom ustawy antynikotynowej, iż są takie kraje, w których palenie tytoniu w ogródku przed knajpą jest możliwe ze względu na klimat, a w Polsce nie, i że trzeba znaleźć taki sposób, który nie będzie rujnujący dla nieznoszących palaczy, takich jak pan, ale też będzie do zniesienia dla właścicieli małych knajp.

Po emocjach w sprawie dopalaczy rozumiem, że zwolennicy legalizacji marihuany nigdy nie znajdą w panu wsparcia.

– We mnie nie. A czy kiedyś w Polsce marihuana będzie legalna? Póki ja będę miał coś do powiedzenia – nie. Od razu mogę uprzedzić złośliwy komentarz, między innymi dlatego, że wiem, co to znaczy.

To było aż tak złe doświadczenie?

– Na pewno u bardzo wielu ludzi zwiększa pole ryzyka.

Nie odkrył pan czegoś w sobie dzięki marihuanie? Niektórzy odkrywają...

– Ja nie.

Panie premierze, trochę już jestem zdyszanym tą naszą wspólną pogonią za króliczkami, czyli za realnymi efektami pańskiej władzy. Już myślałem, że po dwóch latach rządów obejrzymy króliczka z bliska, a tu pan nam mówi, że dopiero jak wygra wybory prezydenckie, a PO kolejne parlamentarne, to wtedy już ho, ho, naprawdę pokażecie, jak pięknie umiecie rządzić! Sprytnie oddał pan moment, w którym mógłbym powiedzieć „sprawdzam”.

– Nie, mówię rzecz oczywistą: ważne sprawy, które były skutecznie wetowane, będzie można załatwić dopiero wtedy, kiedy będzie inny prezydent.

Tego nie kwestionuję, ale mimo świadomości realnego weta powinniście zgłaszać projekty ustaw porządkujących kraj, żebyśmy mieli świadomość, czego i jak chcecie.

– Znam ten pogląd: znudziła nas Platforma mająca 50-procentowe poparcie, marzy nam się Platforma, która ma 10 procent poparcia. Dlaczego ten Tusk nie robi tego, żeby to marzenie się zrealizowało? Otóż moim marzeniem nie jest 10-procentowa Platforma i będę podejmował działania ryzykowne oraz narażające siłę mojej formacji politycznej na szwank tylko wtedy, kiedy będę miał pewność skuteczności. Jestem i będę obiektem krytycznych uwag, szczególnie ze strony mediów. Nie narzekam, przyjmuję je z pokorą, jestem do tego przyzwyczajony.

Widzę tu trochę cyniczną pokorę.

– Że nie przejmuję się za bardzo krytycznymi uwagami?

I że mówi pan: krytykanci albo nie do końca odrobili lekcje, albo mają złe intencje, albo...

– Każdy robi swoją robotę tak, jak potrafi, tylko że marzy mi się jakieś elementarne przywiązanie do faktów. Dlatego muszę w sobie zbudować ten rodzaj pancerza, który daje mi odporność na krytykę. Szczególnie wtedy, gdy jest ona nieuzasadniona.

Czemu pan zwleka z decyzją, czy będzie kandydował?

– A co mi każe się spieszyć w tej sprawie?

Wiedzielibyśmy, co nas czeka. I mógłbym wtedy zadać pytanie: a co będzie, jeśli pan przegra, co się stanie z Platformą?

– To jest jeden z wielu, ale już wystarczający powód, żebym z tą decyzją się nie spieszył,

bo chroni mnie to przynajmniej przed odpowiadaniem na tego typu pytania.

Dopuszcza pan jeszcze możliwość, że nie wystartuje?

– Oczywiście. Do wyborów jest jeszcze wiele miesięcy.

Zaczął się pan obawiać Palikotą, odkąd zaczął opowiadać na wiecach, iż chciałby być premierem i byłby premierem doskonałym?

– Nie, ja nie boję się moich współpracowników.

A rywali? Bo Palikot tak ogłosił się pańskim rywalem?

– Tak, ale ja się czuję...

Pan też go lekceważy?

– Nie, byłbym głupcem obdarzonym jakąś dramatycznie krótką pamięcią, gdybym dzisiaj – z tego tytułu, że trochę talentu i szczęścia dało mi pozycję, jaką mam – kogokolwiek lekceważył. Trzeba raczej starać się, na ile to jest możliwe, szanować każdego rywala... Przez szacunek rozumiem taki zdrowy respekt. Jest gdzieś granica między powiedzeniem: szanuję rywala, to jest poważny gracz, a lękiem czy strachem.

Olechowski budzi szacunek czy lęk?

– Respekt, bo nie chcę wartościować, ale też nie będę udawał, że jest mi obojętne, z kim bym konkurował w tych przyszłych – domniemyanych, jeśli chodzi o mój udział – wyborach prezydenckich czy teraz, kiedy jestem szefem Platformy, bo jako premier dzisiaj nie mam rywala. Ale w każdej chwili to się może zmienić.

Niektórzy podnoszą głowy, już Komorowski zaczyna pana krytykować...

– Zauważyłem, że często w jednym akapicie autor pytań potrafi sformułować dwa tak radykalnie sprzeczne ze sobą poglądy: raz, że Platforma jest partią wodzowską nie do wytrzymania, a potem, w drugim zdaniu, że w Platformie widać poważne rysy, bo tam Palikot mówi coś, Komorowski... A ja jestem autentycznie dumny, że przewodnicząc formacji politycznej, w której mój autorytet nie jest podważany, a równocześnie jest cała duża grupa ludzi, którzy mają cywilną odwagę formułować poglądy zupełnie inne. Mówię o poglądach politycznych, bo ideoowo jakoś staramy się jednak ten szeroki bardzo korpus trzymać w ryzach.

Głównie niemówieniem o sprawach ideowych.

Donald Tusk, 53, trzynasty premier RP po 1989 roku. Szef Platformy Obywatelskiej, którą w 2001 roku zakładał z Andrzejem Olechowskim i Maciejem Płażyńskim.

Wcześniej w Unii Demokratycznej i Kongresie Liberalno-Demokratycznym.

W czasach PRL opozycjonista, przez siedem lat utrzymujący się z pracy dorywczej. Silnie związany z Trójmiastem. Obywatel Gdańska był dziadkiem [Józef Tusk], więźniem obozu hitlerowskiego Stutthof, którego Jacek Kurski (PiS) nazwał w kampanii wyborczej 2005 roku „dziadkiem z Wehrmachtu”.

Żonaty, dwoje dzieci: córka Katarzyna – studentka psychologii – i syn Michał – dziennikarz, który w ubiegłym roku obdarzył premiera wnukiem Mikołajem.



– Nie jestem ideologiem. Nie uważam, żeby naczelną cnotą polityka była ideologia.

Ideologiem rzeczywiście nie... A jest pan dobrym piłkarzem?

– Na tle polityków wybitnym, na tle piłkarzy kompletnym amatorem.

A Bielecki jest dobrym piłkarzem?

– Myślę, że mamy porównywalne umiejętności.

Na boisku gracie w jednej drużynie. Może powinien pan go wziąć do reprezentacji rządowej? Niechby posłużył państwu.

– Na tyle, na ile mógł, już mi pomagał. Jestem z nim bardzo zaprzyjaźniony od wielu lat, mamy do siebie zaufanie i to jest człowiek, którego prognozy czy wyczucie bywały bezcenne. Byłem jednym z niewielu, którzy oceniali premierostwo Bieleckiego najwyżej. I dlatego na tyle, na ile to było możliwe, kiedy pełniliśmy tak różne funkcje, z pewnych jego intuicji i politycznej dojrzałości korzystałem. Teraz, gdy zrezygnował z roli prezesa banku, mam nadzieję, że przyjmie moją propozycję, aby stanąć na czele Rady Gospodarczej, grupy ludzi, którzy tym będą się różnili od moich współpracowników w rządzie – myślę tu o ministrze finansów czy ministrze Michał Bonim – że nie będą musieli wykonywać moich poleceń. Współpraca – zakładałam – będzie polegać między innymi na tym, że z dobrą wolą będą mi mówić, co im się nie podoba w tym, co robimy. Więc będę prosił Bieleckiego, żeby objął patronat nad takim krytycznym, ciągłym audytem naszych poczyną. Wspólnie uznaliśmy z Jackiem Rostowskim i Michałem Bonim, że moment wychodzenia z kryzysu globalnego jest dla Polski trudniejszy niż moment, kiedy świat się w nim pogrążał. Przez te dwa lata przyzwyczailiśmy się już do tego, że Polska jest pozytywnym fenomenem w skali globalnej, jeśli chodzi o kryzys.

A oponenci nadal mówią, że u nas PKB spadł tyle samo, ile u innych, tylko mieliśmy na starcie większy wzrost, więc nie zeszliśmy na minus.

– Przynajmniej od pana redaktora oczekiwałbym natychmiast autorskiej, krytycznej recenzji tego typu bzdur! Jesteśmy w bezporównania lepszej sytuacji niż ci, którzy mieli od nas dwukrotnie wyższy wzrost w momencie, kiedy kryzys się zaczął – patrz choćby kraje bałtyckie! Jesteśmy w dwukrotnie lepszej sytuacji niż ci, którzy mieli

porównywalną sytuację z nami – patrz południowi sąsiedzi. I jesteśmy w wielokrotnie lepszej sytuacji niż kraje najbardziej rozwinięte!

Pan się tak nie denerwuje, panie premierze...

– Denerwuję się, bo to obraża Polskę! Wygrywamy bez ofiar najpiękniejszą wojnę cywilizacyjną. Jesteśmy po raz pierwszy w historii w czołówce europejskiej, a tu jacyś malkontenci marudzą. No jak można? Już cicho, spokojnie, panie premierze... Ale...

– I zawsze otwarcie mówię: nasza zasługa jest tylko w jakiejś części. Nie mówię, że przyszedłem tu z Rostowskim i genialnie to wymyślił! A wiem, co wymyślił, żeby nie popaść w gorsze tarapaty, i wiem, co robili nasi oponenci, żeby Polska popadła w te tarapaty. Nasza zasługa jest to, że się nie ugięliśmy – nie tylko przed Kaczyńskim... To, że myśm nie „wdepnęli” w ten kryzys, jest tym bardziej godne podkreślenia, że Polska na plecach ma także PiS, nie tylko bankrutstwo Lehman Brothers, ale także innych brothers. I oni nie ułatwiali Polsce wychodzenia z tego kryzysu.

A jak już jesteśmy przy tym nazwisku... Czy jeśli będzie reelekcja Lecha Kaczyńskiego, to popiełni pan samobójstwo? Bo wizje, jakie pan snuje na ten temat, że nie uda się niczego naprawić, nie uda się niczego zrobić, ruszyć, nie pozostawiają wyboru.

– Nie jestem specjalistą od czarnowidztwa... Jeśli będzie reelekcja Lecha Kaczyńskiego, dalej będziemy żyli w Polsce z podobnymi problemami, dalej trzeba będzie robić to, co do nas należy.

Ale największych „dzieł” nie zrobicie, bo jest prezydent Lech Kaczyński.

– Mam inny sposób wartościowania pracy rządu. Ważna jest przydatność i celowość tego, co robimy. Ważne, na ile poprawia to życie ludzi, a nie, czy kwalifikuje się do wielkich dzieł. Zawsze uczciwie podkreślałem, że jeśli ktoś szuka geniusza od wzniosłych dzieł, nie jestem nim ja, choć niektórzy moi koledzy przez moment tak sądzili.

Odbił pan z nimi poważne rozmowy czy po prostu popłakał się ze szczęścia w łazience?

– Nie, bardzo konkretnie poprosiłem, żeby takich bzdur nigdy więcej nie mówili, bo robią to także na mój koszt.

Ale żona chyba panu mówi, że jest wspaniały?

– Czasami Gosia, moja żona, wspiera mnie SMS-ami... Nie wiem, czy kojarzy pan książkę Stiega Larssona „Millennium”. Ja jestem wśród tej większości świata, która ją czytała, bo Gosia rekomendowała mi ją, gdyż jest wielbicieleką literatury skandynawskiej, także tej kryminalnej. Pozytywnym bohaterem „Millennium” jest Michael Blomkvist, dziennikarz, który potrafi postawić się wielkim koncernom. Zajmuje się trudnymi sprawami politycznymi i społecznymi i nie wyemka, kiedy grozi mu nawet śmierć. Ja od czasu do czasu muszę podejmować decyzje, o których nikt niczego dobrego nie napisze, bo naruszają wiele poważnych interesów. Tak było wtedy, kiedy usiłowano mnie zmusić do ustępstw na rzecz firm, które popadły w tarapaty z opcjami, albo kiedy banki się zmawiały, żeby wymusić od nas dużo większe korzyści itd., itp. I przy którymś kolejnym takim starciu, w sytuacji wyjątkowo trudnej, kiedy już tylko mój kaszubski upór kazał mi mówić „nie”, dostaję SMS-a, czytam, a Gosia pisze: „Jesteś moim Blomkvistem”. Mam tego SMS-a do dziś.





Najszlub
pyta

FOT. MARCIN KALIŃSKI/NEWSPIX.PL, MAREK SZCZEPAŃSKI (3), KFP

→ **Stodkie. Kto jest pańskim największym wrogiem?**

– Oczywiście domaga się pan odpowiedzi wyrafinowanej.

Nie, prostej i krótkiej: imiona, nazwiska.

– Czyli kto chce mnie zniszczyć? Legion, jego imię Legion. (*śmiech*)

Panie premierze, niech pan sfrunie na ziemię.

– Jak ktoś ma dużo władzy i mój charakter, nie sposób, żeby to nie rodziło coraz większych emocji w stosunku do mojej osoby. Nie dlatego, że byłem agresywny, bo nie jestem. Może nawet nadmiernie w tych zachowaniach zewnętrznych staram się być łagodny, spokojny, ale pamięta pan, przez ile lat mówiono o mnie „niewyraźny, miękki”...

„Mydło”... Sam tak mówiłem.

– I pisał pan. Więc pławię się teraz w tych setkach komentarzy – „wódz, dyktator”. Doczekałem się nawet w poważnych tygodnikach porównań ze Stalinem.

Nawet ja panu zazdroszczę, ale Lech czy Jarosław?

– Jak nie ma wojny z jakimś najeźdźcą zewnętrznym, powinniśmy bezwzględnie wystrzegać się definiowania kogokolwiek jako wroga. Wiadomo, wroga trzeba zniszczyć i wtedy całe życie zamienia się w opętanie misją niszczenia. Gdyby tak się stało, moi przeciwnicy okazaliby się bardzo skuteczni. Nie, nie mam wrogów.

Jakie wyrafinowane upokorzenie...

– Tak? Udało się?

Tak. Pod pańskimi rządami możemy się dorabiać w miarę spokojnie, ale po co mamy żyć? Brakuje jasnego, dalekosiężnego celu.

– Powiem bez emocji: rzeczywiście nie jestem premierem skrojonym dla ludzi, którzy mają mesjańskie oczekiwania i romantyczne wyobrażenia o polityce. Szczególnie dużo jest ich wśród przegranych polityków albo wśród dziennikarzy, którzy chcieli być politykami, ale im nie wyszło. Nie jest to uwaga do pana... Szkada, bo bym się odszczeknął. Pytam o cel, a nie o romantyczną wizję. Czy pańskim celem jest wstać rano i się cieszyć, że jest dzień, przeżyć go uccziwie, porządnie i pracowicie, a wieczorem zasnąć i rano od nowa?

– Byłbym najbardziej spełnionym człowiekiem, gdyby się okazało, że Polacy po kilku latach mojego rządzenia, wstając rano, czują się odrobinę szczęśliwsi. Ja nie poprowadzę nikogo na Bastylię i nie zapowiem planu sześćioletniego. Wolę, kiedy nie przypisuje mi się takich ról. Ale kiedy moi współpracownicy, ministrowie mówią: musimy ogłosić jakiś plan, czasami im ulegam.

Tak było w przypadku propozycji zmian w konstytucji?

– Nie, to raczej mi odradzano, mówiąc, iż to nie jest może najlepszy moment, że to się nikomu nie spodoba. Ale ja naprawdę wiem, że w Polsce będzie lepiej, jeśli prezydent nie będzie mógł blokować wetowań, nawet wtedy gdybym ja został prezydentem. Dzisiaj prezydent wetuje. Jego weto można odrzucić, tylko kto ma w związku z tym złoty klucz do władzy?

Opozycja.

– Partia, która przegrała wybory. Prezydent wetuje, bo wygrał kiedyś wybory. Ja proponuję jakąś ustawę, bo wygrałem później wybory do parlamentu, więc mam przewagę w parlamencie. I jest tak, iż prezydent,

mając weto, które jest silniejsze niż moja koalicja w parlamencie, powoduje, że dzisiaj wszystko zależy od SLD. Ale nie ma znaczenia, czy to będzie SLD, PiS albo Platforma. Ważne jest to, że sprawne rządzenie zależy od partii, której 90 procent Polaków powiedziało: was nie chcemy! To jest chora sytuacja. Zróbmy przynajmniej tak, żeby to weto można było odrzucić głosami koalicji, która wygrała wybory.

A na jakiej podstawie pan sądzi, że taka zmiana jest realna? Nikt jej nie poparł – ani prezydent, ani opozycja.

– Jak wiemy, kandydat PO ma wielką szansę wygrać wybory prezydenckie. Celowo mówię kandydat, bez nazwiska, bo uważam, że nie tylko ja jestem przygotowany do kampanii prezydenckiej, że jest jeszcze kilku potencjalnych kandydatów Platformy z szansami. Więc myślę, że przekonam Platformę, aby podjęła taką decyzję. Jak wygramy wybory prezydenckie, przeprowadzimy zmiany w konstytucji, które dotyczą weta. A jeśli prezydent będzie z grona Platformy, chyba nietrudno będzie skłonić konkurentów politycznych, żeby zgodzili się na okrojenie jego władzy? Tak na zdrowy rozum powinni postąpić...

Zdrowy rozum milczy w obliczu osobistych męskich namietności.

– Tylko musimy wygrać wybory prezydenckie. Uważam, że im wyższe poparcie uzyska Platforma, tym lepiej, bo jedynie my mamy pomysł na Polskę. SLD jak szuka swojej toż-

Nie jestem premierem dla tych, którzy oczekują powiewających sztandarów i płonących pochodni na wiecach

DONALD
TUSK

samości, to musi zaszaleć: pani poseł Senyszyn pokłóci się już nie tylko z Kościołem, ale i z Panem Bogiem...

Którego nie ma, co stawia ją w trudnej sytuacji.

– Popadanie w sprzeczności dobrze określa sytuację SLD. PiS ma wprawdzie pomysł na Polskę, lecz jak może być on groźny, poznaliśmy w ostatnich latach. Dzisiaj, jak sądzę, bracia Kaczyńscy mają przede wszystkim jedną obsesję i – powiem nieskromnie – ona nazywa się Tusk.

Jest pan ich największą namietnością?

– Na pewno. A tacy przeciwnicy w polityce i w życiu to niebezpieczna rzecz. Tak więc tylko my w PO, przy wszystkich wadach, jakie mamy, uczyniliśmy z wyścigu cywilizacyjnego nasz autentyczny znak firmowy. I to do czego zobowiązuje. Platforma ma zdecydowanie najwięcej ludzi, którzy emocjonują się takimi sprawami jak inwestycje, infrastruktura, Europa etc.

Co się przez ten rok wydarzy w Platformie zdaniem premiera?

– Nic, co zepsułoby mi humor.

A w PiS?

– Nic, co zepsułoby mi humor.

Ma pan jakieś przeczucie, czym ten rok dla nas się zakończy?

– Wszystko skłania mnie do wygłoszenia gładkiej, ale prawdziwej formułki, iż skończy się tym, że ta zielona mapka stanie się trwałym symbolem Polski, że my za rok będziemy obchodzili trzeci już rok z rządu, kiedy Polska będzie oceniana jako najlepsza gospodarka w Europie, nie najbogatszy kraj, ale najlepsza gospodarka. To już nie będzie „wybryk natury”, tylko znak, że zaczęło się coś absolutnie fascynującego z punktu widzenia naszych dziejów. Polska wybija się na prawdziwą niepodległość cywilizacyjno-gospodarczą. I to jest ten prawdziwy, realny cel, o który pan wcześniej pytał. Rozpoczyna się być może unikalny w naszej historii czas, że bez żadnych kompleksów będziemy mówili: „Jesteśmy Polakami”, że staniemy się takimi Holendrami dumnymi z tego, że pracujemy, zarabiamy, nie jesteśmy do tyłu wobec sąsiadów, a dla wielu sąsiadów jesteśmy parę kroków do przodu, ale nie musimy sobie tego ciągle powtarzać, bo to się staje oczywistością.

Czekam teraz na krzyk: „Polacy, potrzebujecie was!”.

– Jeśli czuję w sobie energię, to jest ona zapożyczona od tych setek i tysięcy ludzi, którzy dobrze mi życzą. Stało się tak, że w przestrzeni publicznej, którą wyznaczają dziś bardziej kamery i mikrofony niż decyzje, fakty, zdarzenia, trudno wykreować poczucie wspólnoty. I mam wrażenie, że ludzie, którzy zajmują się zawodowo polityką poprzez jej komentowanie czy uprawianie, widzą dzisiaj mniej i mniej odczuwają tę energię niż normalni ludzie. Zdrowy rozsądek plus optymistyczna energia są dzisiaj udziałem wielu Polaków. Nasi rodacy są trochę sceptyczni wobec polityków, nie oczekują od premiera, żeby wzywał do nieustającej mobilizacji. Nie jestem może wymarzonym premierem dla tych, którzy oczekują powiewających sztandarów i płonących pochodni na wiecach. Jestem dla tych ludzi, którzy mają swój zdrowy rozum i olbrzymią energię, żeby codziennie ciężko pracować dla siebie i swoich dzieci. Trochę się pan śmieje ze mnie, ale...

Uśmiecham się, że historyk to mówi. Powinien pan być raczej przejęty sobą jako przyszłą postacią historyczną.

– Ale gdzie tam! Taki tok już jest. Niech pan przejrzy podręcznik do historii! Papier jest cierpliwy, zniesie kolejne nazwisko.

– Nie, ja wiem, kto tak przejdzie do historii. Wiem, kogo będą pamiętać uczniowie po ukończeniu gimnazjum. Tusk to nie Wałęsa. Inna jest moja rola.

NAJPOPULARNIEJSZE*

przekroj.pl

1. ZUS utonie, ratuj swoje pieniądze

Igor Ryciak
Polski system emerytalny jest jak „Titanic”: widać, że okręt idzie na dno, ale na pokładzie wciąż gra orkiestra. Państwową konstrukcję trzeba zlikwidować – każdy z nas powinien stworzyć własny filar emerytalny

2. Z Raczkowskim do piekła rozmawia Piotr Najsztub
Święta są dla małych dzieci i dla zaawansowanych wiekiem rodziców, którzy już dziecinnieją. Ja jestem pomiędzy tymi granicami wiekowymi – mówi Marek Raczkowski. Jeszcze bardziej lubi kontestować sylwestra

3. Koleżeński układ z seksem Agata Jankowska
Regularny seks, zero zobowiązań i zakaz mieszania w to uczuć. Kto złamie zasady układu *fuck friends*, wypada z gry. I z łóżka

4. Uczeń wagi ciężkiej Iza Michalewicz
Gigantyczna subwencja dla szkół na niepełnosprawnych uczniów – w tym dzieci z zespołem Aspergera – dziwnie się rozplywa

5. Nie daj się oszukać infoliniom Krzysztof Szczepaniak
Mówią, co im ślina na język przyniesie, mylą się i kłamią, bo za swoje błędy nie ponoszą odpowiedzialności. Czy na konsultantów w infoliniach oraz biurach obsługi klientów jest jakaś rada? Jest. Zaczni od zakupu telefonu z możliwością nagrywania

6. Czy Google na nowo wynalazł e-mail? Maciej Lakus
Inżynierowie Google zadali sobie pytanie: jak wyglądałby e-mail, gdyby wynaleziono go dzisiaj? Ich odpowiedzią jest Google Wave. Czy za rok wszyscy będziemy z niego korzystać?

7. Nedelmann: Doczekam legalnej marihuany rozmawia Maciej Jarkowiec
O tym, skąd wzięła się narkotykowa prohibicja i dlaczego trzeba z nią skończyć, opowiada założyciel i prezes Drug Policy Alliance

8. Na kłopoty – bezdzietni Agnieszka Fiedorowicz, Iwona Hałgas
Dzieci. Ponoć są fajne, ale nie wszystkich to przekonuje. „Bezdzietni z wyboru” tłumaczą, że brak dzieci nie tylko nie szkodzi, ale nawet pomaga – społeczeństwu, psychice i budżetowi. I nie sposób odmówić im racji

9. Człowiek wielu wymiarów Karolina Pasternak
Sądny dzień dla kina. Na ekrany wchodzi „Avatar”, który zdaniem jego twórcy Jamesa Camerona zapoczątkuje w kinie erę trójwymiaru

10. „Pegaz” ostrzelony, Łobodziński opowiada rozmawia Piotr Najsztub
Filip Łobodziński, ostatni prowadzący program „Pegaz”, który właśnie spada z ramówki TVP, mówi o największych grzechach polskiego świata sztuki i wyjaśnia, kim jest smakosz kultury

* wg danych za grudzień 2009



SYLWETKA MARIAN EILE

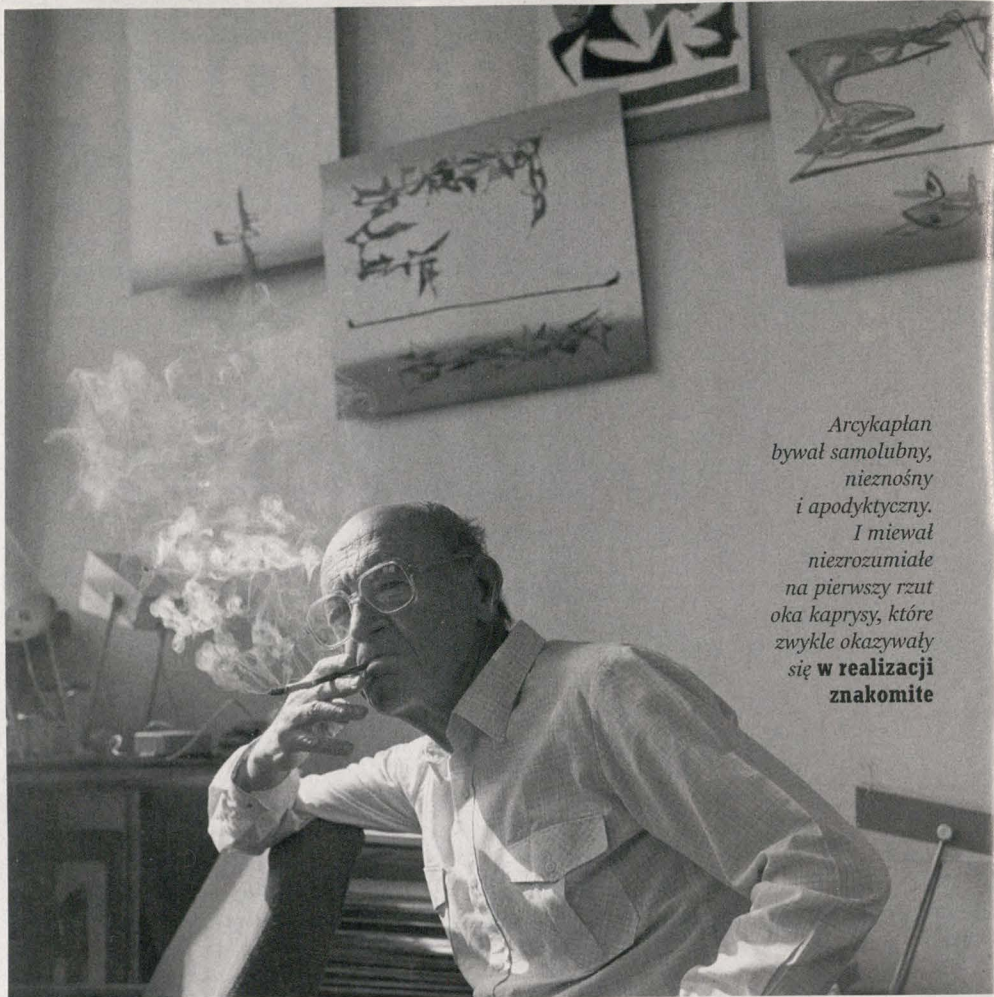
Tak właśnie – arcyapostoł – napisał o Eilem współtwórca owej cywilizacji Konstanty Ildefons Gałczyński, którego „Zielona Gęś”, „Listy z fiołkiem”, „Zaczarowana dorożka”, „Kronika olsztyńska” czy „Bulwiec” nadawały „Przekrojowi” smak liryki połączonej z kpina, mieszanek serio i bufu tak pielęgnowaną przez redaktora naczelnego.

Eile stał się legendą już za życia. Był wielopostaciowy jako Bracia Rojek, Salami Kożerski, Alojzy Kaczanowski, Andrzej Wermer, pies Fafik. Cieszyła go ta zabawa w wielonazwiskową anonimowość i zarazili nią współpracowników. Bo to miała być gra z czytelnikami za pomocą znaczonych kart, ludyczność pełną gębą.

Wśród ludzi, którzy wywarli ogromny wpływ na kulturę Polaków po wojnie, ten geniusz redaktorski ubrany w czapkę Stańczyka był Arką Przymierza między kulturą wysoką a popularną, poprzedniczką dzisiejszej popkultury. Agnieszka Osiecka napisała kiedyś o telewizji, że strywalizowała koncepcję „przekrojowego” salonu. Tygodnik Eilego w istocie źle się czuł w morzu telewizyjnopodobnej masowości, bo mimo propagowania stylu życia i myślenia także w skali powszechnej stawiał w gruncie rzeczy na indywidualizm, na przekór socjalistycznej „urawniłowce”.

Bawić się robieniem pisma

Zanim został „przekrojowym” arcyapostołem, przeszedł Eile długą drogę, która go do tego przygotowała. Urodził się we Lwowie, ale jeszcze przed wojną osiadł w Warszawie, po wojnie zaś w Krakowie. Ukończył studia prawnicze na Uniwersytecie Warszawskim. Jak się to mówi, od wczesnych lat ciągnęło go do redaktorowania. Jako uczeń gimnazjum imienia Batorego wydawał gazetkę szkolną o nazwie „Hej”, którą można uważać za zapowiedź „Przekroju” w miniaturze. Pełno tam było rameczek, krótkich dowcipnych tekstów, uderzało bogactwo czińców, kolorów i form świadczących o zamiłowaniu do malarstwa. Uczestniczył w kampanii wrześniowej 1939 roku. Do 1941 roku był scenografem w Teatrze Miniatury we Lwowie zajętym przez Sowie-



Arcykapłan
bywał samolubny,
nieznośny
i apodyktyczny.
I miewał
niezrozumiałe
na pierwszy rzut
oka kaprysy, które
zwykle okazywały
się w realizacji
znakomite

SKĄD PRZYSZLIŚMY? JAN PIESZCZACHOWICZ

Arcyapostoł cywilizacji „Przekroju”

Sto lat temu, 1 stycznia 1910 roku, urodził się Marian Eile, ojciec założyciel i pierwszy naczelny naszego tygodnika. Jego niewyczerpana inwencja wciąż jest dla nas ideałem

tów, później pracował w przedsiębiorstwie budowlanym pod Radomiem. Po wojnie wykładał w krakowskiej ASP.

Szkolę dziennikarstwa przeszedł w najpopularniejszym czasopiśmie literacko-kulturalnym międzywojnia „Wiadomościach Literackich”. Tam nauczył się od Mieczysława Grydzewskiego, że do redagowania dobrego pisma nie potrzeba wielu ludzi. Należy natomiast robić je dla przyjemności i koniecznie tym się bawić. Tam poznał też wielu znanych pisarzy, między innymi Nałkowską, Iwaszkiewiczą i Tuwima, którzy pomogli mu potem nadać „Przekrojowi” odpowiedni poziom. Traktował ich z szacunkiem, ale raczej bezceremonialnie. Zamawiając materiały, zaznaczał, że drukować

w „Przekroju” to zaszczyt. Kto w jego tygodniku nie publikował, ten się nie liczył. Kto zaś pojawiał się na tych łamach, zyskiwał rozgłos celebryty, choć wtedy nie używano takiego określenia.

I słowo stało się ciałem. „Przekrój” kupowało się spod lada, co tak skomentował Ludwik Jerzy Kern, jeden z filarów pisma: „Dzisiejszemu czytelnikowi trudno zrozumieć, że elitarna zabawa zyskiwała masowego odbiorcę. Pół miliona nakładu razy 4–5, bo liczyło się, że tyle osób czyta każdy numer, to był fenomen”. Zwłaszcza jeśli dorzucić to, że w innych krajach socjalistycznych, na czele z ZSRR, ludzie uczyli się polskiego, by mieć dostęp do tego „okna na świat”. Eile słusznie mówił, że „Przekrój” był jedynym

tego typu pismem dla milionów Słowian. Noblista Josif Brodski – i nie on jeden – wyznał, że nauczył się naszego języka głównie po to, by móc czytać krakowski tygodnik.

Kiedy w 1945 roku wyszedł pierwszy numer „Przekroju”, nie wiadomo było, jak naprawdę będzie z tą powojenną Polską. Należy oddać sprawiedliwość ówczesnemu dyspozytorowi prasy, majorowi Borejszy, że wysłał Eilego do Krakowa samolotem typu kukuruźnik, by ów mógł założyć ilustrowany tygodnik. Delikwent przyplacił transport przeziębieniem, ale już pierwszy numer pisma zwiastował wysokie loty. Można w nim było przeczytać choćby mocno alkoholowy felieton Czesława Miłosza. Kiedy po wielu latach zagadnąłem go o to, poeta uśmiechnął się i powiedział: „Przewrotny Eile zadał mi ten temat właśnie dlatego, że nie byłem abstynentem”.

Eile zaczął od ludzi, którzy pod jego kierownictwem budowali na tle powojennej polskiej szarości dom złożony z barw, blasków i cudów nie tylko mistrza Gałczyńskiego. Dołączali stopniowo, na przykład Kern zainstalował się w 1948 roku. „Nie wierzę cudzym słowom, wierzę swoim węchom” – głosił pies Fafik, jedyny chyba na świecie czterolapowy redaktor, wielce poważany, skoro jedna z licznych „przekrojowych” rubryk redagowana przez Eilego nosiła nazwę „Myśli ludzi wielkich, średnich i psa Fafika”.

Nie zginęła, póki się śmiejemy

Przy wsparciu Eilego trafiały do pisma teksty wybitnych pisarzy, które przeszły do historii piśmiennictwa – „Medaliony” Zofii Nałkowskiej czy „Polska Jagiellonów” Jasienicy. Mnożyły się rubryki wręcz kultowe, jak „Demokratyczny savoir-vivre” Jana Kamyczka (Janiny Ipohorskiej, która zdążyła jeszcze do spółki z Eilem założyć pierwszy powojenny kabaret w Krakowie Siedem Kotów). Kamyczek uczył(a) dobrych manier w sposób tyle taktowny, ile sugestywny, a rubryka stała się instytucją towarzyską. Żartobliwe wiersze Kerna na ostatniej stronie były czytane chętnie, a nawet z zapalem przez ludzi, którzy normalnie po utwory wierszowane nie sięgali. Jerzy Waldorff usiłował łagodzić obyczaje za pomocą muzyki klasycznej, a Lucjan Kydryński wyrósł na pierwszego znawcę kina i muzyki rozrywkowej.

Nowe nabytki autorskie pojawiały się jakby przypadkowo – trzeba było tylko mieć nosa. Sławomir Mrożek zadebiutował reportażem z Nowej Huty z okazji 22 lipca, potem pojawiła się jego rubryka „Przez różowe okulary”, rysunki, opowiadania. „Wy nam mówicie Europa, a tu co postawimy mleko na kwasne, to skądś wycho-

dzą krasnoludki i szczają nam do garnków” – pisał w jednym z nich.

Eile wydrukował wiersz Gałczyńskiego, w którym liryczny szyderca napisał: „więcej Osmańczyka, mniej Grottgera, a wszystko będzie cacy” – i tak sparafrazował hymn narodowy: „Jeszcze Polska nie zginęła, póki się śmiejemy”. Ale nie o śmiech wyłącznie tu chodziło. Eile podjął się misji na owe czasy karkołomnej: nie bacząc na siemniężne ciagoty ustroju, chciał Polaków edukować, nie pozwolić im na odstawanie od reszty Europy. Zwoził więc z Paryża nowinki literackie, artystyczne i muzyczne, nie pomijając polskich. Do dziejów prasy przeszło jego powiedzenie: „Pismo trzeba robić lekko, tak żeby mogła je czytać inteligentna sprzątaczką, prosty profesor i prymitywny minister”.

Nieznośny, pełen znakomitych pomysłów

W „Przekrojowych” jam sessions na Kala-tówkach brał udział Roman Polański, który dopiero się zapowiadał, a „Przekrój” jego karierę przepowiadał. Sobiesław Zasada był kierowcą światowej klasy, ale medialnie wypromowała go redakcja Eilego. Oprócz dowcipnych tekścików na łamach pisma można było przeczytać Kafkę, Borgesa czy Hemingwaya, oglądać rysunki Steinberga, Topora lub Adamsa.

O poziom szaty graficznej dbali przedwojenni jeszcze graficy – Janusz Brzeski i Zygmunt Strychalski. Potem nastał Daniel Mróz, którego finezyjne i pełne fantazji rysunki na wiele lat określiły visage „Przekroju”. Sam Eile sporo do tygodnika rysował, często licznych drobiazgów nie podpisując.

Arcykapłan siedział zwykle we flanelowej koszuli i domowych papuciach przy swoim zarzuconym i wyladowanym papierami biurku*. Bywał samolubny, nieznośny i apodyktyczny. I miewał niezrozumiałe na pierwszy rzut oka kaprysy, które zwykle okazywały się w realizacji znakomite.

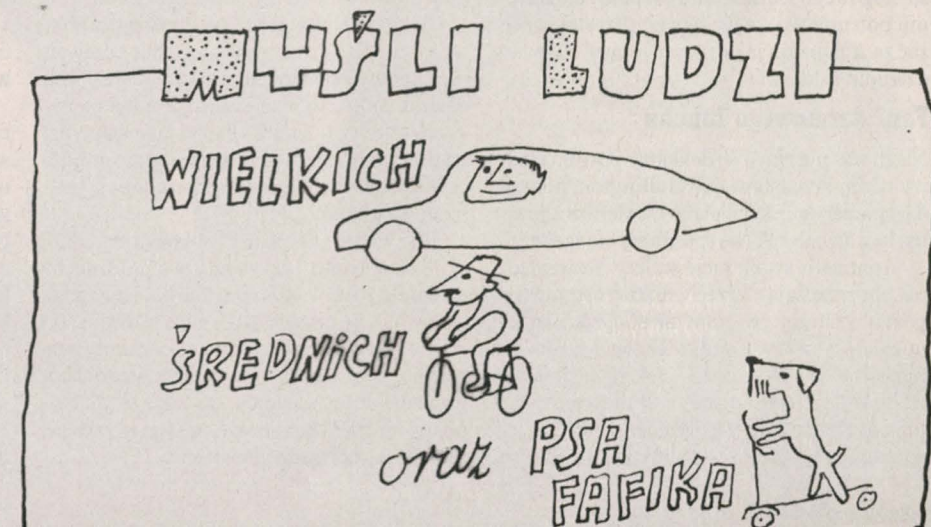
Kiedyś, jeszcze jako student żądny grosza, miałem zaszczyt stanąć przed jego obliczem zaprotegowany bodaj przez profe-

sora Henryka Markiewicza, ongiś zastępcę Eilego. Nie wdając się w szczegóły, redaktor wręczył mi jakieś francuskie czasopismo z nowelką thrillerową, podobną nieco do słynnych „Ptaków” Hitchcocka, i mruknął: – Przetłumaczycie! Nie pytał, czy znam język; na szczęście jako tako znałem. Przetłumaczyłem, przyniosłem. Eile bez komentarzy wrzucił tekst do jakiejś szuflady. Przez wiele miesięcy daremnie oczekiwałem na druk, przekonany, że mój trud dawno wylądował w koszu. Aż tu nagle ukazał się numer, w którym nowelka zaczynała się na okładce (nadredaktor stosował to czasami). Dopiero wiele lat później, gdy pracowałem w „Przekroju” za rządów Mieczysława Czumy, starsi koledzy uświadomili mi, że nie stało się wówczas nic nadzwyczajnego. Po prostu Eile przejął od Grydzewskiego koncept „lewej dolnej szuflady”, gdzie lądowały materiały „na później”...

Redaktora, który tyle zakrętów przeszedł, pokonała najnowsza historia. Po wydarzeniach marcowych w 1968 roku zalał się. Wyjechał do Paryża z intencją zrezygnowania z „Przekroju”, rysował dla „France Soir”. Po powrocie już do redakcji nie wrócił, choć sporadycznie z nią współpracował. Zmarł w domu, w ulubionym fotelu, autoryzując wywiad, który zrobił z nim Ludwik Jerzy Kern na Boże Narodzenie 1984 roku.



Ojciec założyciel oraz Janina Ipohorska, która jako Jan Kamyczek uczyła Polaków savoir-vivre'u



* To słynne biurko do niedawna cieszyło nasze oczy, gdyż urzędowała przy nim nasza pani sekretarz, redaktor Magda Gędziorska

Kto się boi diabelskiej Greczynki?

Grecy dali nam filozofię, demokrację i **Ariannę Huffington**. Wynalazek tej ostatniej – Huffington Post – to najbardziej wpływowy newsowy blog w Ameryce

BLOGOSFERA AGNIESZKA FIEDOROWICZ

Początek grudnia 2009 roku. W Federalnej Komisji Handlu w Waszyngtonie rozpoczyna się cykl spotkań poświęconych przyszłości dziennikarstwa. To kolejny etap prowadzonej od kilku miesięcy przez Ruperta Murdocha – właściciela koncernu News Corporation, do którego należą między innymi „The Wall Street Journal” i kanał informacyjny Fox News – wojny z blogerami i serwisami internetowymi na całym świecie. Murdoch oskarża właścicieli internetowych serwisów (z Google na czele), że czerpią zyski z okradania „starych mediów”. Nie przebiera w słowach, nazywając „nowe media” „złodziejami, którzy okradają nas z naszych praw autorskich”. Murdoch postuluje wprowadzenie „odpłatności za kopiowane wiadomości”, twierdząc, że „tak jak nie ma czegoś takiego jak bezpłatny lunch, tak nie ma też bezpłatnych wiadomości”. Przekonuje, że dziennikarstwo dobrej jakości kosztuje. I grozi, że wszystkie materiały pochodzące z mediów, których jest właścicielem, wkrótce wycofa z wyszukiwarek.

Choć w tym starciu uwaga wszystkich skupia się na dwóch gigantach – Murdochu i Google – w obronie nowych mediów stanęła Arianna Huffington. Ta założycielka i szefowa najchętniej czytane amerykańskiego serwisu blogowego Huffington Post pokazuje staremu potentatowi, że już dawno przestał nadążać za zmianami, jakie ogarnęły cały, nie tylko dziennikarski, świat.

Fani darmowego lunchu

Niech was nie zmyli jej delikatna postura i ładna buzia. Przedstawiając Huffington, prowadzący amerykański talk-show stwierdził: „piękna, lecz diabelska”. Nie sposób się nie zgodzić.

Arianna o swoje racje walczy bezwzględnie, przytłaczając przeciwników ostrymi ripostami latami ćwiczonymi podczas akademickich dysput w Cambridge. Na Murdochu nie zostawia suchej nitki: „Sekcja techniczna »The Wall Street Journal« jest niczym więcej niż pasożytem, który gromadzi materiały zewnętrzne. FoxNews.com linkuje do innych

pism, na przykład do »New York Timesa«. A należąca do News Corporation strona Roten Tomatoes w całości składa się z recenzji filmów pościąganych z innych stron. Czy ktoś w tych przypadkach mówił o kradzieży?”

Ale gdyby za racjami Huffington stał tylko jej ostry język, giganci typu Murdoch nie mieliby czego się bać. Siła blogerki tkwi w jakości jej roboty. Huffington stworzyła blog będący dziś dziennikiem online, dla którego komentarze regularnie piszą nie tylko uznani specja-



W walce o fotel gubernatora Kalifornii uległa Terminatorowi

liści, ale też celebryci, na przykład pisarz Norman Mailer czy aktorka Jamie Lee Curtis.

Tylko na Huffington Post można przeczytać, co Alec Baldwin myśli o reformie zdrowotnej Obamy, a powieściopisarka Nora Ephron o Sarah Palin. To blog Huffington był pierwszym, w którym Barack Obama jako kandydat na prezydenta tłumaczył się z kompromitującej znajomości z radykalnym kaznodzieją Jeremialem Wrightem.

I co z tego, powiecie? W końcu tygodnik „The New Yorker” czy należący do Murdocha dziennik „The Wall Street Journal” też mogą pochwalić się piszącymi dla nich sławami. Tyle że wszyscy ci ludzie piszą dla Arianny bezpłatnie. Huffington udowadnia Murdochowi, iż nie dość, że istnieje coś takiego jak bezpłatny lunch, to ona serwuje go lepiej, szybciej i smaczniej niż tradycyjne media.

A rzesza ludzi, którzy z tej darmowej wyzerki chętnie korzystają, ciągle rośnie. Huffington Post we wrześniu odwiedziło rekordowe 9 milionów 474 tysiące użytkowników, czyli więcej niż strony dziennika Washingtonpost.com. Kto naprawdę boi się dziś Arianny Huffington i dlaczego ona nie boi się niczego?

Studia za dywany

Huffington uwielbia mówić o sobie jako o „chłopskiej greckiej dziewczynie”. Mimo lat spędzonych na Zachodzie do dziś nie pozbyła się greckiego akcentu. Urodzona 15 lipca 1950 roku w Atenach jako starsza córka Elli i Konstantina Stassinopoulosów w dzieciństwie była bardzo nieśmiała. Do działania mobilizowała ją matka. Elli, choć edukację zakończyła na szkole średniej, sama nauczyła się pięciu języków. Ojciec Arianny za wydawanie w czasie wojny podziemnej gazety trafił na dwa lata do obozu koncentracyjnego. Może właśnie dlatego rodzice zachęcali Ariannę, by działała niestandardowo.

Jej matka na niestandardowy krok w tradycyjnej Grecji zdecydowała się, gdy Arianna była nastolatką. Opuściła zdradzającego ją męża i przeprowadziła się z dziećmi do Anglii. Gdy ledwie mówiąca po angielsku Arianna zapragnęła pójść do Cambridge, matka, zamiast ją wyśmiać, sprzedała rodzinne dywany i biżuterię, by opłacić jej studia.

Elli była „niestandardowa” do końca życia, mieszkając z Arianną i wnuczkami, pojawiała się na wydawanych dla nowojorskiej socjety przyjęciach, boso, z cygarem w ustach. Jak głosi rodzinna anegdota, gdy Arianna spotykała się w latach 70. z konserwatywnym posłem do parlamentu i musiała wydać obiad dla brytyjskiego premiera, jej matka do towarzystwa zaprosiła... swojego hydraulika.

Arianna podkreśla, że to właśnie matka wywarła na nią największy wpływ. – Dała mi najlepszą w życiu radę „Anioły latają, ponieważ traktują siebie lekko” – mówi w rozmowie z „Przekrojem” Huffington. Blogerka do dziś traktuje więc lekko wiele spraw.

Jedną z książek Huffington (napisała ich 11) nosi wymowny tytuł „O stawianiu się nieustraszoną”. Pisze w niej, że strachu nie sposób uniknąć, ale trzeba nauczyć się nad nim panować. I pogodzić się z faktem, że porażka jest integralną częścią ewentualnego sukcesu. Rzeczywiście, gdy przyjrzeć się karierze Huffington, nie sposób oprzeć się wrażeniu, że jej największe sukcesy wyrosły z porażek.

Ta passa zaczyna się na ekonomii w Cambridge, gdy Arianna trafia na debatę w prestiżowym klubie dyskusyjnym Cambridge Union. Dziś mówi o fascynacji, jaką był widok ludzi poruszonych przez słowa. Jej →



Liczba czytelników jej blogu HuffPo już we wrześniu przekroczyła 9 milionów. Trudno się dziwić, że kolejne magazyny umieszczają Ariannę na listach stu najbardziej wpływowych

→ debiut w klubie był porażką: grecki akcent sprawiał, że ledwo ją rozumiano. Ciężko jednak pracowała nad wymową i retoryką, by rok przed ukończeniem studiów zostać szefową klubu – przed nią tego zaszczytu dostąpiły tylko dwie kobiety.

Kończąca Cambridge Arianna wydaje pierwszą książkę. „Kobiecego” – polemika z najsłynniejszym feministycznym manifestem, „Kobiecym eunuchem” Germaine Greer – z miejsca staje się bestsellerem przetłumaczonym na 11 języków. Czytelników zafascynowało choćby to, że 22-latką nazywa feministki „zagrożeniem, które może zniszczyć zachodnią cywilizację”.

Na jednym z przyjęć poznaje miłość swego życia. Siedmioletni związek z Bernardem Levinem, dwa razy od Arianny starszym felietonistą dziennika „The Times”, kończy sama Arianna. – Chciałam mieć dzieci, on koty – przyzna potem. By wyleczyć rany, wyjeżdża do Ameryki.

Ikar leci za ocean

To wtedy do Arianny przylgnęło określenie „najwyżej wznoszący się Grek od czasów Ikar”. Gdy w 1980 roku przybyła za ocean promować swą trzecią książkę, bestsellerową biografię Marii Callas, wsiadła w świat nowojorskiej socjety. Dziś stałaby się główną gwiazdą serwisów plotkarskich, wtedy rubryki towarzyskie gazet zachłystywały się informacjami o jej przyjęciach, gdzie gościem był Henry Kissinger, i kolejnych romansach. – Te przyjęcia, poznawanie fascynujących ludzi było zabawne, ale mnie się to po prostu przytrafiło – bagatelizowała sukces w 2005 roku w wywiadzie dla „Vanity Fair”. W roku 1984 wyprowadziła się do Los Angeles, by skończyć biografię Picassa.

W 1985 roku Arianna ma 35 lat i desperacko pragnie dzieci. Jej przyjaciółka Ann Getty robi więc listę potencjalnych kandydatów na męża. Nie ma na niej Michaela Huffingtona, ale to właśnie ten 38-letni przystojny dzieciak z teksaskiej rodziny potentatów naftowych wpada w oko Ariannie na jednym z przyjęć. Huczne wesele wyprawione w kwietniu 1986 roku w Nowym Jorku kosztuje 110 tysięcy dolarów, ale wrażenie robi nie kwota, lecz lista 500 zaproszonych gości – drużną była prócz Getty między innymi dziennikarka Barbara Walters (pierwsza kobieta prowadząca program informacyjny w amerykańskiej telewizji).

Sześć lat później w życie Huffington, skupionej na wychowywaniu córek, wkracza polityka. Michael kandyduje do Izby Reprezentantów z ramienia Republikanów. Polityka wciąga Ariannę – po przybyciu do Waszyngtonu przyłącza się do nowo tworzonego konserwatywnego think tanku. Namawia męża na walkę o fotel senatora. Z brutalnej i zakochanej porażką kampanii zostanie obraz Arianny jako bezwzględnej i żądnej władzy kobiety (przylgnęła wówczas do niej etykieta „Lady Macbeth”).

W 1997 roku rozpada się jej związek z Huffingtonem, a rok później ten wyznaje w wy-

wiadzie dla magazynu „Esquire”, że jest biseksualny. Arianna do dziś zaprzecza, że wiedziała o homoseksualnych przygodach męża. Ale i z tej porażki wychodzi na plus, ma dwie córki i finansową niezależność. Wraca do Los Angeles, gdzie dojrzeła do zmiany opcji politycznej. Z wojowniczej konserwatystki staje się nie mniej wojowniczą demokratyczną liberałką.

Jeszcze raz próbuje, tym razem samodzielnie, wejść w świat polityki, walcząc w 2003 roku o fotel gubernatora stanu Kalifornia. Ale ani jej bezwzględność, ani inteligencja, ani nawet pieniądze czy znajomości nie pomogą, gdy republikańskim kontrkandydatem jest Arnold



Nowojorski newsroom HuffPo. Tu pracują głównie redaktorzy, blogerzy piszą, gdzie chcą

Schwarzenegger. Z zaledwie 0,6 procent poparcia rezygnuje przed samymi wyborami i aby uleczyć siniaki zadane przez Terminatora, przystępuje do pracy nad nowym projektem. Tak rodzi się Huffington Post.

– Huffington Post nie był czymś nowym. Przed nim takim internetowym dziennikiem był odnoszący sukcesy konserwatywny Drudge Report – ocenia profesor Kazimierz Krzysztofek, socjolog Internetu ze Szkoły Wyższej Psychologii Społecznej. Prowadzony przez Matthea Drudge’a na polu opiniowy, na polu plotkarski serwis w 1998 roku jako pierwsze medium doniósł o aferze rozporkowej w Białym Domu. Zwany dziś pieśczętliwie HuffPo był więc odpowiednią liberałów na Drudge Report.

Huffington wraz ze swym biznesowym partnerem Kennethem Lererem wystartowali w maju 2005 roku.

– Tajemnicą sukcesu tego blogu było to, że Huffington udało się zaangażować w jego tworzenie swoich znajomych celebrytów – tłumaczy doktor Marek Szopski, specjalista kultury krajów anglosaskich z Uniwersytetu Warszawskiego. Tezę tę potwierdza w rozmowie z „Przekrojem” doktor Kimberly Springer, amerykańska z londyńskiego King’s College.

– Gdy Jane Fonda protestowała przeciwko wojnie w Wietnamie, a Susan Sarandon przeciwko wojnie w Iraku podczas gali rozdania Oscarów, większość ludzi była zniesmaczona. „Niech ograniczą się do grania” – komentowano. To,

co jest wielkim sukcesem Huffington, to umożliwienie celebrytom, zwłaszcza tym liberalnym, wypowiedzi na różne, także polityczne tematy – tłumaczy doktor Springer.

Sama Huffington w rozmowie z „Przekrojem” dość jasno przedstawia swoją wizję przyszłości dziennikarstwa. – Wierzę, że dziennikarstwo przyszłości będzie hybrydowe – tradycyjne gazety przejmą to, co najlepsze z dziennikarstwa internetowego, a „nowe media” będą aspirować do standardów wyznaczanych przez te tradycyjne, takich jak przejrzystość czy dokładność. I właściciele portali będą rozwijać działki kojarzone dotąd z tradycyjnym dziennikarstwem, na przykład dziennikarstwo śledcze.

Nie jest to czecha gadanina. Bo choć jej blog (a może już raczej internetowa gazeta) nie stoni od generujących ruch artykułów plotkarskich, to większość newsów jest poważna.

Tu tkwi sedno sporu Huffington i Murdoch, który uważa, że takie blogi jak HuffPo ograniczają się do ściągania tworzonych przez „stare media” artykułów, które tylko potem ciekawie komentują. Huffington broni się, twierdząc, że komentowanie tekstów na przykład z „New York Timesa” to tylko część działalności, a główną są oryginalne posty tworzone przez ponad dwa tysiące blogerów. To oni, włączając samą piszącą Huffington, coraz częściej wykrywają afery, które umykają starym mediom.

Tak było na przykład, gdy HuffPo ujawnił, że dziennikarka „New York Timesa” napisała swój artykuł o bronii masowego rażenia popierający interwencję w Iraku z inspiracji Białego Domu (na podstawie niezwyfikowanych informacji z administracji Busha). Gdy więc Murdoch mówi, że dziennikarstwo śledcze to lata doświadczenia i wypracowywania źródeł informacji, Huffington ripostuje, że nie chce płacić za ekskluzywność tych informacji pisanem artykułów na zamówienie „tej czy innej opcji”.

Koń trojański mediów

– Najważniejszym składnikiem naszego sukcesu jest to, że umiemy wykorzystać zmiany – dodaje. Ostatnio HuffPo rozpoczął współpracę z Facebookiem i Twitterem, pozwalając użytkownikom dzielić się artykułami i komentarzami na ich temat z przyjaciółmi. I swoją ofertę zamierza powiększać. – Będziemy przedstawiać czytelnikom jeszcze więcej oryginalnych historii. Powołaliśmy też do życia specjalny fundusz, który przeznacza środki na prowadzenie dziennikarskich śledztw. Mamy nadzieję, że historie, które powstaną w wyniku tej pracy, odbiją się szerokim echem, także w środowiskach lokalnych. Stawiamy na poszerzenie lokalnych wersji pisma – wylicza Huffington.

Doktor Marek Szopski: – Huffington wraca do początków amerykańskiego dziennikarstwa, które zaczęło się jako społeczne, często nieodpłatne i skupione na działaniach lokalnych. Jej blog to może być taki koń trojański, który weździe się do twierdzy starych mediów i wyrznie je w pień. Nie byłby to zresztą pierwszy grecki wynalazek, który zmienił losy świata. □

NIEZATAPIALNI IGOR RYCIĄK

Bardzo szara eminencja

Na wybory prezydenckie Sojusz Lewicy Demokratycznej wyciągnął z rękawa asa – Jerzego Szmajdzińskiego. Jaki gracz, taki as

Do warszawskiej centrali Sojuszu Lewicy Demokratycznej przy ulicy Rozbrat już od listopada przychodziły podobne listy: „SLD w województwie dolnośląskim, wsparty przez organizacje społeczne, rekomenduje Konwencji Krajowej SLD Jerzego Szmajdzińskiego na kandydata w wyborach Prezydenta RP. Z przeprowadzonej partyjnej debaty, a także z uchwał podjętych przez instancje powiatowe SLD na Dolnym Śląsku wynika, że doświadczenie polityczne, postawa publiczna i moralna, wiedza i umiejętności, a także odpowiedzialność za słowa i czyny wyróżniają Jerzego Szmajdzińskiego spośród polityków lewicy i dają gwarancję na dobrą, służącą Polsce prezydenturę”.

Śląsk, Warszawa, Pomorze – najważniejsze okręgi udzieliły Szmajdzińskiemu poparcia. On sam krygował się do ostatniej chwili. – Cały czas się zastanawiam, prowadzę rozmowy. Życie polityczne jest bardzo dynamiczne i zmienne, więc zanim się coś nie stanie, wszystko jest możliwe – mówił w wywiadzie na trzy dni przed konwencją swojej partii. I mimo że od kilkunastu dni wszystko było przesądzone, wyjaśniał: – Ja w nic nie gram. Jestem w tej polityce długo i to jest jedna z najtrudniejszych decyzji, a może najtrudniejsza, dlatego że bardzo ryzykowna.

Formalności stało się zadość 19 grudnia. Decyzją partyjnych delegatów Jerzy Szmajdziński został kandydatem SLD w tegorocznych wyborach prezydenckich. Trzecia siła polityczna w kraju wystawiła do walki weterana.

Pan Szary

Szmajdziński będzie trzecim kandydatem SLD na najwyższy urząd w kraju. Wcześniej – bez powodzenia – startował w nich Włodzisław Cimoszewicz (w 1990 i 2005 roku) oraz – z sukcesem – Aleksander Kwaśniewski (w 1995 i 2000 roku). Szmajdziński na starcie spotka urzędującego prezydenta i obecnego premiera. Ten pierwszy zbiera niskie oceny w badaniach opinii publicznej. Punkty drugiego topnieją w dramatycznym tempie. Start w wyścigu do Pałacu Prezydenckiego zgłosili też Tomasz Nałęcz (popierany przez SdPi i Partię Demokratyczną) oraz Andrzej Olechowski (kandydat niezależny).

Szmajdziński przetrwał już komuny, przetrwał chudy dla lewicy początek lat 90., przetrwał rząd Leszka Millera, w którym był ministrem obrony narodowej, oraz partyjne rozliczenia po blamażu tegoż rządu. Koledzy z jego pokolenia – jak →

Rozbawiony Jerzy Szmajdziński to rzadki widok. A po wyborach prezydenckich do śmiechu będzie mu jeszcze mniej



→ Józef Oleksy czy Krzysztof Janik – znaleźli się na politycznej emeryturze. Tymczasem Szmajdziński jest w świetnej formie i właśnie stanął do najważniejszej politycznej rozgrywki w swojej karierze. W czym tkwi jego fenomen?

Jerzy Szmajdziński charakteryzuje się tym, że jest mało charakterystyczny. Nie sposób znaleźć jakkolwiek sprawę związaną z jego osobą, która budziłaby kontrowersje. Nie mówiąc o najmniejszej nawet aferce. Żadnych podejrzeń o nieczyste konto w IPN. Żadnych interesów, które mogłyby zahaczać o konflikt interesów. Gdy dziennikarze odkryli, że Szmajdziński grywał w tenisa (który jest jego pasją) z Ryszardem Sobiesiakiem, bohaterem afery hazardowej, oświadczył bez mrugnięcia okiem: – To były kontakty sportowe. W 2000 roku przestaliśmy je utrzymywać, bo pan Sobiesiak zaczął grać w golfa.

Szmajdziński nie udzielił nawet żadnych wypowiedzi, które dałoby się zakwalifikować jako ostre. Jeden, jedyny wyjątek to wywiad w lewicowym tygodniku „Przegląd”, w którym oskarżył redaktora Bogdana Rymanowskiego, że ten pomagał w sfinansowaniu samobójstwa Wojciecha Sumlińskiego (dziennikarza, który miał trafić do aresztu pod zarzutem płatnej protekcji). Gdy Rymanowski wyraził oburzenie, Szmajdziński natychmiast wydał oświadczenie, w którym wycofał się ze swoich słów i przeprosił.

Rzadki śmiech

W 2007 roku Antoni Macierewicz umieścił nazwisko Szmajdzińskiego w swoim raporcie z likwidacji WSI – w latach 80. obecny polityk SLD miał się przyjaźnić z Walerym Topalowym, szefem Komsomołu Północnej Grupy Wojsk Armii Radzieckiej, który tak naprawdę był szpiegiem GRU. Znajomość ta (jak napisał Macierewicz) trwała wiele lat i była na tyle zażyła, że w 2002 roku Rosjanin miał gościć na 50. urodzinach polskiego przyjaciela. Po opublikowaniu raportu Szmajdziński przyznał, że poznał Topalowa w latach 80., a później już się nie spotykali. Nie przejął się raportem WSI. Pytany, czy tak jak inni bohaterowie tego dokumentu wystąpi na drogę sądową, Szmajdziński odpowiedział: – Kogo miałbym pozwać za opublikowanie nieprawdy? Ujawniający raport prezydenta RP czy szefa kontrwywiadu Antoniego Macierewicza?

– Cały Jurek – ocenia ważny polityk SLD i wieloletni przyjaciel Szmajdzińskiego. – To facet, którego nie sposób wyprowadzić z równowagi. Niczym. Działa to też w przeciwną stronę: nie nazwałbym go ponurakiem, ale to naprawdę wielka sztuka czymś go rozśmieszyć. Nie znam nikogo innego, kto tak dyskretnie okazywałby swoje emocje.

Bywa, że ten brak emocji promieniuje na rozmówców, jak podczas konwencji SLD, podczas której oficjalnie wybrano Szmajdzińskiego na kandydata w wyborach prezydenckich. Pod koniec swojego przemówienia



Szmajdziński jako **szef ZSMP** (na zdjęciu z Czesławem Kiszczakiem), Bieszczady, 1985 rok

(w którym przekonywał, że jego prawdziwe oblicze nie jest do końca znane) Szmajdziński opowiedział anegdotę, jak to spotkał starszą kobietę, która była przekonana, że ten znany polityk SLD jest mężczyzną niskim i grubym. – A przecież jest na odwrót – Szmajdziński się zaśmiał. Sala nie zareagowała.

Wbrew pozorom kandydat ma jednak doświadczenie w rozmaitych masówkach.

Umarły klub

Związał się z polityką w roku 1971, gdy studiując w rodzinnym Wrocławiu w Akademii Ekonomicznej, wstąpił do Związku Młodzieży Socjalistycznej. To był naturalny ruch: nauka na Wydziale Gospodarki Narodowej, gdzie adepci poznawali tajniki realnego socjalizmu, który był pomyślany jako kuźnia kadr PRL. Aby myśleć o przystąpieniu do ówczesnych elit, trzeba było mieć legitymację tej młodzieżowej organizacji.

W marcu 1973 roku decyzją kierownictwa PZPR na państwowych uczelniach powstała nowa organizacja – Socjalistyczny Związek Studentów Polskich (co było opóźnioną reakcją partii na wydarzenia marcowe). Szefem komisji kultury w uczelnianej komórce nowego związku został Jan Chaładaj, później szef poseł SLD. – Prowadziłem artystowskie życie. Miałem włosy metrowej długości. Potrzebowałem więc zastępcy, który zająłby się sprawami organizacyjnymi – opowiada Chaładaj. – Jurek był idealnym kandydatem. Spokojny, punktualny, dokładny. Wręcz skrupulatny. Jak to się mówi: wychowany po wielkopolsku. Złożyłem mu propozycję i on się zgodził – dodaje. Jednym z największych sukcesów duetu Chaładaj–Szmajdziński było sprowadzenie na koncert będącej wówczas na topie Maryli Rodowicz.

Jan Chaładaj jest dziś poza polityką. Odszedł, gdy w Sejmie został przyłapany na głosowaniu na cztery ręce w zastępstwie nieobecnego kolegi (nie chodziło o Szmajdzińskiego). Ale studencka przyjaźń przetrwała. – Do dziś utrzymujemy serdeczne kontakty. Wierzę w jego sukces i trzymam kciuki – mówi były poseł.

Po studiach Jerzy Szmajdziński nie zajął się ekonomią ani kulturą. Oto w 1976 roku

władza postanowiła utworzyć kolejną organizację: Związek Socjalistycznej Młodzieży Polskiej (tym samym likwidując ZMS). Szmajdziński został jej etatowym działaczem.

ZSMP był jedną z największych organizacji społecznych w PRL. Po trzech latach istnienia zrzeszał blisko dwa miliony członków. Zajmował się ideologiczną indoktrynacją, ale też organizował szkolenia zawodowe, prowadził kółka zainteresowań. Kusił możliwością spędzenia urlopu w luksusowych (jak na tamte czasy) ośrodkach wypoczynkowych, opcją zagranicznej wycieczki przez związkowe biuro podróży Juventur, a co najważniejsze – szansą zdobycia poza kolejnością przydziału na mieszkanie. Młody Jerzy Szmajdziński właściwie co roku awansował w strukturach organizacji. Aż w 1984 objął jej stery i został przewodniczącym zarządu głównego.

Dziś z potężnego majątku ZSMP (który, o dziwo, nadal istnieje) pozostała zrujnowana, ale nadal warta fortunę secesyjna kamienica przy ulicy Smolnej w Warszawie. To tylko kilkadziesiąt metrów od Nowego Świata, najdroższej ulicy w kraju. Przedwojenne

Jerzy Szmajdziński charakteryzuje się tym, że jest mało charakterystyczny

luksusowe apartamenty w PRL zmieniły się w biura dla socjalistycznej młodzieży. Teraz związek wynajmuje je różnym firmom typu szkoła nauki jazdy czy „księgowość, tanio, profesjonalnie”. Na trzecim piętrze kamienicy, w pokoju 121, mieści się stowarzyszenie Pokolenia. Jego szefem od 1992 roku jest Jerzy Szmajdziński.

Organizacja powstała w 1990 roku z inicjatywy byłych działaczy ZSMP, ZMS, Związku Młodzieży Wiejskiej i Socjalistycznego Związku Młodzieży Wojskowej. Jak czytamy w statucie Pokolenia, celem stowarzyszenia jest między innymi „działanie w duchu ideałów postępowej lewicy, upowszechnianie zasad sprawiedliwości społecznej” oraz „krzewie-



W wyborach w 1995 roku stał za Kwaśniewskim. Teraz były prezydent pokieruje jego kampanią

nie przychylnego klimatu dla społecznej aktywności młodzieży i jej organizacji”. Cele te są realizowane poprzez „organizowanie spotkań, zebrań, konferencji, seminariów”, a także „tworzenie klubów dyskusyjnych, klubów tradycji”.

Według dokumentów sądowych stowarzyszenie od kilku lat nie prowadzi jednak żadnej aktywności. – Od miesiąca nikogo nie widziałem w tych drzwiach – informuje pracownik sąsiedniego biura.

Szmajdziński jest więc też szefem umarłego klubu kombatantów socjalizmu.

Plotka o premierze

Po przeprowadzce do Warszawy na początku lat 80. Szmajdziński zaprzyjaźnił się z innymi młodymi działaczami aparatu partyjnego: Lechem Nikolskim, Jerzym Jaskiernią, Krzysztofem Janikiem, Markiem Ungierem oraz Aleksandrem Kwaśniewskim. W 1985 roku został posłem, rok później członkiem Komitetu Centralnego PZPR (do której wstąpił w latach 70.), a w roku 1988 objął posadę wiceprzewodniczącego Polskiego Komitetu Olimpijskiego (gdzie zastąpił Kwaśniewskiego). Z każdym rokiem rośnie w siłę i – jak można przypuszczać – żyje dostatniej.

Kilka dni temu IPN opublikował notatkę spisana przez oficera SB ze słów kontaktu służbowego (czyli luźnego współpracownika służby) – pod koniec 1988 roku informator ten pracował w Komitecie do spraw Młodzieży i Kultury Fizycznej. Przekazał wtedy SB krążącą po mieście plotkę, że Szmajdziński lub Aleksander Kwaśniewski zastąpi Mieczysława Rakowskiego na fotelu premiera. Okazało się, że to tylko plotka, ale gdy w 1989 roku zaczęły się obrady Okrągłego Stołu, Jerzy Szmajdziński był już jednym z najważniejszych polityków obozu rządowego.

Cieszył się też bezgranicznym zaufaniem kierownictwa partii. Do tego stopnia, że z jej namaszczenia zasiadał w radzie nadzorczej spółki Transakcja. Była to nomenklaturowa firma założona między innymi przez Marka Siwca, Leszka Milnera oraz skarbnika PZPR Wiesława Huszcę. Spółka nie prowadziła żadnej spektakularnej działalności gospodarczej. Ale wiosną 1989 roku Transakcja, obok kilku innych tego typu firm, była założycielem pierwszego prywatnego Banku Inicjatyw Gospodarczych (obecnie po połączeniu z Bankiem Gdańskim znanego jako Millennium).

W działalność bankową Jerzy Szmajdziński już nie wszedł. Co nie znaczy, że nie miał więcej związków z biznesem. W 1997 roku został członkiem rady nadzorczej firmy Trans Universal Poland, transportowej spółki-córki holdingu Universal, w której dostał posadę dzięki znajomości z Dariuszem Przywiczem, prezesem całego Uniwersalu.

Jeszcze bardziej zaskakujące było członkostwo Jerzego Szmajdzińskiego w radzie nadzorczej klubu sportowego Śląsk Wrocław w latach 2000–2001. Było to o tyle niezwyczajne, że właścicielem klubu był w tamtym czasie Grzegorz Schetyna, obecnie szef Klubu Parlamentarnego PO, a w PRL aktywny działacz antykomunistycznego i tepionego przez władze Niezależnego Zrzeszenia Studentów. W tej samej radzie nadzorczej zasiadł radykalny poseł Akcji Wyborczej Solidarność Piotr Zak. – Jesteśmy konkurentami politycznymi, ale też kibicami i chcemy rozwoju sportu – Szmajdziński jak zwykle tłumaczył sprawę ze stoickim spokojem.

Ale jego prawdziwym żywiołem pozostała polityka.

Armia go lubi

W Sejmie zasiada nieprzerwanie od 25 lat. W tym czasie pełnił kilkanaście funkcji partyjnych i publicznych. Był między innymi przewodniczącym klubu parlamentarnego SLD, wicemarszałkiem Sejmu, krótko kierował MSWiA. Najdłużej (2001–2004) spra-



Jako minister obrony (na zdjęciu z premierem Markiem Belką) wysłał Polaków do Iraku

wował funkcję ministra obrony narodowej. Czasy były wyjątkowo niespokojne. Polska armia pod kierownictwem Szmajdzińskiego została zaangażowana do dwóch misji zagranicznych: do Iraku pojechało dwa i pół tysiąca żołnierzy, a do Afganistanu – dwa tysiące. Polskie wojsko było do tego całkowicie nieprzygotowane. Nie wiadomo było nawet, jak przetransportować żołnierzy, bo armia nie miała odpowiednich samolotów. Brakowało opancerzonych samochodów, a nawet nowoczesnych kamizelek kuloodpornych. Szmajdziński skutecznie negocjował pożyczki sprzętu u koalicjantów, ministerstwo naprzędko organizowało przetargi.

Mimo to był lubiany przez żołnierzy. W armii miał jedynie dwóch opozycjonistów.

Pierwszym był pułkownik Roman Polko, szef jednostki GROM, który zarzucił ministrowi, że nie rozumie, czym jest wojsko, i złożył dysmisję. Drugim pułkownik Ryszard Chwastek, dowódca 12. Dywizji Zmechanizowanej, który zarzucił MON Szmajdzińskiego „mafijność” i „układy” (tematu nie rozwinięto), za co został zwolniony z armii.

Niekwestionowanym sukcesem Szmajdzińskiego było zakończenie najbardziej skomplikowanego przetargu w historii polskiej armii, czyli zakupu myśliwców wielozadaniowych. Biorąc pod uwagę potrzeby i możliwości lotnictwa, F-16 okazał się rozsądnym wyborem. A przy okazji udało się Szmajdzińskiemu wynegocjować u Amerykanów ponadprzeciętny offset.

Gdy w 2005 roku SLD przegrał wybory, Jerzy Szmajdziński usunął się w cień. W SLD władzę przejęli działacze młodego pokolenia: Wojciech Olejniczak i Grzegorz Napieralski. Nie zdołali oni jednak wyciągnąć partii z sondażowej zapaści.

Murowanym kandydatem lewicy na urząd prezydenta wydawał się Włodzimierz Cimo-

szewicz, polityk o wysokich notowaniach w sondażach zaufania Polaków do polityków. Ostatecznie oświadczył on jednak, że nie jest zainteresowany startem w wyborach. Jego miejsce zajął Szmajdziński, polityk, w którym niektórzy działacze SLD doszukują się fizycznych podobieństw do Johna Kennedy’ego.

Trzeba mieć do tego sporo wyobraźni. Równie dużo trzeba jej mieć, by wierzyć w wyborczy sukces Szmajdzińskiego, polityka, który jest tak bezbarwny, że aż przezroczysty. Pamiętać jednak trzeba, że krajowa scena polityczna jest krucha i nieprzewidywalna. Przez najbliższy rok wyborcy mogą nabrać tak wiele niechęci do Lecha Kaczyńskiego i Donalda Tuska, że to kolor szarobury stanie się ich ulubionym. □

Najgorętszy muzyk na naszej planecie (według „The New York Timesa”) wystąpi 7, 8 i 10 stycznia w Filharmonii Narodowej i Filharmonii Łódzkiej, gdzie zagra koncert fortepianowy f-moll Fryderyka Chopina.

Dla genialnego Chińczyka to najważniejszy kompozytor. Od Chopina Lang Lang, a za jego przykładem dziesiątki milionów chińskich dzieci, zaczynał swoją muzyczną edukację. Utwory Polaka pianista grał też oczywiście na niedawnej inauguracji Roku Chopinowskiego 2010 (który w Chinach rozpoczął się... 7 grudnia 2009 – Chińczycy, którzy szaleją na punkcie muzyki Chopina, chcieli być pierwsi) i na uroczystości wręczenia Pokojowej Nagrody Nobla prezydentowi Barackowi Obamie. – Zaproponowano, żebym wykonał utwory Schumanna lub Rachmaninowa. Powiedziałem: nie, na tę okazję tylko Chopin – mówi.

A my mówimy: na 200-lecie urodzin Chopina tylko Lang Lang!

Szybki jak błyskawica

Pojawienie się przystojnego niczym Bruce Lee pianisty na muzycznych salonach wywróciło świat klasyki do góry nogami. Występu Langa w zastępstwie André Watts'a w sierpniu 1999 roku na legendarnym amerykańskim festiwalu w Ravinii publiczność wysłuchiwała w osłupieniu. Chińczyk z postawionymi na sztorc włosami zelektryzował świat koncertem fortepianowym Czajkowskiego wykonanym z Chicago Symphony Orchestra pod batutą Christopha Eschenbacha. „Wejście smoka klawiatury”, „Nowy rozdział w historii pianistyki”, „Oszałamiająca siła zniewolenia słuchacza” – dziennikarzom brakowało słów do opisanienia geniuszu 17-letniego wówczas pianisty z dalekiego miasta Shenyang. „Posadź nastolatka za kierownicą jaguara, zobacz, jak bierze zakręt z prędkością 140 kilometrów na godzinę, a będziesz miał jakieś wyobrażenie o grze Langa” – pisał jeden z nowojorskich krytyków. Jego słowa wciąż najlepiej oddają ten fenomen.

Chiński artysta to dziś rzeczywiście jaguar wśród pianistów. W repertuarze ma ponad 40 koncertów fortepianowych, podczas gdy jego rówieśnicy może dwa albo trzy, i to daje mu rekordową liczbę 150 (!) koncertów rocznie, czyli – jak łatwo obliczyć – występuje w zasadzie co drugi dzień. – Dostałem pianino, gdy miałem półtora roku. Poszła na to półroczna pensja rodziców i dziadków! Ale muzyka mnie wtedy nie interesowała, bo stale oglądałem kreskówki – wspomina Lang Lang. – Rok później zobaczyłem, jak „Tom i Jerry” szaleją do II rapsodii Liszta. Usiadłem do fortepianu i zacząłem grać ten obłędny utwór.

Kiedy miał pięć lat, odniósł swój pierwszy sukces – zwyciężył w konkursie pianistycznym w rodzimym Shenyang i dał pierwszy recital. Do konserwatorium w Pekinie zdał w wieku 9 lat, a gdy skończył 13, zajął pierwsze miej-



Młody Chińczyk dowiódł, że można zasiąść do szacownego Steinwaya w odzieniu nieomal hip-hopowym i odnieść sukces, o jakim innym pianistom nawet się nie śniło

CHEŁPIEC CHOPINOWIEC ADA GINAŁ

Bruce Lee fortepianu

To pianista globalny, gwiazda rocka w świecie klasyki, fortepianowy Wielki Wybuch. 28-letni **Lang Lang** zainauguruje w Polsce Rok Chopinowski

scie podczas Międzynarodowego Konkursu Pianistycznego imienia Piotra Czajkowskiego w Moskwie. Do dziś zakręty na szczytach pianistyki bierze z zadziwiającą łatwością. – Daniel Barenboim ostrzegł mnie kiedyś, że jeśli dalej będę się uczył w tak nienormalnym tempie, to mogę równie szybko wszystko zapomnieć. Dlatego postanowiłem jak najszybciej tego wszystkiego się nauczyć – tłumaczy z rozbrajającym uśmiechem Lang Lang.

Historia chińskiego smoka klawiatury nie jest jednak tak baśniowa, jak mogłoby się wydawać. Gdy Lang dostał się na studia, jego ojciec rzucił pracę i przeprowadził się z nim do Pekinu, by pomagać mu w karierze. Dzieciństwo dziewięciolatka bezpowrotnie się skończyło. Trudno się dziwić, że Lang nie ma miłych wspomnień z tego okresu: – Ojciec bardzo się zmienił. Stał się niezwykle surowy i dziwnie się zachowywał, a ja nie mia-

łem pojęcia, co się dzieje – wyznał niedawno w wywiadzie dla CNN.

Jakby tego było mało, nowy nauczyciel fortepianu stwierdził, że Lang jest kompletnym beztalenciem i nie nadaje się na pianistę. Po pół roku nauki chłopca relegowano ze szkoły. Marzenia o karierze legły w gruzach, a ojciec stał się jeszcze bardziej nieprzyjemny. – Kiedyś powiedział, że jeśli sobie z tym wszystkim nie radzę, mogę skoczyć z budynku, w którym wtedy mieszkaliśmy. To naprawdę było tragiczne – pianista przyznaje, że myślał wówczas o samobójstwie.

Matka Langa uważa, że ojciec może rzeczywiście był dla niego nieco surowy, ale i syn trochę przesadza, bo jest nazbyt wrażliwy. Tak czy owak, chłopak i tak zostałby wielkim pianistą, bo ona zaprogramowała go na sukces, obsesyjnie słuchając muzyki fortepianowej przez całą ciążę... Ojciec,

z którym artysta doszedł do porozumienia po 10 latach i który nadal ma wiele do powiedzenia w sprawie kariery pianisty, ma jeszcze inne zdanie. Twierdzi, że „presja to najlepsza motywacja i zawsze przekształca się w siłę”.

Jakkolwiek było, klika historia rodzinna chwyciła w mediach. I choć tłum fanów Lang Langa nie ma sobie równych (tylko podczas ceremonii otwarcia XXIX Igrzysk Olimpijskich w Pekinie jego występu słuchało około pięciu miliardów ludzi!), tylko przydała mu wielbiciele.

W ubiegłym roku Lang Lang znalazł się na publikowanej przez „Time” liście stu najbardziej wpływowych ludzi świata, a rok wcześniej magazyn „People” okrzyknął go najseksowniejszym człowiekiem. „The New York Times” poszedł jeszcze dalej i ochrzcił artystę mianem „J. Lo fortepianu”.

– Jeśli grasz piękną muzykę, czujesz się seksownie – komentuje celebryta klasyki, który jest nie tylko seksowny, ale także namiętny. Gra bowiem z taką pasją, że bodaj już ze sto razy zerwał strunę w fortepianie.

Zawsze pierwszy

Lang Lang to pierwszy pianista zaangażowany zarówno przez Filharmoników Berlińskich, jak i tak zwaną wielką piątkę amerykańskich orkiestr z Chicago Symphony Orchestra na czele. Zdobył wszelkie liczące się trofea, z Nagrodą Leonarda Bernsteina włącznie, a także zajął najwyższą pozycję na liście „Billboardu”, jaką kiedykolwiek udało się osiągnąć klasycznemu artyście. Niedawno Światowe Forum Ekonomiczne zaliczyło go do grona 250 młodych liderów globu, został też najmłodszym doradcą artystycznym prestiżowej Carnegie Hall. Prowadzi klasy mistrzowskie w Juilliard School i Curtis Institute of Music, ma doktoraty honoris causa połowy chińskich uczelni muzycznych.

Lang Lang staje się najbardziej pożądanym artystą wszech czasów. Gwiazdą telewizji od „Ulicy Sezamkowej” po „Oprah Winfrey Show” i pierwszym ambasadorem YouTube Orchestra. Gra muzykę swojego rodaka Tan Duna na ścieżkach dźwiękowych takich superprodukcji, jak: „Przyczajony tygrys, ukryty smok”, „Hero”, „The Banquet” czy „Malowany welon”. To pierwszy pianista świata, który wystąpił w wirtualnym świecie „Second Life”. Pierwszy, który swoim talentem popisał się przed wszystkimi koronowanymi głowami. Jest ambasadorem dobrej woli UNICEF, a o jego życiu powstała już książka „Journey of a Thousand Miles”, która została przetłumaczona

na osiem języków. I to wszystko przed trzydziestką!

– Trzeba kolekcjonować doświadczenia – mówi Lang Lang, który niedawno zakończył światowe tournée z Herbiem Hancockiem i uważa, że podróże, kontakt z innymi artystami, koncerty na różnych kontynentach najlepiej rozwijają wrażliwość artysty. – Nikt nie nauczy nas w konserwatorium tego, czego możemy nauczyć się sami. Prawdziwy ogień rodzi się w kontakcie z innymi muzykami i publicznością, a szkoły zabijają wyobraźnię.

Effekt Lang Langa

To ostatnie hasło przysparza Lango wi najwięcej zwolenników. Nastolatki kochają go za urodę, niespożytą energię oraz przyjaźń z Justinem Timberlakiem i Kanye Westem. Dla Chińczyków jest narodowym bohaterem, bo podbił Amerykę, a dla reszty świata – ucieleśnieniem globalnego sukcesu. Ambasadorem Sony Electronics jeździ tylko luksusowym audi, na jego ręce trzymającej kierownicę błyszczą złoty roleks, a pedał gazu naciska stopa obuta w adidasa ze stworzonej specjalnie dla niej linii Gazelle. Lata tylko prywatnym odrzutowcem Bombardier, a w koncertowe garnitury ubiera go Versace. Pije coca-cole, lubi imprezować w klubach Nowego Jorku, do którego niedawno się przeprowadził. Ostatnio jego finansami zarządza światowy fundusz Aegon. Dla Lang Langa swoje żelazne zasady złamała nawet firma Steinway, która po raz pierwszy w swojej 150-letniej historii wyprodukowała model fortepianu zaprojektowany pod dyktando konkretnego artysty. Lang Lang™ Steinway przeznaczony jest do wczesnej pianistycznej edukacji.

I choć nie brak malkontentów, którzy krytykują Langa zarówno za gwiazdorskie fanaberie, jak i „ciężką, pozbawioną romantyzmu grę”, nazywając go Big Bangiem (Wielkim Wybuchem), oraz namiewają się z jego dziwnych min, które robi podczas koncertów, pianista niezmienne pozostaje na szczycie. Co ważne, zachwyca nie tylko fachowców, ale także rzesze ludzi, którzy tylko dla niego po raz pierwszy w życiu kupili bilet do filharmonii. Mówi się wręcz o „efekcie Lang Langa”, bo tylko w Chinach sukces pianisty sprawił, że 40 milionów dzieci zaczęło się uczyć gry na fortepianie z zamiarem zostania profesjonalnymi muzykami. – Nie chcę grać poważnych koncertów, lecz zainteresować ludzi muzyką – podkreśla na każdym kroku Lang Lang.

I na razie – jeśli spojrzeć na oszały na jego punkcie świat – nieźle mu to idzie. □

TECZKI

Znak firmowy: papież

Koniec kremówek papieskich, wina papieskiego i masowej produkcji plakatów z *[Benedyktem XVI]*? Watykan ogłasza, że na używanie wizerunku głowy Kościoła trzeba mieć teraz jego pozwolenie

DOKUMENT W SPRAWIE ZASTRZEŻENIA PRAW AUTORSKICH sekretariat Stolicy Apostolskiej wydał tuż przed Bożym Narodzeniem. Ochroną obejmuje on nie tylko wizerunek papieża (ich zdjęcia i podobizny), ale też ich imiona, herby, a nawet przydomek „papieski”. Watykan wyjaśnia, że coraz częściej obserwowano próby „przydawania sobie wiarygodności i aurytety” przez używanie papieskich znaków. Dokonywały ich szkoły, uczelnie, wydawnictwa i fundacje, ale nie tylko. Na światowych rynkach dostępne są mydła papieskie, lalki-figurki papieża, gadzety i produkty żywnościowe. Brytyjski „Times” podaje, że amerykańska firma Papieska Grupa Żywności zarejestrowała w New Jersey produkt o nazwie Papieska Pasta Pomidorowa, a Unia Europejska, choć odmówiła rejestracji Precja Papieża Benedykta, to wydała pozwolenie na używanie znaku firmowego wina Piwnice Watykanu. Prawnicy zaznaczają, że Watykan powinien zastrzec jako znaki firmowe symbole, które chce chronić. Dla producentów papieskich kremówek mogą nadejść chude lata. – joa

Swetrowa królowa

Projekty *[Soni Rykiel]* od lutego dla każdego

FRANCUSKA (CHOĆ Z POLSKO-żydowskimi korzeniami) projektantka była w latach 70. jedną z najbardziej wpływowych postaci świata mody. To ona uczyniła ze zwykłego swetra obiekt pożądania. – Kobieta potrzebuje móc się ruszyć, tańczyć, dogonić dzieci. Musi czuć się komfortowo, a jednocześnie zmysłowo – tłumaczyła Rykiel. Oprócz wy-

gody stawiała na oczywiste już dziś eksperymenty: zrobiła swetry z widocznymi szwami oraz napisami. Samej Rykiel doszły wtedy łatkę „królowa dzianiny”. W zeszłym roku projektantka (rocznik '30) obchodziła 40-lecie działalności, co uczciła między innymi wystawą swoich projektów w paryskim Musée des Arts Décoratifs, gdzie każdy mógł obejrzeć jej swetry i sukienki. Niedługo każdy też będzie mógł je kupić: Rykiel zaprojektowała (jako pierwsza) aż dwie kolekcje dla sklepu H&M: w grudniu bielizny, w lutym – charakterystycznej dzianiny. Wszystkie modelki są tak samo uczesane: mają rude, drobne loki, które oprócz materiału są drugim znakiem rozpoznawczym Soni Rykiel. – sol



Iwan Wyrypajew – znany dziś nawet fanom kolorowej prasy wybitny rosyjski dramaturg, współtwórca moskiewskiego Teatr.doc. Tabloidową popularność w Polsce zyskał dzięki małżeństwu z *[Karoliną Gruszką]*

Wyborowe kino objazdowe

Dzięki stowarzyszeniu *Nowe Horyzonty* święta potrwać dłużej, przynajmniej w naszych kinach

PLANETARIUM KAROLINA PASTERNAK



Agnes Varda

– to ona współtworzyła w Europie alternatywę dla kina hollywoodzkiego. Jej słynne „Cleo od 5 do 7”, w którym w czasie rzeczywistym pokazuje dwie godziny oczekiwania młodej piosenkarki na diagnozę choroby (raka), przeszło do historii. Zarówno ze względu na nowatorską formę, jak i feministyczne przesłanie



Steve McQueen

– jest wziętym artystą wizualnym, więc do tej pory, żeby podziwiać jego prace, trzeba było udać się do tak znamienitych instytucji jak Muzeum Guggenheima, Tate Modern czy Centre Pompidou. Teraz wystarczy iść do pobliskiego kina. W ramach ENH Tournée pokazywany będzie jego „Głód” (recenzja na stronach filmowych)

W PRZYSŁOWIU GÓRA NIE PRZYSZŁA DO MAHOMETA, A W PRAWDZIWYM ŻYCIU GÓR PRZYJDZIE NAWET SZEŚĆ. Dla tych, którym nie udało się w lipcu 2009 roku dotrzeć na festiwal Era Nowe Horyzonty, organizatorzy przygotowali wersję objazdową. Do końca lutego w siedmiu miastach Polski (Poznań, Łódź, Katowice, Gliwice, Szczecin, Częstochowa, Warszawa) na specjalnych pokazach wyświetlonych zostanie sześć hitów tegorocznej edycji. Nie przegapcie w szczególności „Dubla”, „Tłenu” i „Plaży Agnes”. Ten pierwszy to modelowy przykład bardzo drapieżnie wchodzącej do kina mody na *found footage* – montowanie starych materiałów wideo w zupełnie nowy film. W „Dublu” oprócz zdjęć ze spotkania Chruszczowa z Nixonem zobaczycie więc reklamę kawy i fragmenty „Ptaków”, a wszystko to doprawione muzyką na przykład z „Psychozy”. „Tlen” to także eksperyment filmowy, który z kolei zbliża kino do sztuki teledysku. Historię Saszy, który dla rudowłosej piękności zabił własną żonę, rosyjski reżyser Iwan Wyrypajew opowiada w kilkunastu rapowanych kawałkach, którym towarzyszą obrazki rodzajowe z życia młodych Rosjan. „Plaży Agnes”, filmowego autoportretu Agnes Vardy, kinomanom nie trzeba reklamować. Jego autorka to jedna z największych gwiazd francuskiej Nowej Fali. Dokładnego rozkładu jazdy Era Nowe Horyzonty Tournée szukajcie na stronie warszawskiego kina Muranów.

Utoczyli górę pieniędzy

W mijającej dekadzie więcej warte niż gospodarka Liberii były... występy The Rolling Stones

264 KONCERTY, PONAD 8 MILIONÓW sprzedanych biletów i prawie 900 milionów dolarów w kieszeni. Najlepiej zarabiającym zespołem ostatniej dekady okazali się grający już piątą dekadę The Rolling Stones. Jak wyliczył magazyn „Billboard”, Mick Jagger i jego koledzy prześcignęli U2 (844 miliony dolarów, za to prawie 10 milionów widzów),

Madonnę (okragłe 800 milionów), Bruce'a Springsteena (688 milionów) i Eltona Johna (603 miliony), a więc – w porównaniu ze Stonesami – młodzików. W pierwszej dekadzie zmieścili się także Céline Dion, gwiazda country Kenny Chesney, Bon Jovi, Billy Joel oraz Dave Matthews Band. Występy tych ostatnich w ciągu 10 lat zobaczyło najwięcej, bo aż 11 milionów fanów – więcej, niż wynosi populacja Czech, Portugalii czy Grecji. – mh



Głowy różnych państwa

MEROWSKI COMING OUT

HOUSTON, CZWARTE CO DO wielkości miasto USA i stolica jednego z najbardziej konserwatywnych stanów – Teksasu, wybrało właśnie panią burmistrz, która otwarcie deklaruje, że jest lesbijką. Annise Parker objęła urząd 2 stycznia. Wprawdzie dołożyła starań, aby jej orientacja seksualna nie stała się tematem kampanii, a swoim atutem uczyniła doświadczenie w nadzorowaniu finansów miasta (sprawowała w ratuszu urząd głównego audytora), jednak jej wybór i tak jest dla amerykańskich gejów i lesbijek kamieniem milowym. Do tej pory jawni homoseksualiści stawali na czele mniejszych miast, a pierwszym

merem gejem w USA był David Cicilline, który od 2003 roku zarządza 170-tysięcznym Providence. Na świecie inni przetrarli już szlaki. Najśłynniejszym burmistrzem gejem jest mer Berlina Klaus Wowereit, któremu coming out pomógł w 2001 roku w objęciu stanowiska. Tuż przed wyborami na urząd mera Wowereit wygłosił słynne zdanie: „Jestem pedalem i jest mi z tym do brzo” – i nie zawahał się użyć niepoprawnego politycznie słowa *schwül*. Z kolei francuską stolicą rządu homoseksualista Bertrand Delanoë. Paryżanie wybrali go na ten urząd w 2001 roku: trzy lata po tym, jak dokonał coming outu. – joa



Annise Parker



David Cicilline



Klaus Wowereit

FOT. ERA NOWE HORYZONTY, ITAR-TASS/PAP, ABACA/FOTOLINK, AP (6), MAREK SZCZEPANSKI, EAST NEWS

TOLKIEN, KOLEGA BONDA

MAŁO BRAKOWAŁO, BY ZAMIAST MIĘDZY FILOLOGAMI I PISARZAMI J.R.R. TOLKIEN OBRACAŁ SIĘ W WYBORNYM TOWARZYSTWIE BRITYJSKICH SZPIEGÓW



Olga Woźniak

W zasadzie trudno się dziwić. Wieść gminna niesie, że znał (w różnym stopniu) blisko 30 języków. Do tego kilka wymyślił sam. Był świetnym lingwistą, naukowcem. Biorąc pod uwagę takie referencje, nie sposób było pominąć



Johna Ronalda Reuela

Tolkiena w powołaniu do szkoły szpiegów. Był marzec 1939 roku, gdy służył wywiadowcze Wielkiej Brytanii (zainspirowane opinią, jaką wystawiła Tolkienowi jego uczelnia) skierowały pisarza do tajnej Rządowej Szkoły Kodów i Szyfrów (GCCS) w Londynie. Miał pracować w słynnym ośrodku w Bletchley Park jak 50 innych naukowców skierowanych na szpiegowskie szkolenie. Oferta, jaką otrzymał od wywiadu – 500 funtów rocznie – była na owe czasy sumą astronomiczną. Jednak po zaledwie trzech dniach Tolkien odmówił nauki. Nie przystąpił do zespołu, w którym mózgi takie jak Alan Turing kilka lat później złamały szyfr Enigmy. Dlaczego?

Pewien historyk spytany o ten fakt z biografii pisarza

stwierdził żartobliwie na łamach „Daily Telegraph”: być może dlatego, że cywilizowany świat zdecydował się toczyć wojnę z nazistowskimi Niemcami, a nie z Mordorem (choć trzeba przyznać, że różnica nie była wielka).

Czy ów szpiegowski epizod wpłynął jakoś na pisarstwo Tolkiena? Choć on sam utrzymywał, że ani pierwsza, ani druga wojna światowa nie odcisnęła piętna na jego twórczości, niektórzy liczą szpiegów (działających w dobrej i złej sprawie) na kartach jego książek (Bilbo, Frodo, Sam, Gollum, Grima Wormtongue...) i twierdzą, że coś jest na rzeczy.

Tak czy siak, szpiegostwo zawsze wywołuje dreszczki emocji – zwłaszcza jeśli dotyczy ludzi, których nigdy byśmy o to nie podejrzewali. Bo tacy właśnie, trzeba przyznać, są szpiegami idealnymi. Czy to, co wiemy o szpiegowskim epizodzie Tolkiena, jest całą prawdą? Trudno stwierdzić, jeśli weźmie się pod uwagę to, że te informacje pochodzą od brytyjskich służb wywiadowczych.



Wśród bohaterów „Władcy pierścieni” jest kilku niezłych szpiegów

→
W tym tygodniu:
GRZEBIEMY W MÓZGACH PRZESTĘPCÓW
I PATRZYMY, CZY RÓŻNIĄ SIĘ OD INNYCH.
A POTEM LICZYMY, ILE ZJADŁA PLUSKWA
MILENIJNA

Oskarżony: mózg

Czy to, kim jesteśmy, jest zapisane w naszych mózgach i nic nie możemy z tym zrobić? A skoro tak, to czy przestępcy popełniający zbrodnie powinni za nie odpowiadać? Takie pytania budzi neuroprawo – połączenie neurobiologii z kryminalistyką

NEUROPRAWO TEKST OLGA WOŹNIAK, ILUSTRACJA JACEK FRĄŚ

Wysoki sędzie, to nie ja. To mój mózg” – taka linia obrony to nie żadna fantazja. Coraz częściej można ją usłyszeć na sali sądowej. Jak zdystansować się od własnego mózgu? Czy można obarczyć go winą za swoje nikczemne uczynki i oczekiwać łagodnego wymiaru kary? Oczywiście – pomagają w tym najnowsze osiągnięcia nauki. Dzięki nim dowiadujemy się, że „ja” i „mój mózg” to splecione, ale odrębne byty. Kto w takim razie powinien ponosić odpowiedzialność karną: „ja”, „mózg” czy społeczeństwo?

Gen agresji

Czy kiedy 1 sierpnia 1966 roku Charles Whitman zabił 14 niewinnych osób, a 31 ranił, strzelając do nich z karabinu, ktokolwiek miał wątpliwości, czy ten człowiek zasługuje na karę śmierci? Nikt. A jednak dzisiaj w świetle najnowszych badań neurobiologów Whitman mógłby liczyć – kto wie? – może nawet na uniewinnienie. Sekcja zwłok bowiem wyka-

zała, że miał złośliwego guza mózgu. Czy to zmieniło zachowanie Whitmana? Nowotwór znajdował się w okolicach struktury zwanej ciałem migdałowatym. To obszar odpowiedzialny za przetwarzanie emocji, w tym także złości i strachu.

Co to za usprawiedliwienie dla masowej egzekucji niewinnych ludzi? – spytacie. A jednak są sędziowie, dla których to, co dzieje się w naszych mózgach, jest okolicznością łagodzącą nawet w poważnych sprawach.

Niedawno pismo „Nature” opisało przypadek mężczyzny pochodzącego z Algierii, który broniąc się tym, że ma „wrodzone skłonności do agresji”, uzyskał łagodniejszy wymiar kary. Oskarżonego o morderstwo Algierczyka przebadali biegli, którzy orzekli, że na skutek mutacji genetycznych w budowie jego mózgu występują nieprawidłowości. Te czynią go bardziej podatnym na prowokacje. Pod wpływem tej opinii sędzia skrócił mordercy odsiadkę o rok.

Wśród zmutowanych genów Algierczyka miał się znajdować także tak zwany gen agresji. Naukowcy opisali go w latach 90. XX wieku. Do odkrycia owe-

go genu (nazwanego MAO-A ze względu na to, że koduje instrukcje powstawania enzymu oksydazy monoaminowej) przyczyniła się historia kolejnego mordercy – Stephena Mobleya. W 1991 roku 25-letni wówczas Mobley wszedł z pistoletem w rękę do lokalu Domino’s Pizza i po obrabowaniu kasy z zimną krwią zastrzelił kierownika restauracji. Sąd nie znalazł okoliczności łagodzących: morderca wychował się w szczęśliwej rodzinie, nie był molestowany seksualnie, nie żył w nędzy. Skazano go na karę śmierci. Jednak obrońca doszukiwał się w rodzinie zabójcy podobnych incydentów aż cztery pokolenia wstecz. Męscy przodkowie Mobleya z niejasnych powodów dopuszczali się rozbojów, podpaleń, gwałtów, dokonywali też samookaleczeń.

Podobny przypadek w 1993 roku opisał magazyn naukowy „Science”: naukowcy prześledzili losy holenderskiej rodziny od pokoleń wykazującej wyjątkową skłonność do przemocy. Analizy DNA jej członków wykazały istnienie genu agresji, dziedzicznej wady wpływającej na metabolizm rozmaitych substancji w naszym mózgu od dawna znanych ze swojego oddziaływania na regulację ludzkich zachowań.

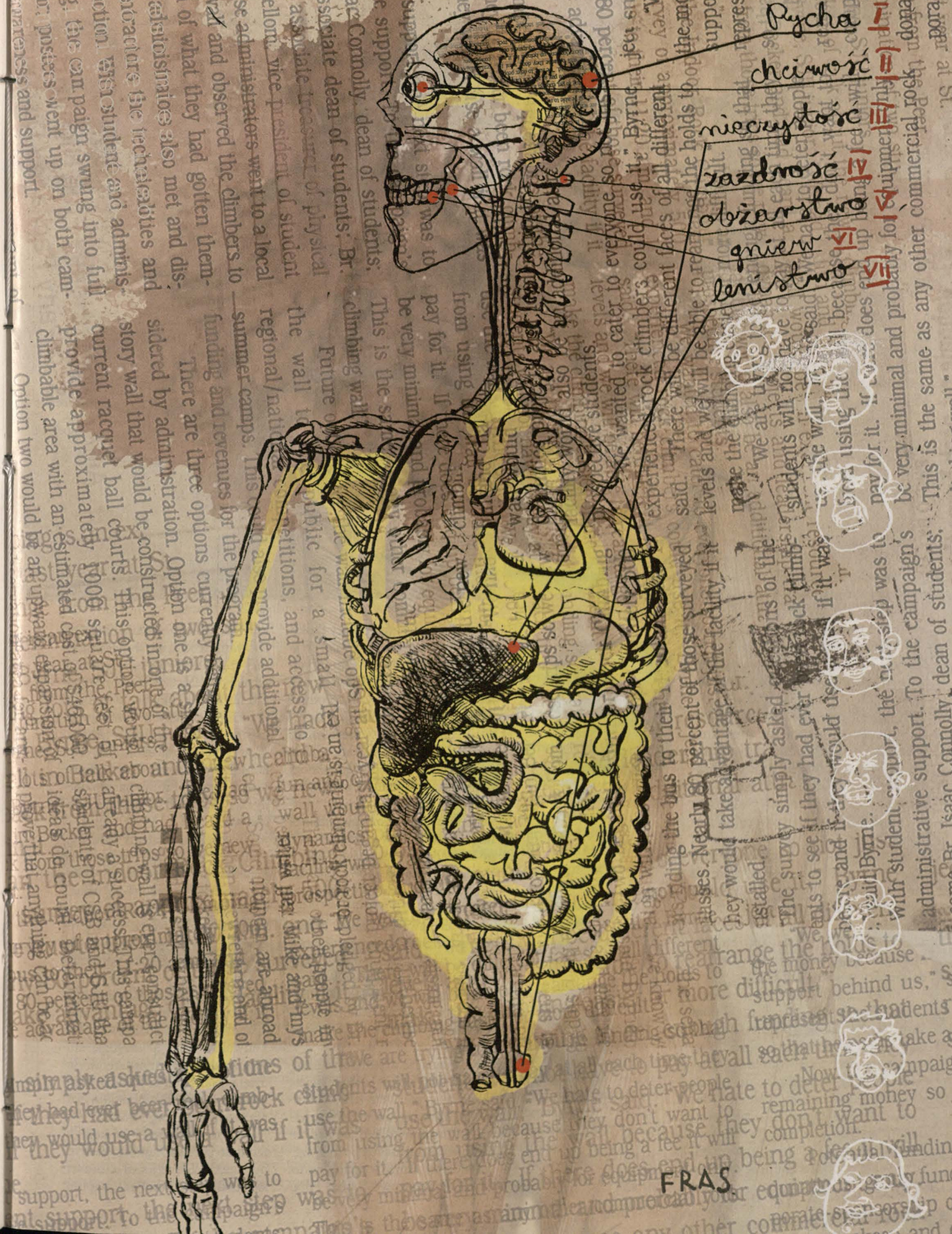
To odkrycie nie zdjęło jednak winy z Mobleya, na którym wyrok śmierci wykonano w 2005 roku.

Guwernantka w mózgu

Tymczasem neuronauka próbująca ustalić, czym różni się mózg przestępcy od umysłu tak zwanego normalnego człowieka, rozwijała się w najlepsze.

Pałeczke przejęli badacze z Uniwersytetu Wisconsin w Madison. Chcąc odkryć w męskiej głowie przyczyny brutalnych zachowań, przebadali ponad 500 osób. Ich krótki doświadczałny rekrutowali się spośród więźniów odsiadujących wyroki za morderstwo oraz ludzi z uszkodzeniami mózgu i cierpiących na schorzenia psychiczne przejawiające się wybuchami złości.

Naukowcy przyjrzeni się trzem newralgicznym obszarom w ich mózgach odpowiedzialnym za regulację emocji. Dwa →



FRAS

ROZMOWA

Prawo nie jest nauką ścisłą

O etyce stojącej za wykorzystaniem neurobiologii w sądzie, badaniu mózgu ławników i o tym, czy jesteśmy biologicznie zdeterminowani, mówi profesor Jacek Hołówka

Czy badania mózgu mogą być wykorzystywane do obrony oskarżonego w procesie sądowym?

– Te badania wciąż są w fazie eksperymentu. Nie powstały jeszcze algorytmy, które bezpośrednio przekładałyby fizjologiczne czy hormonalne uwarunkowania na zachowanie ludzi. Wszystko, co teraz wiemy o budowie i funkcjonowaniu mózgu, ma charakter statystyczny. Możemy jedynie mówić o pewnym prawdopodobieństwie, skłonnościach. Podobnie możemy mówić o skłonności do agresji u mężczyzn z podwójnym chromosomem Y. Ale to nie znaczy, że muszą oni przejawiać takie skłonności. Ani również, że mężczyźni z XY nie mogą być bardziej agresywni. Jeśli istnieje jakaś zbieżność, to jest ona jedynie probabilistyczna.

Czy sąd musi brać pod uwagę uwarunkowania biologiczne?

– Może, ale nie musi. Nie wolno jednak zakazać takiej linii obrony. Działalność sądu nigdy nie była nauką ścisłą. Właściwie rzadko dowody są jednoznaczne, a wyroki wydawane jedynie na podstawie ścisłych faktów. Bierze się pod uwagę także okoliczności. Dlatego również te badania, które opierają się na statystyce i tłumaczą zachowanie jakimś niedoborami lub zaburzeniami w fizjologii (nawet w ujęciu statystycznym), mogą być przedstawiane sądowni. Nawet jeśli naukowo są to dowody nieścisłe.

A czy te badania mogą być wykorzystywane do wybierania ławników, sędziów?

– Myślę, że byłoby to korzystne. W USA są – przeciwko homofobii, mizoginii, rasizmowi itd. Każdy człowiek ma prawo do sprawiedliwego procesu, osądzenia przez ludzi równych sobie i dążących do poznania prawdy. Sąd jest po to, by ustalić prawdę i wydać sprawiedliwy wyrok. Dlatego każde badanie, które może wykryć jakieś „złe skłonności”, jest korzystne. Oczywiście nie można sprowadzić tego do absurdu i szukać człowieka idealnego. Bo takiego nie ma.

Ala czy taki biologiczny determinizm nie zwalnia nas trochę z odpowiedzialności za swoje czyny?

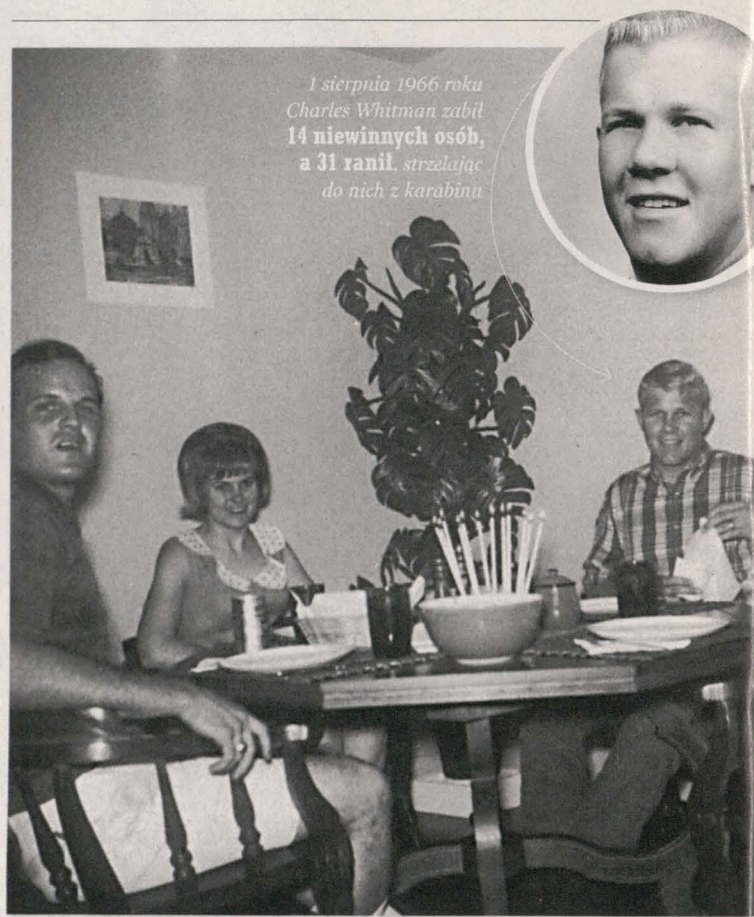
– Człowiek, który nie wie o swoich skłonnościach do agresji czy braku kontroli emocji, nie powinien być pociągany za to do odpowiedzialności, czyli to go trochę z winy zwalnia. Chyba że uznamy, iż każdy ma dostęp do wiedzy o swoich predyspozycjach (deficytach hormonalnych czy fizjologicznych). Tak jak prawie na każdej klatce schodowej rodzice są upominani, że ponoszą odpowiedzialność za swoje dzieci.

not. urs



Profesor Jacek Hołówka ma 64 lata. Jest etykiem, socjologiem medycyny i filozofem. Choć jak sam podkreśla, nie ma czegoś takiego jak zawód filozofa.

– Powiedzieć o kimś, że jest filozofem, można dopiero wtedy, kiedy publicznie został uznany za genialnego. Istnieją bowiem tylko twórcy filozofowie, którzy mają wizję pomagającą innym zrozumieć świat – wyjaśniał w jednym z wywiadów. Opublikował liczne artykuły oraz kilka książek o tematyce etycznej.



1 sierpnia 1966 roku Charles Whitman zabił 14 niewinnych osób, a 31 ranił, strzelając do nich z karabinu

→ z nich – fragment kory czołowej i kresomózgowia – odgrywają rolę strażników utrzymujących w ryzach ciało migdałowate, obszar odpowiedzialny za produkcję negatywnych emocji i agresji. To dość delikatny mechanizm i łatwo go rozregulować, a właśnie to dzieje się w mózgach ludzi mających problemy z samokontrolą. Naukowcy odkryli, że u takich osób obszary mózgu pełniące funkcję strażników są mało aktywne lub całkiem niesprawne, dlatego ciało migdałowate wymyka się spod kontroli i produkuje tyle złości, ile się da.

Co ciekawe, u kobiet rejon mózgu odpowiedzialny za hamowanie agresji są znacznie lepiej rozwinięte niż u panów. Właśnie tym naukowcy tłumaczą skłonność płci pięknej do cenzurowania impulsywnych reakcji oraz zachowań.

Czy oznacza to jednak, że naturalnym instynktem człowieka jest tkwić w pierwotnych strukturach mózgu agresja, a cywilizowane zachowanie to jedynie nadbudowa wykształconych później części mózgu? Hm... wygląda na to, że tak. Podstawowe popędy i pra-

gnienia, które motywują nasze zachowanie, rodzą się w nieświadomej części mózgu i są w zasadzie odruchowe: złość, strach, pożądanie, uczucie lękania – większość grzechów głównych to starzy lokatorzy naszych umysłów trzymający w ryzach przez ekonoma, czyli korę przedczołową, która „tłucze nas po łapach” i tłumi nasze popędy na rzecz bardziej złożonych zachowań.

To właśnie dlatego dzieciom i młodzieży trudniej oprzeć się działaniom impulsywnym – kora przedczołowa bowiem osiąga dojrzałość dopiero koło 20. (a niektórzy twierdzą wręcz, że 30.) roku życia.

Od czasu do czasu – na skutek urazu głowy czy choroby – nasz mechanizm kontrolny ulega rozregulowaniu. Ciało znowu zostaje opanowane przez podświadomość, a adwokaci zyskują narzędzie, które pozwala bronić morderców, złoździ i gwałcicieli za pomocą argumentu o niemożności dokonywania świadomych wyborów.

Czy to nadużycie? W komentarzu do sprawy Algierczyka słynny genetyk Steve Jones z University College w Londynie napisał:

„90 procent wszystkich zabójstw jest popełnianych przez ludzi z chromosomem Y – czyli mężczyzn. Czy to znaczy, że mężczyźni powinni zawsze dostawać krótsze wyroki?”

Liberum veto!

By zostać skazanym za popełnienie przestępstwa, musimy być uznani za osobę poczytalną. Co to oznacza? – W kosmicznym uproszczeniu – tłumaczy profesor Piotr Girdwoyń, kryminolog z Uniwersytetu Warszawskiego – rozumie się przez to zdolność rozpoznawania znaczenia swojego czynu i możliwość kierowania swoim postępowaniem. Aby mówić o ponoszeniu odpowiedzialności karnej, muszą być spełnione oba kryteria. Innymi słowy: człowiek musi mieć wolną wolę popełnienia czynu.

O właśnie! Wolna wola! – zakrzykną tu neurobiolodzy i wytoczą działa, które pojęcie wolnej woli rozbijają w drobny mak. Najśłynniejsze w tej dziedzinie są badania przeprowadzone w latach 70. XX wieku przez B. Libeta i H.H. Kornhubera. Podczas eksperymentu badacze poprosili ochotników, by... ruszali palcami. To banalne z pozoru zajęcie monitorowano za pomocą EEG. Okazało się, że mózg o sekundę wcześniej wie, że ręka poruszy palcem, niż my świadomie zdajemy sobie z tego sprawę. Podobnie rzecz ma się z obserwowaniem i analizowaniem rzeczywistości zewnętrznej. Zanim jej obraz trafi do naszej świadomości, podświadomy mózg ma już wszystko obcykane. Ba! Często zdąży wydać odpowiednie dyspozycje, zanim nasza świadomość w ogóle zdola zarejestrować jakieś zdarzenie. Wyniki Libeta potwierdzano wielokrotnie. Dwa lata temu badacze niemieccy, korzystając z zaawansowanych możliwości obrazowania mózgu, odkryli nawet, że rozmaite nieświadome działania podejmuje on już siedem sekund przed ocknięciem się świadomości. – Świadomość to zaledwie wierzchołek góry lodowej w procesie podejmowania decyzji – komentował to na łamach „Nature Neuroscience” John-Dylan Haynes, neurolog z niemieckiego Instytutu Maksa Plancka, który kierował badaniami.

Czy neurobiologia wpłynie na zmianę kodeksów karnych? Wielu badaczy mózgu po-

ważnie zastanawia się nad zanegowaniem pojęcia wolnej woli. Zamiast tego wolą używać terminu „autokontrola”. Wygląda więc na to, że zamiast woli działania mamy raczej wobec własnego mózgu prawo liberum veto. A i tak często procesy podświadome wymykają się cenzurze.

A skoro tak, to – jak głoszą filozofowie – „albo nasze uczynki są zdeterminowane, a wtedy nie ponosimy za nie odpowiedzialności, albo są skutkami zdarzeń przypadkowych, a wtedy też nie jesteśmy za nie odpowiedzialni”.

Jak w takim razie ma działać system sprawiedliwości? Przecież problem dodatkowo komplikuje to, że mózg sprawia o wiele więcej kłopotów. Nie współpracuje, nie jest obiektywny. Zataja fakty.

Mózg kłamie

– Poza zasięgiem naszej świadomości tkwią też bardzo wiele śladów pamięciowych – tłumaczy psycholog, profesor Rafał Ohme. – Zapamiętujemy o wiele więcej, niż nam się wydaje. Wiele z tego trafia jednak do pamięci utajonej, czyli, krótko mówiąc, chowana jest przez mózg do różnych schowków.

Po co? Ano po to, żebyśmy nie stracili dobrego mniemania o samych sobie. Każdy z nas ma w głowie własnego reżysera. To on z docierających do nas wrażeń montuje film, emocjonalny, ale niezbyt mniemnie odzwierciedlający rzeczywistość. Zmienia rangę niektórych wydarzeń, wmontowuje sceny, których naprawdę nie było, i wycina fragmenty niepasujące do całości. Wszystko po to, by chronić nasze ego i dobre samopoczucie.

Pamięć potrafi samoistnie kasować ślady traumatycznych zdarzeń i niechcianych wspomnień. Mamy je gdzieś składowane, ale wykasowana zostaje ścieżka dostępu do nich. Jak zatem przesłuchiwać świadków? Jak wierzyć w ich zeznania?

I tutaj też wymiarowi sprawiedliwości przychodzi w sukurs neurologi. Tak rodzi się nowa gałąź wiedzy – neuroprawo. W USA na Uniwersytecie Vanderbilta powołano do życia centrum badawcze (zainwestowano w nie 27 milionów dolarów) mające na celu udostępnianie odkryć neurobiologii wymiarowi sądownictwa. Centrum zarządza →

SZANSA DLA ROMANA

CO MYŚLICIE O MĘŻCZYZNACH, którzy mają szczególne upodobanie do dziewcząt w okresie dojrzewania? Psycholog ewolucyjny wzruszyłby ramionami i stwierdził, że tak już ich ukształtowała ewolucja. Tymczasem męska słabość do dziewcząt zyskuje

właśnie status zaburzenia psychicznego zwanego hebefilią (w przeciwieństwie do pedofilii – seksualnych ciagot wobec dzieci – czy efebofilii, kiedy podniecające są osoby w wieku około 15–19 lat). Jeśli świat psychiatrii uzna ostatecznie hebefilię za zaburzenie psychiczne, Roman Polański może zostać skierowany

na terapię zamiast za kratki. Wystarczy jeszcze trochę poczekać – nowe, piąte już wydanie „biblii psychiatrii”, czyli „Diagnostic and Statistical Manual of Mental Disorders” (DSM), w którym hebefilia to choroba, jest właśnie dyskutowane w świecie naukowym. „DSM-V” ma być wydane w 2012 roku.

SITA.pl

Technika dla języka

Wykorzystaj odkrycia naukowe prof. Roberta Wallace'a, prof. Rainera Dietericha i laureata nagrody Nobla prof. Rogera Sperry w nauce języków.

ANGIELSKI
ENGLISH

NIEMIECKI
DEUTSCH

FRANCUSKI
FRANÇAIS

HISZPAŃSKI
ESPAÑOL

WŁOSKI
ITALIANO

Święta, Nowy Rok, nowy język

Swobodna rozmowa w zakresie najczęściej używanych słów i zwrotów gwarantowana już po 44 godzinach nauki systemem SITA.



Urządzenie SITA pomaga osiągnąć i utrzymać stan relaksu – optymalny do nauki języka (799 zł).

Rabat 200 zł

Kursy językowe SITA specjalnie przygotowane podręczniki i nagrania gwarantują najlepsze efekty (229 zł za jeden poziom kursu).

	PODSTAWOWY poziom 1	poziom 2	ŚREDNIO ZAAWANSOWANY poziom 3	poziom 4
angielski	☐	☐	☐	☐
niemiecki	☐	☐	☐	☐

KUP NA WWW LUB TELEFONICZNIE
www.sita.pl 22 636 90 91

Platne przy odbiorze. Koszt przesyłki ponosi odbiorca. Urządzenie posiada 24. miesięczną gwarancję. Dla dobra naszych klientów istnieje możliwość zwrotu urządzenia oraz kursów, dostarczonych wysyłkowo, w ciągu 14. dni. Urządzenie prosimy zatrzymać tylko w przypadku, gdy jesteśmy Państwo przekonani o jego skuteczności. W przypadku rezygnacji prosimy o odesłanie zakupionego towaru i podanie numeru konta, na które odesłamy pieniądze. **PRZEKRÓJ**

SITA Sp. z o.o.
Salon Sprzedaży
ul. Bellottiego 3
01-022 Warszawa



→ profesor Owen Jones, prawnik i biolog w jednym. Dzięki pracom jego zespołu wiadomo na przykład, co dzieje się w naszym mózgu, gdy wbrew temu, co myśli sobie nasza świadomość, widzimy znajomą twarz czy obraz. Wiadomo też – dzięki podglądaniu naszych szarych komórek w akcji (za pomocą tomografu komputerowego lub funkcjonalnego rezonansu magnetycznego) – co dzieje się w naszym mózgu, gdy kłamiemy.

Zbadać przysięgłych

Naukowcy z Uniwersytetu Kalifornii Południowej w USA podczas badania chorobliwych kłamców, osób przejawiających cechy aspołeczne, ale niekłamających chorobliwie oraz osób „normalnych” odkryli ponadto, że patologiczni kłamcy w porównaniu z ludźmi prawdomównymi mają strukturalne różnice w budowie mózgu, a konkretnie w jego części czołowej, owej neurologicznej guwernante, która trzyma nas w ryzach. Jest tu wyraźnie mniej tak zwanej istoty szarej, a więcej istoty białej. – To dlatego – wyjaśniają autorzy badań – kłamcy nie mają zahamowań, by kłamać: kłamstwo nie budzi u nich tak silnych wyrzutów sumienia, bo sumienia mają oni jakby fizycznie mniej.

Z drugiej strony większa objętość istoty białej zapewnia im lepszą wymianę informacji między neuronami. A to pozwala zdobyć większe mistrzostwo w sztuce kłamania, która jest dla mózgu ciężką, wielozadaniową pracą.

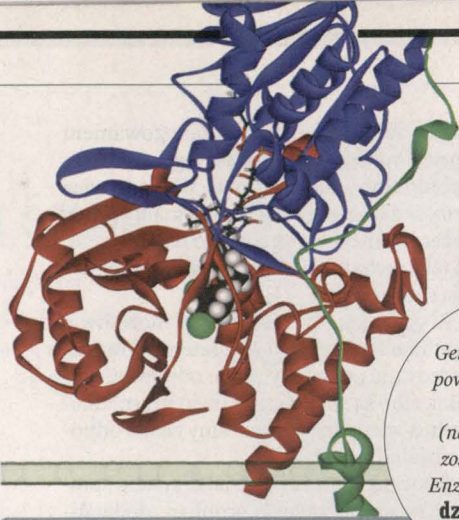
– By dobrze łączyć, trzeba posiadać zdolność czytania w umyśle innych, oceniać, co druga osoba wie, a czego nie wie na dany temat – komentuje prowadzący badania Adrian Raine. – Z drugiej strony zaś należy umiejętnie blokować czy regulować własne emocje, by się nie zdradzić, no i mieć świetne zdolności językowe. To wszystko umożliwia dużą ilość istoty białej w mózgu – dodaje specjalista.

Trudno się zatem dziwić, że niektórzy teoretycy prawa widzą możliwość badania mózgów przestępców, świadków, ba! – nawet członków ławy przysięgłych.

Po co tych ostatnich?

Okazuje się bowiem, że oglądając ich szare komórki, jesteśmy w stanie wiele powiedzieć o ich przekonaniach, uprzedzeniach, poczuciu sprawiedliwości. A co za tym idzie – możemy dobrać ławę przysięgłych tak, by była jak najbardziej obiektywna. Bo weźmy choćby taki rasizm.

Allen Hart z Amherst College w Massachusetts śledził za pomocą rezonansu magnetycznego reakcje ludzi na białe i czarne twarze. Dzięki temu odkrył, która część naszego mózgu odpowiada za na-



Gen MAO-A kodujący powstawanie oksydazy monoaminowej (na obrazku) uznany został za gen agresji. Enzym ten wpływa na działanie naszego mózgu

NIE SĄDZIĆ DZIECI

W USA MŁODZIEŻ W WIEKU lat 16 może jeździć samochodem, 18-latkę mogą służyć w wojsku, a alkohol pozwala się pić od 21. roku życia. Tymczasem według najbardziej optymistycznych szacunków badaczy mózg rozwija się w pełni dopiero w 25. roku życia. Jego rozwój zawsze przebiega od tyłu ku przodowi. Obszary, które najwcześniej osiąga dojrzałość, to te z tyłu, które odpowiadają za wzrok, słuch, dotyk i orientację przestrzenną. Potem rozwijają się obszary, które koordynują te funkcje. Jako ostatnia dojrzeje kora przedczołowa, gdzie mieszczą się takie zdolności, jak planowanie, ustalanie priorytetów, poskramianie impulsów czy rozważanie konsekwencji swych czynów.

– Naukowcy do niedawna za nieodpowiedzialność nastolatków winili burzę hormonów – mówi Elizabeth Sowell, neurolog z Uniwersytetu Kalifornijskiego w Los Angeles. – Dziś wiemy, iż wynika ona z tego, że obszar mózgu, który zarządza poczuciem odpowiedzialności, jeszcze się u nich do końca nie rozwinął. Do tego dochodzi hormonalna burza. Hormony seksu-

alne wywierają ogromny wpływ na mózg. Są szczególnie aktywne w ośrodkach mózgu odpowiadających za emocje – w układzie limbicznym. Według psychiatry z Uniwersytetu w Pittsburghu, doktora Ronalda Dahla, w ten sposób powstaje „emocjonalny granat”. Nastolatki szukają sytuacji, w których mogą sobie pozwolić na uwolnienie emocji, gdy tymczasem obszary mózgu odpowiedzialne za poskramianie ryzykownych zachowań jeszcze nie do końca się rozwinęły. Dlatego w świetle najnowszych badań amerykańscy specjaliści od prawa i obrony praw dziecka sugerują, że młodzież do 18. roku życia nie powinna być sądzona tak jak dorośli i nie powinno się jej wymierzać kary śmierci. Kilka lat temu w stanowisku podsumowującym obecne badania nad dojrzewaniem mózgu amerykańska palestra wezwała wszystkie legislatury stanowe do zniesienia kary śmierci dla nieletnich. „Z powodów społecznych i biologicznych nastolatkom trudniej jest podejmować dojrzałe decyzje i rozumieć konsekwencje swoich działań” – napisano w tym oświadczeniu. □

sze podświadome uprzedzenia i głęboko zakorzenione przekonania. Sprawdził to, badając ludzi, którzy nigdy nie uznali by siebie za rasistów, a jednak reakcja ich mózgu na twarze czarnoskórych przeczyła ich otwartej postawie. U osób najsilniej reagujących na poziomie podświadomym na twarze czarnoskórych bardzo aktywne stawało się wspomniane już ciało migdałowate zawiadujące naszymi emocjami, czyli odczuciami bardziej pierwotnymi od rozumu. A skoro stereotypy mają związek właśnie z nimi, trudno je przełamać. Opierają się bowiem logicznej argumentacji. A kiedy rozum śpi... Wiadomo.

Myślozbrodnie

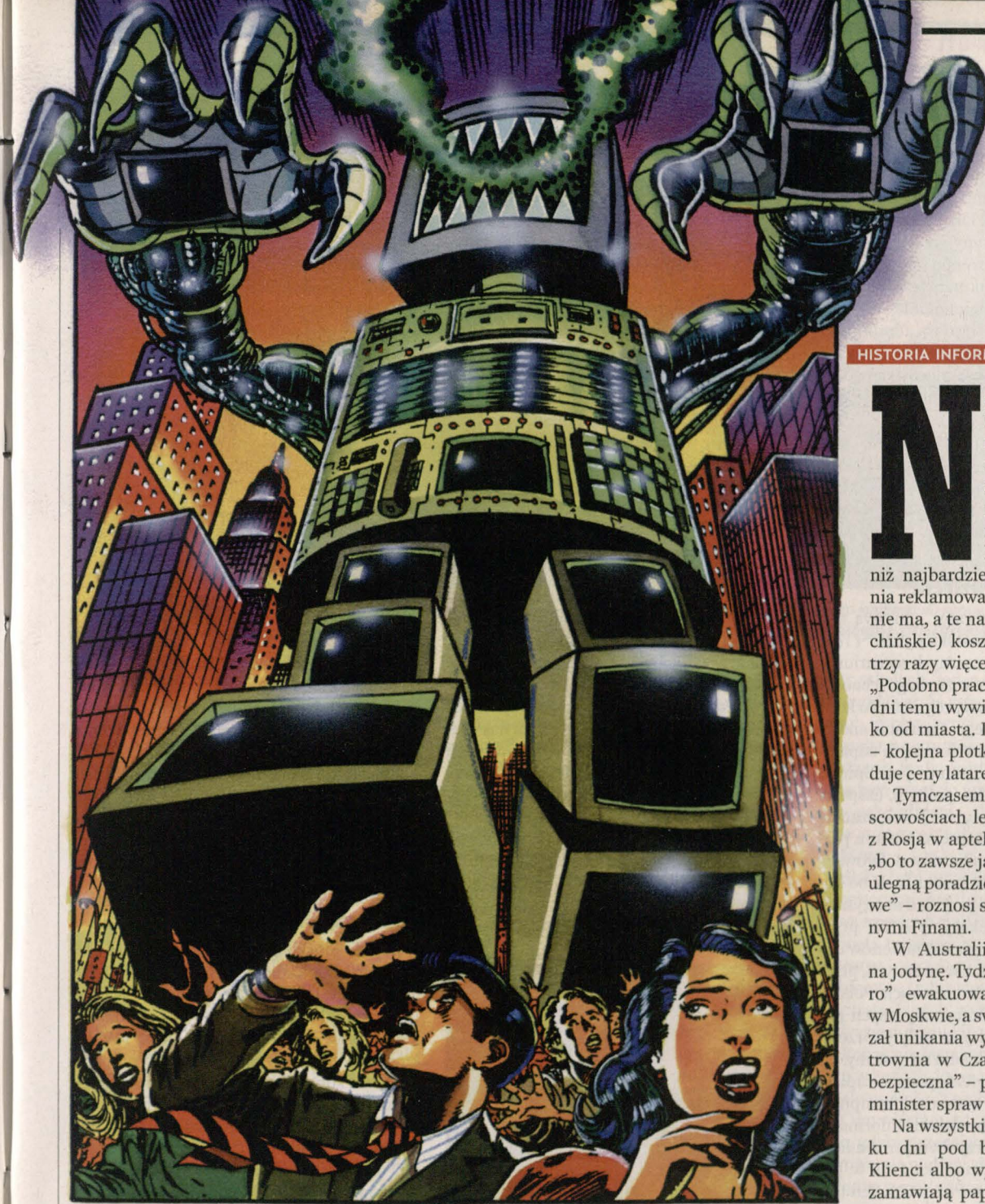
Wobec tych faktów nie powinna nikogo zaskoczyć wiadomość, że interes w naukach neurobiologicznych zwężyły liczne firmy.

Jedną z nich jest amerykańska spółka Cephos, która przeznacza spore fundusze na opracowanie „mózgowego detektora kłamstw”. Inne zajmują się „neurologicznym wróżeniem” na temat naszych skłonności, predyspozycji, ograniczeń. I choć tego typu zajęcie wciąż jeszcze możemy traktować z przymrużeniem oka, powstaje coraz więcej organizacji, które w połączeniu nauk neurologicznych z prawem widzą zagrożenie. Na przykład Center for Cognitive Liberty and Ethics, które zrzesza naukowców wyrażających zaniepokojenie o wolność ludzkiej myśli.

Skoro bowiem pewnego dnia będziemy w stanie odkrywać w naszym mózgu przestępcze skłonności, odczytywać mordercze zamiary i psychopatyczne cechy osobowości, to co powinniśmy z tą wiedzą począć? Czy tak, jak opisywał to George Orwell, będziemy karani za myślozbrodnie? Czy osoby, których mózgi okażą się bardziej skłonne do agresji, będą prewencyjnie izolowane? Poddawane psychomanipulacji, by „uleczyć” ich neurologiczny defekt? Istnieją techniki medyczne, które już dzisiaj pozwalałyby na to. I czy wszystkie te odkrycia nie sprawiają, że zaczynamy postrzegać siebie jako bezwolne marionetki własnych mózgów? Zombi żyjące w „hologramach umysłu”?

Ja się nie boję. Nasze mózgi z pewnością poradzą sobie z tą wiedzą. Przecież nie pozwolą nam myśleć o sobie w tak niepocholebny sposób. Bo czym by się to skończyło? □

Słuchaj też „Wiadomości” w



Robak, który zjadł 300 miliardów dolarów

W globalnej wiosce wybuchła globalna panika – tak można streścić wydarzenia sprzed 10 lat, gdy świat zmagiał się z fatamorganą pluskwy milenijnej. Problem okazał się wirtualny, ale wydane na niego pieniądze – jak najbardziej prawdziwe

HISTORIA INFORMATYKI IGOR RYCIĄK

Na targu w Płocku latareki idą jak woda, lepiej niż fajerwerki. „Bo jak się zacznie dziać w naszej rafinerii, to na pewno odetną prąd w całym mieście” – plotka nakręca popyt sprawniej niż najbardziej przemyślana kampania reklamowa. W sklepach latarek już nie ma, a te na bazarze (najwyklesze chińskie) kosztują nawet 40 złotych, trzy razy więcej niż miesiąc wcześniej. „Podobno pracownicy Orlenu już kilka dni temu wywieźli swoje rodziny daleko od miasta. Lepiej się przygotować” – kolejna plotka jeszcze bardziej winduje ceny latarek.

Tymczasem w Finlandii, w miejscowościach leżących wzdłuż granicy z Rosją w aptekach nie ma już jodiny, „bo to zawsze jakiś ratunek, gdy awarii ulegną poradnicze elektrownie jądrowe” – roznosi się między zaniepokojonymi Finami.

W Australii nawet rząd nie liczy na jodynę. Tydzień przed „godziną zera” ewakuował personel ambasady w Moskwie, a swoim obywatelom nakazał unikania wyjazdów do Rosji. „Elektrownia w Czarnobylu też miała być bezpieczna” – przekonywał australijski minister spraw zagranicznych.

Na wszystkich kontynentach od kilku dni pod bankami stoją kolejki. Klienci albo wyciągają gotówkę, albo zamawiają papierowe wydruki z saldem kont, by zachować dowód, ile mieli pieniędzy.

Jest 31 grudnia 1999 roku. To prawdopodobnie najdziwniejszy sylwester w nowożytnej historii. Z jednej strony na całym świecie ludzie szykują się na huczne imprezy związane z wyjątkową zmianą daty (choć to ostatni rok mijającego tysiąclecia, a nie pierwszy nowego). Z drugiej – w milionach firm i instytucji odwołane zostały urlopy, a część personelu musi przyjść do pracy i czuwać w najwyższej gotowości.

W Polsce w każdym większym mieście przez całą noc działać będą sztaby kryzysowe złożone z przedstawicieli →

→ służb miejskich, straży pożarnej, policji, pogotowia. W instytucjach finansowych, strategicznych agencjach rządowych, w sektorze energetycznym czy w armii najwyższy alarm ogłoszono już kilka miesięcy temu. „Mimo rutyny trzeba przyznać, że dziś jest odrobinę nerwowo” – ocenia rzecznik największej w Polsce sieci telefonii komórkowej (ale na przykład dyrektor do spraw administracyjnych Szpitala Wojewódzkiego w Łomży śpi spokojnie – łączność z jego placówką będzie utrzymana, bo centralka telefoniczna jest zbyt stara, by problem jej dotyczył).

Pierwszym dużym państwem, w którym nastanie rok 2000, jest Nowa Zelandia. „W Oakland na razie jest spokojnie” – informują globalne stacje TV. Ale godzina prawdy się zbliża. Zaczynamy odliczanie: trzy, dwa, jeden, zero. Zero.

Góra pieniędzy do wzięcia

„Problem roku 2000”, zwany „pluskwą milenijną”, a w prasie anglosaskiej „Y2K” (*Year 2 Kilo Bug*), miał według czarnych scenariuszy doprowadzić do ogólnoswiatowego chaosu. A według najczarniejszych prognoz – do końca świata spowodowanego awariami siłowni jądrowych czy niekontrolowanym odpaleniem rakiet z ładunkami atomowymi. Spirale strachu podkręcały media, politycy, eksperci z branży IT. Nic dziwnego, że – jak się szacuje – rządy i instytucje prywatne na walkę z pluskwą wydały około 300 miliardów dolarów.

Musimy opierać się na szacunkach, bo ścisłych danych nie ma. Na przykład amerykański koncern telekomunikacyjny AT&T przyznał, że Y2K kosztowało go 500 milionów dolarów. Też 500 milionów, tyle że złotych, przeznaczyła na ten cel Telekomunikacja Polska. Pewne jest, że do firm informatycznych powędrowała góra pieniędzy za audyty sprzętu, oprogramowanie i za nakładki na systemy.

Całe zamieszanie to efekt sposobu zapisywania daty w starszych systemach komputerowych. W pionierskich czasach informatyzacji standardem były trzy dwucyfrowe liczby. Na przykład 2 października 1975 w pamięci cyfrowej miał postać 02.10.75. Ten format obowiązywał zarówno w najprostszych zegarkach elektronicznych produkowanych w Hongkongu, jak i w najbardziej zaawansowanych systemach informatycznych odpowiedzialnych na przykład za trajektorie lotów sztucznych satelitów. Zarówno sterowanie tomografem komputerowym w szpitalu, jak i kontrola lotów nad Chinami były oparte na takim samym systemie zapisu daty. Do początku lat 90. informatycy nie przypuszczali, że może być z nim jakikolwiek kłopot, choć pierwsze wzmianki o problemie roku 2000 pojawiły się w literaturze fachowej już w połowie lat 80. Wtedy jednak nikt specjalnie się tym nie przejął. Panika wybuchła dopiero pod koniec dekady.

• **El Niño** to zespół anomalii pogodowych powstających, gdy pasaty wiejące nad równikiem zmieniają kierunek lub zanikają. Zmienia się wtedy układ prądów oceanicznych, temperatura wód i powietrza

Zgodnie z komputerowym standardem rok 1999 miał postać 99. Ale już rok 2000 byłby zapisywany jako 00. I co z tego? Przecież 01.01.00 to musi być Nowy Rok 2000, a nie 1900 roku, kiedy komputery nie istniały. Rzecz w tym, że systemy komputerowe przez lata gromadziły miliardy przeróżnych zbiorów/plików/danych oznaczonych dwucyfrową datą, a tego nie da się zmienić tylko poprzez poprawienie systemu.

Pytanie, które doprowadziło do wykupu laterek w Płocku i jodyny w Karelii, brzmiało: jak systemy w dniu 01.01.00 potraktują pliki na przykład z 02.10.95? Zignorują je? Pomiń? Uznają za błąd? A co, jeśli tych niby-błądów będą miliony? Czy w takiej sytuacji system nie padnie na pysk?

Takie obawy dotyczyły systemów, które sterowały wszelkiego rodzaju urządzeniami. Na przykład respiratorami podtrzymującymi życie pacjentów w ciężkich stanach czy urządzeniami do hemodializ dla osób ze schorzeniami nerek. Gdyby te aparaty nagle przestały pracować, zmarłych liczono by w tysiącach.

– Problem Y2K to elektroniczny odpowiednik El Niño*. Na całym świecie czeka nas wiele nieprzewidywalnych niespodzianek – stwierdził w 1995 roku John Hamre, zastępca sekretarza obrony w administracji Billa Clintona. Gdy ten cytat trafił do gazet, lawina ruszyła.

Byli oczywiście szaleńcy, którzy próbowali ją powstrzymać. Jak Ross Anderson, profesor inżynierii bezpieczeństwa laboratorium komputerowego na Uniwersytecie w Cambridge, który od początku konsekwentnie twierdził



Miasto Harrison w Arkansas, 1999 rok. Bruce Eckhart przygotował rodzinę na atak pluskwy

(podpierając to wynikami własnych badań), że problem roku 2000 nie stanowi poważnego zagrożenia, a cała sprawa to sianie paniki. Anderson wysyłał artykuły do dziesiątek gazet, ale te chętniej drukowały złowieszcze opinie.

Prestizowy magazyn „Business Week” w wydaniu z początku 1998 roku opublikował okładkowy materiał „Jak pluskwa milenijna uszkodzi gospodarkę”. Powołując się na rozmowy z ekspertami i własne wyliczenia, dziennikarze magazynu wieszczili, że Y2K spowoduje spadek amerykańskiego PKB o 0,3 procent w roku 1999 i o 0,5 procent w latach 2000 i 2001. Gdyby ich przewidywania były trafne, w latach 1999–2001 gospodarka USA stałaby się uboższa o 130 miliardów dolarów.

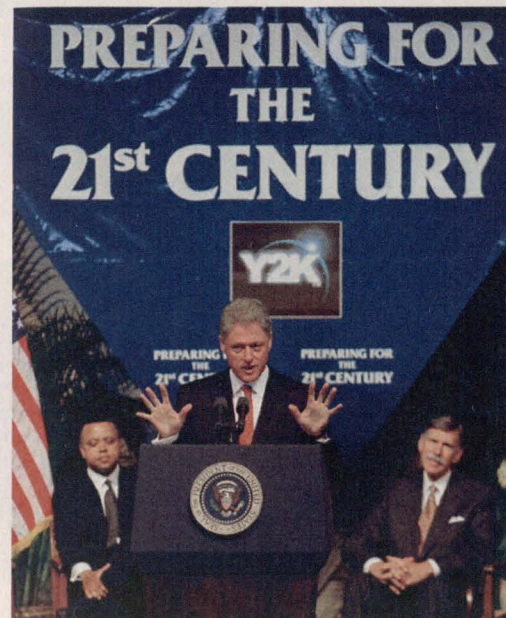
W marcu tego samego roku Tony Blair opublikował na łamach „The Independent” tekst zatytułowany „Zabijmy robaka milenijnego albo wszyscy się przeziębimy”. Premier Wielkiej Brytanii zaczął: „Nie jestem ekspertem w dziedzinie informatyki, ale wiem, że jeśli nie będziemy działać, konsekwencje mogą być poważne”. Dalej zapowiedział, że walka z problemem roku 2000 będzie jego priorytetem i że rząd przeznaczy 70 milionów funtów na wyszkolenie 20 tysięcy „pogromców robaka”, którzy udzielą pomocy małym i średnim przedsiębiorstwom. Zdaniem Blaira powinni oni w znaczący sposób obniżyć bezrobocie.

Inicjatywa Blaira natychmiast spotkała się z miazdzącą krytyką jego politycznych oponentów, którzy przekonywali, że będą to pieniądze wyrzucone w błoto. Ostatecznie program nie wszedł w życie. Ale atmosfera strachu zgęstniała po raz kolejny.

Nawet rada nie poradzi

W Polsce pluskwą milenijną zajęła się nieistniejąca już Rada Informatyki, rodzaj komitetu doradczego przy premierze. Wiosną 1999 opublikowała „Narodowy plan działania w sprawie problemu roku 2000”. W dokumencie można było między innymi przeczytać, że konieczne jest „zapewnienie współpracy wszystkich sił politycznych i instytucji w kraju (w szczególności prezydenta, premiera, parlamentu, Narodowego Banku Polskiego, administracji rządowej i lokalnej) oraz zapewnienie szybkiej wymiany informacji w kraju i na poziomie międzynarodowym”. Wcześniej MSWiA rozesłało pismo do wszystkich jednostek administracji centralnej, w którym wezwało je do podjęcia stosownych działań. Jednak w budżecie na rok 1999 żadnych pieniędzy na walkę z pluskwą nie przewidziano.

W sprawę pluskwy włączyła się Najwyższa Izba Kontroli, która w maju 1999 opublikowała raport na temat przygotowań administracji publicznej do nadchodzącej katastrofy. Kontrolerzy skrupulatnie wyliczyli, że 26 procent jednostek centralnych oraz 50 procent urzędów wojewódzkich nie miało nawet harmonogramu prac potrzebnych do obrony przed problemem roku 2000. A 21 procent urzędów



Prezydent Bill Clinton już w połowie 1998 roku dyskutował o skutkach problemu roku 2000

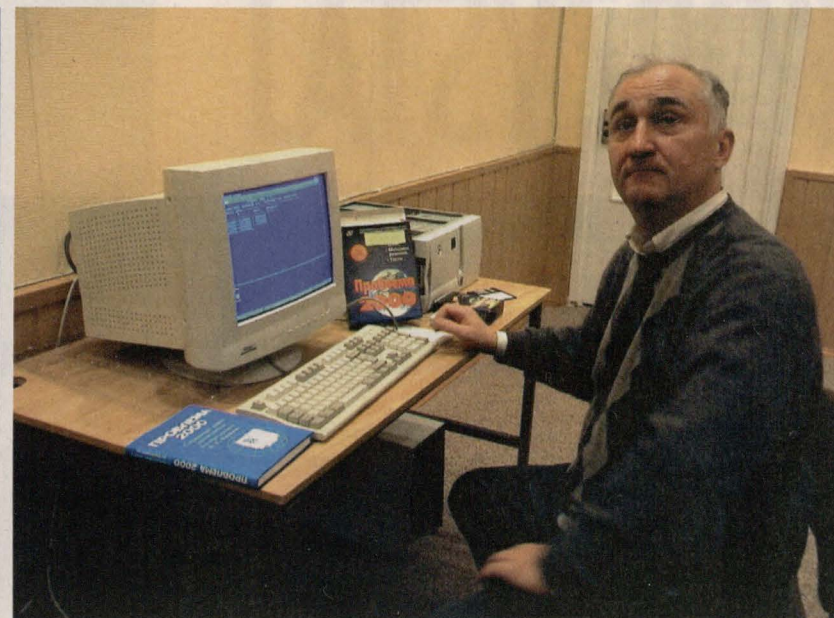
centralnych oraz 44 procent urzędów wojewódzkich nie oszacowało kosztów niezbędnych prac. Za najlepiej przygotowane NIK uznała Narodowy Bank Polski, a najgorzej – Ministerstwo Zdrowia oraz urzędy wojewódzkie: śląski i mazowiecki.

Poważniej do niebezpieczeństwa podszły duże firmy giełdowe. Pod koniec 1999 roku Komisja Papierów Wartościowych i Giełd rozesłała ankiety do wszystkich notowanych spółek. I wszystkie odpowiedziały, że w ich firmach wykonano konieczne testy oraz naprawy. Oczywiście nikt nie miał pewności, że były one właściwie przeprowadzone. To miało dopiero pokazać nadejście Nowego Roku.

A ten nadszedł nieubłagany.

W Nowej Zelandii nie stało się zupełnie nic. W dwóch stanach sąsiedniej Australii przestały działać autobusowe kasowniki biletów. Najwięcej wydarzeń związanych z pluskwą miało miejsce w Japonii. W elektrowni atomowej w miejscowości Onagawa włączył się alarm, mimo że wszystkie parametry były prawidłowe, a urządzenia działały bez zakłóceń. Błędy pojawiły się też w systemie operatora telekomunikacyjnego Osaka Media Port, ale łączność nie została przerwana. Jedyną poważną awarią w USA było unieruchomienie 150 automatów do obstawiania gonitw na torze wyścigowym w stanie Delaware.

Nic nie wydarzyło się także w Rosji, na którą tego dnia skierowane były oczy całego świata. Przestała jedynie działać poczta elektroniczna kremlowskiej służby prasowej. Szefowa biura prasy wyjaśniła, że z powodu pluskwy milenijnej jej podwładni nie mogą wysłać e-maili. Zagraniczni dziennikarze mieli jednak poważne wątpliwości, czy to robak milenijny był prawdziwym powodem posyłek straszących niedyspozycji biura.



W Moskwie doktor Anatolij Puchlow z kremlowskiego komitetu do spraw zwalczania robaka zapewniał, że ich płatny (ale tani) program zapobiegnie zniszczeniu komputerów

W Polsce pluskwa dała o sobie znać tylko w Starostwie Powiatowym w Żywcu – w wydziale transportu wystąpiły problemy z archiwizacją danych o nowo wydawanych prawach jazdy. Problem rozwiązano po tygodniu.

3 stycznia, w pierwszy dzień roboczy roku 2000, cena ropy na londyńskiej giełdzie spadła do 24,4 dolara wobec 25,8 dolara notowanego w sylwestra. Spadła też cena złota uznanego przez inwestorów za bezpieczną lokatę kapitału w niespokojnych czasach. Ale eksperci nie składali broni.

Ta bomba to niewypał

Amerykańska firma Gartner Group zajmująca się doradztwem w branży IT wydała w styczniu 2000 roku raport, z którego wynikało, że w ciągu pierwszych dwóch tygodni ujawni się zaledwie 10 procent problemów związanych z Y2K, a robak może atakować przez cały rok. „Nietępiona pluskwa milenijna będzie działać jak choroba – stopniowo osłabiać »pacjenta«, czyli komputery” – ocenili specjaliści. Jak nietrudno się domyślić, Gartner Group mająca przedstawicielstwa w 80 krajach świata doradzała dziesiątkom firm i instytucji, jak rozwiązać problem roku 2000, kończąc za to potężne pieniądze.

Katastrofa jednak nie nastąpiła ani w styczniu, ani w późniejszych miesiącach. Czy to oznacza, że zagrożenie zostało przekoloryzowane, być może przez firmy, które na całym zamieszaniu zwietrzyły interes? Czy też bomba rzeczywiście stanowiła niebezpieczeństwo, ale została zawczasu rozbrojona? Jest kilka konkretnych przesłanek wskazujących na tę pierwszą opcję.

Na przykład pod względem przygotowań do Y2K najbardziej zapóźnionym publicznym obszarem w USA były sieci i kompute-

ry w szkołach. Jeden z eksperckich raportów przewidywał, że mogą zostać zniszczone systemy wypłat pensji nauczycieli, ewidencji uczniów, programów online czy systemów zarządzania budynkami. 28 procent szkolnych urzędów przeszło więc odpowiednie – i płatne – uaktualnienia, ale po 1 stycznia 2000 roku w stu procentach szkół żaden robak nie atakował.

Słabo były przygotowane także najmniejsze amerykańskie firmy. Jednak 1 stycznia rządowa agencja Small Business Administration przyjęła zaledwie 40 zgłoszeń o awarii komputerów – na 1,5 miliona zrzeszonych przedsiębiorstw. Żadna z usterek nie doprowadziła do utraty danych, wszystkie udało się usunąć najwyżej w ciągu kilku godzin.

Robak nie zaatakował też w Chinach i Rosji, czyli w krajach, które podjęły najmniej działań w celu uniknięcia problemu roku 2000.

Oczywiście nigdy się nie dowiemy, co by było, gdyby przedsiębiorstwa i instytucje państwowe nie podjęły akcji prewencyjnej. Można tylko przypuszczać, że straty byłyby większe. Czy przekroczyłyby kwotę 300 miliardów dolarów? Nie wiadomo. Tak samo jak nie wiadomo, czy nie zostałoby narażone życie ludzkie, czego przecież nie sposób przeliczyć na pieniądze.

Kolejny problem z komputerami ma nastąpić 19 stycznia 2038 roku. Chodzi o system Unix, którego algorytm zlicza wszystkie sekundy od początku tak zwanej ery uniksa, czyli od 1 stycznia 1970 roku. Maksymalna wielkość tej zmiennej wynosi 2 147 483 647 i zostanie osiągnięta właśnie w styczniu 2038 roku. Co nastąpi później? Dokładnie nie wiadomo, ale eksperci już prognozują, że sprawa wydaje się znacznie poważniejsza niż pluskwa milenijna. □

KORZYSTAJ

CZY
ANDROIDY
MARZĄ O
MAGICZNYCH
MYSZKACH?

W tym tygodniu:
NIE PISZEMY O „I”, CHOĆ NIE MOŻEMY
SIĘ POWSTRZYMAĆ,
ŻEBY WCAŁE NIE NAPISAĆ O „A”

Google
MIESZA
NA RYNKU

ŚWICY
SYSTEM

SYSTEM
ANDROID

w błyskawicznym
tempie podbija rynek. Jego
wersja HTC Sense, z której
korzysta Hero, została mocno
zmieniona wobec oryginału
Google'a, ale telefonowi
wyraźnie to posłużyło

TELEFON

Największy (na razie) konkurent „i”

OSTATNIO POJAWIŁY SIĘ ZARZUTY, ŻE NIE WIDZIMY żadnych telefonów poza pewnym aparatem na „i” związanym z kalifornijską firmą sadowniczą na „A”. No cóż, nie do końca nie możemy się nie zgodzić. Dlatego dziś pierwszy, naszym zdaniem, realny konkurent dla „i” – HTC Hero.

Siłą tego telefonu jest połączenie zanego urządzenia zrobionego przez HTC z nadzwyczaj dobrym systemem operacyjnym produkcji firmy Google. To właśnie system Android odpowiada za intuicyjną i elegancką obsługę aparatu – po kilku minutach nauki dokładnie wiemy, gdzie leżą wszystkie potrzebne funkcje i jak wy-



konać większość operacji. Uzupełnia go solidny, dobrze leżący i miły w dotyku aparat. Jedyną jego wadą to idiotycznie położony przycisk „powrót”, który wymaga całkiem wygięcia dłoni (przynajmniej u praworęcznych).

Pozostaje jeszcze sprawa głównej przewagi „i” nad resztą – dodatkowych aplikacji. „A” chwali się, że ma ich już ponad sto tysięcy, Android Market oferuje jedną piątą tej liczby. Jednak wkrótce ruszy lawina nowych programów wywołana premierą google'owskiego telefonu Nexus One. □

W białej wersji obudowę pokryto teflonem, dzięki czemu mimo ciągłego miedlenia w łapach pozostaje biała



Myszka, która lubi dotyk

Nową myszkę firmy sadowniczej można i należy gładzić oraz delikatnie uciskać

FIRMA APPLE ZNANA JEST Z MANIAKALNEGO podejścia do projektowania produktów, więc myszka Mighty Mouse ze swoją psującą się kuleczką musiała producenta boleć. Jej następcą Magic Mouse to już zupełnie inny produkt.

To, co w nowej myszce najważniejsze, to jej powierzchnia. Gładka, bez jakichkolwiek przycisków, cała jest panelem dotykowym. Zależnie od tego, gdzie położymy palce,

(komputer interpretuje to jako naciśnięcie prawego lub lewego przycisku myszy. Działają też gesty multitouch – przewijanie czy cofanie się w historii przeglądarki. Pomysł nieco wydziwiony, ale całość działa zaskakująco dobrze, a myszka jest precyzyjna. Minusy?

Tak, jest ślizka.

W dodatku bardzo dobrze działa. Szkoda tylko, że kosztuje 300 zł. W USA tylko 69 dol.



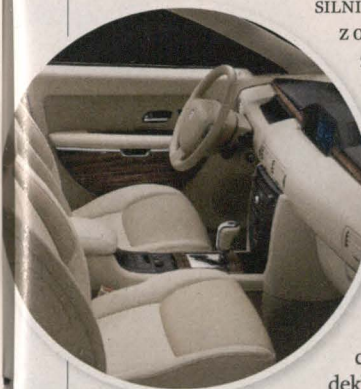
Dwa: 1. – wymiary: zbyt niski korpus sprawia, że trudno wygodnie położyć dłoń, 2. – ubogie sterowniki niepozwalające wykorzystać potencjału magicznej myszki. Na szczęście już powstały rozwiązania alternatywne – MagicPrefs i BetterTouchTool. □



✓ Dokąd tak spieszo temu panu? Naprawdę nie wiemy, czemu zostawia takiego fajnego citroena...

Szybciej, dalej, czystiej

Wysokie wymagania norm ekologicznych wcale nie wykluczyły z rynku silników Diesla. Wręcz przeciwnie – dały impuls do ich rozwoju



✓ Liczy się wnętrze. Nie tylko to, w którym się siedzi, ale też to, które napędza. A tu C5 i C6 mają czym się pochwalić

SILNIK DIESLA WCIAŻ KOJARZY SIĘ RACZEJ z oszczędnym, choć hałaśliwym i niezbyt zrywnym systemem napędu. No więc to już nieaktualne. W citroenach C5 i C6 zastosowano właśnie nowy, przeprojektowany silnik wysokopięny V6 HDi 240 FAP, któremu osiągnąć może pozazdrościć nie jeden benzyniak. Na początek – 240 koni. Do tego dorzucamy moment obrotowy 450 Nm osiągnięty już przy 1600 obrotach i już mamy coś, co zwraca uwagę. Do tego producent deklaruje zużycie paliwa w cyklu mieszanym na poziomie 7,4 litra na sto kilometrów. Nawet jeżeli weźmiemy poprawkę na reklamowe mydlenie oczu, to i tak dla trzydzielitrowego silnika wynik robi doskonałe wrażenie. Tym bardziej że przy wyśrubowanych osiągnięciach poziom emisji dwutlenku węgla wynosi 195 gramów na kilometr. Na takie wyniki pracują między innymi dwie turbosprężarki o zmiennej geometrii łopatek, nowa komora spalania paliwa czy przeprojektowany układ wtryskowy common rail. □

I tak wyjdiesz na swoje

AVIVA Polska zapewnia, że dzięki ich funduszowi zawsze zyskasz

OSTATNI ROK SPRAWIŁ, że domorośli giganci rynku finansowego mocno przyziemili i zwątpili we własne talenty. To dobry moment na przeniesienie się z tym, co zostało, do funduszu inwestycyjnego, który poradzi

sobie nawet w najtrudniejszej sytuacji. Taki ma być Fundusz Europejski Ochrony Zysku (ależ oryginalna składnia!), który skonstruowano tak, by łączył zalety inwestowania w akcje z tymi płynącymi z bezpiecznej lokaty. AVIVA Polska obiecuje, że w razie kolejnej rynkowej katastrofy klient i tak dobrze na tym wyjdą. □



Wy pytacie,
my odpowiadamy.
Pytania przesyłajcie
na nauka@przekroj.pl

2. CZY WITAMINA C JEST KWAŚNA? JEŚLI TAK, TO DLACZEGO ZIEMNIAKI, KTÓRE JĄ ZAWIERAJĄ, WCAŁE NIE SĄ KWAŚNE?

Czysta witamina C, czyli kwas askorbinowy, jest rzeczywiście kwaśna. Ale to wcale nie ona nadaje owocom taki smak. To inne liczne kwasy owocowe, w tym najbardziej znany kwas cytrynowy, sprawiają, że krzywymy się na samą myśl o jedeniu surowej cytryny. Inne warzywa i owoce wcale nie muszą być kwaśne. Nawet jeśli zawierają dużo witaminy C, jej stężenie jest tak niskie w porównaniu z liczbą innych związków (skrobi, błonnika, cukrów, białek), że nie wpływa ona na smak pożywienia. Dobrym przykładem są właśnie ziemniaki, ale także cebula, soja, brokuły, brukselka i kapusta, które zawierają równie dużo kwasu askorbinowego, a czasem nawet więcej niż owoce cytrusowe. Na przykład zupełnie niekwaśna papryka czerwona ma trzy razy więcej witaminy C niż pomarańcza.

3. CZY JAD WĘŻA JEST NIEBEZPIECZNY DLA WĘŻA TEGO SAMEGO GATUNKU?

Tak. Dlatego walczące węże uprawiają rodzaj zapasów. Nie gryzą się, bo zwierzęta zwykle nie zabijają osobników swojego gatunku. Czemu jad nie zabija węża, który kąsa ofiarę i ją zjada? Bo toksyny w jadzie to białka, które w przewodzie pokarmowym są trawione. By jad nie zabijał węża, który go wytwarza, gruczoły i kanały doprowadzające jad do zębów nie mają kontaktu z krwiobiegiem.



Nasze nagrody – książki

J. Brockman „W co wierzyć, choć nie potrafimy tego dowieść”, J. Brockman „Co napawa nas optymizmem, czyli dlaczego jest dobrze, a będzie lepiej”, C. Tavis, E. Aronson „Błądzą wszyscy (ale nie ja)” – wydawnictwo Smak Słowa, A. Gawande „Komplikacje”, – wydawnictwo Znak



W tym tygodniu:
SZUKAJCIE W KSIĘGARNIACH ZNAKOMITEGO ALBUMU
„SZTUKA POLSKA LAT 70.” I NIE DAJCIE SIĘ
ZWIEŚĆ TYTUŁOM! Z „GŁODU” STEVE’A
MCQUEENA KINOMANI WYJDA
WYJĄTKOWO SYCI

Z ŻYCIA PECHOWCA KAROLINA PASTERNAK

CHOLERA, JAKIEGO LEDGERA?!

OPOWIEŚCI TERRY’EGO GILLIAMA
O JEGO SŁABOŚCI DO XII-WIECZNYCH
RUIN, ORIENTALNYCH DYWANIKÓW
I FILMÓW PIXARA, A TAKŻE
O AWERSJI DO WYTWORÓW
KOLEKTYWNYCH, WYTWÓRNI
HOLLYWOODZKICH I... DO PYTAŃ
O HEATHA LEDGERA WYSŁUCHAŁA
KAROLINA PASTERNAK

TO ZA JEGO SPRAWĄ „MONTY PYTHONA” KOJARZycIE Z WIELKĄ stopą, otwierającą się niczym garnek z przykrywką głową i charakterystycznymi kolażami. Kino zawdzięcza mu doskonałe „Brazil”, „12 małp” i „Przygody barona Munchausena”, jak również barwną legendę o nieukończonych do dziś ekranizacji „Don Kichota z La Manchy”. Na początku grudnia Terry Gilliam odwiedził festiwal Plus Camerimage, gdzie odbyła się premiera wchodzącego właśnie na polskie ekrany „Parnassusa”, którego tytułowy bohater, zawierając pakt z diabłem, zapewnił sobie nieśmiertelność. Rozmawialiśmy w pokoju w łódzkim hotelu Centrum, którego tapeta pamięta czasy sejmiku kontraktowego.

Hotel, w którym rozmawiamy, to jedna ze słynniejszych w Polsce pozostałości po PRL. Kiedy patrzy się na jego wystrój, można odnieść wrażenie, że przeniesliśmy się w przeszłość. Idealna sceneria dla autora „Bandytów czasu” i „12 małp”, w których podróże w czasie są na porządku dziennym.
– Rzeczywiście, ale mieszkanie w tym hotelu to dla mnie dodatkowo przeżycie nostalgiczne. Przypomina mi podróże z początku lat 80. po

wschodniej Europie. Zwiedzałem wtedy Niemcy, Bułgarię, dotarłem aż do Moskwy.
Urodził się pan w USA, przeprowadził do Wielkiej Brytanii, a ostatnio pomieszkuje we Włoszech. Z którym krajem właściwie pan się utożsamia?
– Od trzech lat oficjalnie jestem Brytyjczykiem. Zrzekłem się amerykańskiego obywatelstwa.
Mnie chodziło raczej o odczucia. Czuje się pan Amerykaninem, Brytyjczykiem?
– Outsiderem. Ale ta pozycja zawsze mi odpowiadała. Już nie jestem Amerykaninem, ale też pewnie nigdy do końca nie będę Brytyjczykiem.
Spýtałam o to, bo w pańskich filmach rzadko czuć narodowość autora. Nie są to – poza wczesnymi filmami kręconymi jeszcze z ekipą Pythona: „Monty Python i święty Graal”, „Żywot Briana” – ani filmy z gruntu amerykańskie, ani brytyjskie...
– To prawda, bo mnie w ogóle bardziej interesuje to, co generalnie jest złe albo dobre w świecie. A zło i dobro są uniwersalne. Moje filmy prawie zawsze były reakcją na to, gdzie akurat przebywałem. „Brazil” jest reakcją na życie w Londynie. W najnowszym „Parnassusie” powracam do tego miasta: ludzie tu coraz więcej czasu spędzają na zakupach, zapijają się na ulicach, a wszystko po to, żeby zagłuszyć refleksję. Ale to są przecież spostrzeżenia prawdziwe też dla Stanów Zjednoczonych, pewnie także dla Polski, Niemiec i Rosji.
Nie lubi pan kupować i gromadzić rzeczy? Z przepychu przeróżnych drobiazgów, które składają się na scenografię pana filmów, można odnieść wrażenie, że przeciwnie – jest pan właśnie typem zbieracza.
– Nienawidzę rutynowych zakupów. Ciuchy kupuję dopiero wtedy, gdy te, które noszę, są już zupełnie zniszczone. W sklepach jest dziś po prostu zbyt dużo rzeczy, jest zbyt duży wybór. Ten przepych doprowadza do szaleństwa.
Natomiast gromadzenie ładnych rzeczy to co innego. Choć nie nazwałbym siebie kolekcjonerem. Nie stosuję żadnego systemu, po prostu kupuję to, co w danym momencie mi się podoba. Zbieram orientalne dywaniki, ostatnio zainteresowałem się japońskim *ukiyo-e* z XIX wieku [obrazy i drzeworyty, z japońskiego: obrazy przepływającego świata – przyp. red.]. Znalazłem nawet w sieci stronę po niemiecku, na której aukcje *ukiyo-e* odbywają się regularnie co tydzień. Uwielbiam brać w nich udział!
Czyli Internet ma pan oswojony. A nie drażni pana, że niektórym służy on do oglądania pańskich filmów na tych marnych małych ekranach laptopów zamiast na porządnym ekranie w kinie?
– Ależ ja sam niekiedy piratuję! Raz zdarzyło mi się nawet ściągnąć własny film – „Nieustraszonych braci Grimm”. Córka wytropiła, że kopia krążyła w sieci, zanim trafiła na DVD. Chciałem ją sprawdzić.
Weszliśmy na śliski grunt. Nie wiem, czy w świetle brytyjskiego prawa nie przyznał się pan właśnie do przestępstwa, więc lepiej wróćmy do kolekcjonowania. Z tego, co wiem, ma pan świetne warunki do eksponowania zdobyczy. Prasa donosi, że macie z żoną we Włoszech zamek...
– (salwa śmiechu) Nie zamek, lecz ruiny zamku! Od XII wieku zachowało się dosłownie kilka ścian!
To dlaczego go państwo kupili?
– Bo jest piękny i tani w utrzymaniu. Nie muszę dokładać do niego pieniędzy, płacić za prąd, ogrzewanie (śmiech). Mogę tam siedzieć i myśleć sobie, jak by to było mieszkać w takim zamku. Poza tym, wykorzystując kamienie z tych ruin, →





W „Parnassusie” Jude Law miał pod górkę. Przejąc rolę po legendarnym już Ledgerze to nie lada wyzwanie

→ postawiliśmy tuż obok zwyczajny dom. Część czasu spędzamy tam, a część w mieszkaniu w Londynie, które, nomen omen, też jest w „starym budownictwie”, w kamienicy z XVII wieku. To jest to, co tak bardzo pokochałem w Europie: można tu znaleźć rzeczy i budynki, na których na przestrzeni dziesięcioleci zostawiło swoje wiele osób.

Gdy pierwszy raz tu przyjechałem, był rok 1964. Zjeżdżałem stopem cały kontynent. Najbardziej intrygowało mnie to, że dosłownie na każdym kroku czuć tu historię. W Stanach tego nie doświadczałem.

Polska historię ma długą, ale po wojnach, w szczególności tej ostatniej, miejsc dotkniętych przez wiele pokoleń zostało niewiele...

– Fakt, promując „Nieustraszonego braci Grimm”, byłem w Warszawie. Stare Miasto jest zupełnie... nowe. No, ale taka jest kolej rzeczy: miasta zawsze były burzone i odbudowywane.

Ale nie wszystkie miały pecha być odbudowanymi przez komunistów.

– To wielka ironia losu! Jakkolwiek szlachetna była sama idea pracy kolektywnej, rzeczy wyprodukowane przez masy zazwyczaj są po prostu paskudne. Niech pani spojrzeć na te wielkie komunistyczne osiedla [tu Gilliam wskazuje palcem na rozpościerającą się za oknami hotelu Centrum panoramę Łodzi – przyp. red.]. Wyglądają straszliwie! Dlatego że odpowiedzialność za dzieło wykonane przez kolektyw się rozprasza. A gdy nikt nie czuje się do końca odpowiedzialny, nikomu nie zależy.

Masowa produkcja to także zbrodnia przemysłu filmowego.

– Tak, ale ja miałem do tej pory szczęście nie odczuć tego na własnej skórze. Całe życie robiłem kino autorskie.

Ale może pan jeszcze odczuje.

Słyszałem, że bardzo chciałby pan pracować w Pixarze, a przecież tam też robi się filmy kolektywnie.

– Tak, lecz Pixar to kolektyw bardzo utalentowanych ludzi, dlatego ich filmy są nie tylko ujmująco piękne wizualnie i za-

• Rola Heatha Ledgera po jego tragicznej śmierci przejęli trzej aktorzy: **Jude Law, Johnny Depp i Colin Farrell**

bawne, ale także przy okazji mówią coś więcej, jak choćby „Wall-E”.

Przecież Monty Python również był wspólnotą, kolektywem sześciu indywidualistów. Tylko że każdy z nas był zainteresowany jakością naszej wspólnej pracy. Natomiast większość związków jest zakładana przez biurokratów.

Wizualnie filmy Pixara są piękne, zgadzam się, ale w całości tworzone przez maszyny. Nie przeszkadza to panu?

– Nie ma nic złego w komputerach, pod warunkiem że ludzie, którzy nimi zawiadują, są artystami. Natomiast to, co zdecydowanie mi się nie podoba, to to, że komputery są dziś używane do kreowania rzeczywistości identycznej z tą, która nas otacza, tworzenia postaci przypominających ludzi, do tworzenia odwzorowujących rzeczywistość gier. To nonsens i nuda! Po to mamy te wszystkie zabawki, żeby kreować, popuszczać wodze fantazji.

W „Parnassusie” popuścił je pan całkowicie.

– Już myślałem, że tym razem mi się upiecz.

Co takiego?

– „Parnassus”!

To znaczy?

– Od czterech miesięcy jestem w trakcie promocyjnej. Czasem pod koniec dnia, czyli po kilkunastu wywiadach, już sam nie wiem, co o tym filmie myślę (śmiech).

Pewnie gros pytań dotyczy w dodatku Heatha Ledgera?

– Cholera, jakiego Ledgera? (*konsternacja*)

– Aaa! Ma pani na myśli tego chłopaka, który pewnego dnia po prostu nie pojawił się na planie. Niech każdy młody aktor potraktuje tę historię jako nauczkę! Jeśli nie pojawisz się w pracy, na twoje miejsce czyha już trzech innych młodych aktorów*.

Ironia znana z „Monty Pythona” pana nie opuszcza.

– Po śmierci Heatha opuściła, ale niedawno wróciła. Mówiąc o tej tragedii, nauczyłem się uciekać do żartów. Gdy Heath umarł, wydawało mi się, że nie ma najmniejszych szans na uratowanie „Parnassusa”. Dopiero Nicola, moja córka, a zarazem producentka, rozpałała we mnie mały promyk nadziei, mówiąc pewnego dnia, że znalazła wyjście z sytuacji: sztukę z lustrem. W obyczajowym przedstawieniu odgrywanym w filmie tytułowy Parnassus wykorzystuje zwierciadło. Gdy przejdzie się na jego drugą stronę, łąduje się w magicznym świecie własnych najszybszych marzeń. Uznaliśmy, że Tony, bohater grany przez Ledgera, przechodząc przez lustro, będzie po prostu zmieniać wygląd. Heath gra tu rzezimieszka, więc to, że jego marzeniem byłaby między innymi zmiana twarzy, znajdowało w scenariuszu uzasadnienie.

Olbrzymim szczęściem było oczywiście to, że niemal wszystkie sceny po naszej stronie lustra z udziałem Heatha były już gotowe.

Rozumiem, że pytań o Ledgera ma pan dość, ale jedna rzecz mnie nurtuje i myślę, iż będzie nurtować także innych widzów „Parnassusa”. Gdy pierwszy raz widzimy graną przez niego postać, z pętlą zaciśniętą na szyi zwisa ona z mostu. Wszystko wskazuje na to, że to trup. Kiedy ma się świadomość, że Ledger nie żyje, to bardzo mocne uderzenie. Czy ta scena była w scenariuszu od początku? A jeśli tak, to czy nie chciał pan jej usunąć?

– Była od początku. Gdybym robił ten film w wielkim studio filmowym, jego szefowie nalegaliby, żeby tę scenę wyciął. Właśnie dlatego cenię sobie bycie niezależnym, to, że nie pętają mnie żadne cyrografy podpisane z wielkimi wytwórniami. **To dlatego odmówił pan wyreżyserowania „Harry’ego Pottera”?**

– Nie odmówiłem. To oni ostatecznie mnie nie chcieli. Pani Rowling i producent byli na tak, ale studio chciało kogoś bezpieczniejszego.

FOT. ABACA/FOTOLINK, POLSAT, EVERETT COLLECTION/EAST NEWS

A uważa pan, że przyjmowanie tego typu zlecen to dobry kierunek? Mam tu na myśli taktykę polegającą na robieniu raz na jakiś czas filmu dla pieniędzy, by później móc robić własne projekty.

– To klasyczna zasada Hollywood: jeden dla nich, jeden dla siebie. Widziałem zbyt wielu ludzi robiących jeden film dla nich, i jeszcze jeden dla nich, i jeszcze jeden... I gdy wreszcie udało im się zrobić coś dla siebie, nie byli już tymi samymi osobami. Praca przy taśmie ich wyjałowiła.

Rozmawiamy sobie w pokoju znajdującym się na 13. piętrze. Nie wiem, czy jest pan przesądny, ale wiem, że w branży mówi się o panu „pechowcu”. Nie czuje się pan tu nieswojo?

– To rzeczywiście dziwaczne. To moim zdaniem jedyny hotel na świecie, który ma 13. piętro! A mówiąc o pechowcu, ma pani pewnie na myśli „Człowieka, który zabił Don Kichota”. Historia powstawania tego filmu będzie się za mną ciągnąć chyba do końca życia...

Bo nieczęsto zdarza się, że na jedną produkcję spada tyle plag: najpierw choroba Jeana Rocheforta, odtwórcy roli Don Kichota, później powódź, która zmiotła z powierzchni ziemi sprzęt wart setki tysięcy dolarów. A wszystko to po wyczerpującym, kilkuletnim okresie przygotowań do zdjęć.

– Nad tamtym filmem rzeczywiście ciążyła klątwa. Ale ja wcale nie czuję się pechowcem.

Nawet teraz, po przejściach z „Parnassusem”?

– Dokończenie tego projektu bez Heatha to był horror. Ale udało się. Mam żonę, dzieci, przyjaciół...

...ruiny zamku, w cieniu których można żyć długo i szczęśliwie...

– ...i wszystkie te dziwne filmy, których kręcenie jakimś cudem od lat uchodzi mi na sucho. Narzekam, i to często, bo taka jest, niestety, nasza ludzka natura, ale nie jestem pechowcem. Przeciwnie – mam ogromne szczęście. □



W filmie cudem zmartwychwstałego Tony’ego (Heath Ledger) pociesza Valentina. W realu cudów nie było...



Czwarta strona kultury

BARTEK CHACIŃSKI

Królował Fejsbuk, rok 2009 można więc opowiedzieć statusami

• W kulturze i okolicach działo się mnóstwo, ale z coraz większym trudem to sobie przypominam.

• Byłem na pierwszym legendarnym koncercie izraelskiej grupy Monotonix w Mysłowicach, ale nie dotarłem na drugi legendarny koncert izraelskiej grupy Monotonix w Warszawie.

• Doda przeszła na ciemną stronę mocy, ale miała majtki.

• Natural Snow Buildings byli najlepszym zespołem roku, ale tak naprawdę pewnie nawet oni sami nie podzielają tej myśli.

• Grupa Hawkwind świętowała 40 lat działalności (na wiecznym haj), ale łączyła organizację walczących z narkotykami nie potrafili się z tego ucieszyć.

• Woodstock świętował 40 lat, ale nie za bardzo było komu i gdzie świętować.

• „Koralina” to idealny artystyczny film familijny, ale moje dziecko było jednak zbyt małe.

• Partia Piratów dostała się do europarlamentu, ale The Pirate Bay przegrał w szwedzkim sądzie.

• (Niektórzy) katolicy modlili się o odwołanie koncertu Madonny, ale przez pomyłkę wymodlili odwołanie Britney Spears.

• „Przekrój” nie przeniósł się do Krakowa, ale niektórzy wciąż myślą, że nigdy stamtąd nie wyjechał.

• Wyszło mnóstwo ciekawych książek, ale znów nie miałem czasu, żeby je przeczytać.

• Geje i lesbijki z Trójmiasta storpedowali spotkanie autorskie Wojciecha Cejrowskiego, ale ten wciąż nie zdecydował się na emigrację.

• „Dystrykt 9” był znakomity, ale „Dystrykt 10” pewnie też będzie – i okaże się gorszy.

• Radosz przestał napastować serialową matkę braci Mroczków, ale dalej reklamował leki na prostatę.

• Polscy filmowcy zrobili parę dobrych, otwartych filmów, ale wciąż więcej pisali kiepskich listów otwartych.

• John Cleese uznał w reklamówce, że mamy najlepsze kredyty, ale Dizzee Rascal opowiedział po koncercie w Polsce, że jesteśmy egzotycznym krajem.

• Phil Spector był wielkim twórcą muzycznym, ale w roku 2009 – tylko zabójcą kobiet.

• Roman Polański jest wielkim filmowcem, ale w roku 2009 – celem paparazzich.

• Udało mi się (w jury Asymetry Festival) docenić naprawdę dobry polski zespół Tides From Nebula, ale płyta, którą zespół

wydał zaraz potem, kompletnie przepadła.

• Radiowa Dwójka wysłała SOS do narodu, ale, niestety, mało kto się tym przejął.

• Michael Jackson miał ostatecznie powrócić, ale ostatecznie odszedł.

• Zdjęli „Teraz albo nigdy”, ale „Grzeszni i bogaci” okazali się gorsi.

• Bill Callahan śpiewa, że stracił wiarę w Boga, ale za to ja odzyskałem wiarę w Callahana.

• Na Kongresie Kultury Polskiej poruszono wiele ważnych kwestii, ale nie poruszono wiele jeszcze ważniejszych.

• Polska doczekała się własnej hipsterskiej młodzieży, ale spłonęła jej mekka – Jadłodajnia Filozoficzna.

• Tyle fajnych nowych stron w Internecie. Ale ile gazet umrze przy okazji?

• Vic Chesnutt nagrał dwie świetne płyty, ale potem popelnił samobójstwo.

• Zaraz, nie macie wrażenia, że tego wszystkiego było dużo, dużo więcej?

• Aha, Leyland Kirby wydał cudowny potrójny album mówiący bez słów o odchodzeniu wspomnień, o pamięci.

• Zapominanie to koszmar, ale zarazem błogosławieństwo – to dlatego jestem gotowy na kolejny rok. □

POTOK



RYŚ. MARCIN MACIEJOWSKI

+++++ BARTOSZ ŻURAWIECKI, „FILM”

I nie odpuszczę wam aż do śmierci

„Głód” pokazuje, do czego może dojść, gdy człowiek łaknie idei

Po 66 dniach strajku głodowego, 5 maja 1981 roku zmarł Robert George Sands, znany jako Bobby Sands. Lider IRA zamknięty w więzieniu Maze w Irlandii Północnej. Wraz z innymi skazanymi członkami organizacji protestował przeciwko traktowaniu ich jak kryminalistów i domagał się nadania im statusu więźniów politycznych.

Debiut brytyjskiego reżysera o skądinąd znajomo brzmiącym nazwisku Steve McQueen opowiada o tamtych wydarzeniach. Ówczesna premier Wielkiej Brytanii Margaret Thatcher grzmi przez radio, że przemoc nigdy nie jest „polityczna”, lecz wyłącznie „kryminalna”. Ale w samym filmie próżno szukać klimatów politycznej walki. Żadnej wzniosłości, żadnej metafizyki usprawiedliwiającej gwałt, poniżenie i poświęcenie. Reżyser skupia się na udrczonych ciałach więźniów i strażników. Ci pierwsi podejmują najpierw „brudny strajk” – odmawiają mycia się, golenia, noszenia więziennych ubrań, smarują ściany swoich cel ekskrementami. Ci drudzy urządzają akcje, podczas których przy użyciu „środków przymusu bezpośredniego” wrzucają strajkujących do wanny z wodą, strzygą im włosy i brody. Sami czasami giną z rąk członków paramilitarnych oddziałów IRA. Przemoc jest naga i szokująca niezależnie od tego, z której strony politycznej barykady przychodzi.

Podczas jednej z takich „łaźni” poznajemy Sandsa (Michael Fassbender), który wyrwa się niczym dzikie zwierzę strażnikom pałami gnającymi go do kąpieli. Wściekłość i wrzask – nic więcej. W prawie pozbawionym dialogów filmie

jest jedna długa i błyskotliwa scena rozmowy. Cięte riposty latają między Bobbym a księdzem, któremu Sands oznajmia swoją decyzję o rozpoczęciu głodówki. Ten próbuje go od niej odwieść, używając trzeźwych i racjonalnych argumentów („Pomyśl o swoim synu”, „Nawet jeśli Brytyjczycy ulegną, to ty i tak będziesz już martwy” itd., itp.). Ale dla Sandsa liczą się tylko honor i idea.

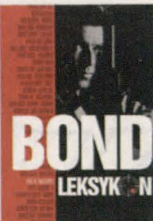
W tekście „Brutalny gest malarza: o Francisie Baconie”, wydanym właśnie w Polsce w książce „Spotkanie”, Milan Kundera pisze, że „ostatnią brutalną konfrontacją nie jest konfrontacja ze społeczeństwem, z państwem, z polityką, lecz z fizjologiczną materialnością człowieka (...) to prosta oczywistość, lecz zazwyczaj skrywa

ją woal przynależności do wspólnoty oślepiającej nas swymi marzeniami, podniętami, projektami, iluzjami, walkami, wielkimi sprawami, religiami, ideologiami, namiętnościami”. McQueen w ostatnim akcie „Głodu” starannie pokazuje kolejne etapy cielesnej degradacji Sandsa. Nic nam nie zostanie oszczędzone: ani widok ropiejących ran, ani krwawego stolca Bobby’ego.

Jaki był efekt tego i innych protestów uwięzionych członków IRA? Rząd brytyjski w praktyce spełnił większość ich żądań, ale nigdy nie nadał im statusu więźniów politycznych.

A 27 lat po śmierci Sandsa McQueen nakręcił film o jego głodówce. Naprawdę warto było umierać? □

„Głód”,
reż. Steve McQueen,
Wlk. Brytania/
Irlandia 2008,
Stowarzyszenie Nowe
Horyzonty, 96’,
premiera 8 stycznia



Kamil M. Śmiałkowski,
„Bond. Leksykon”,
Media Pascal,
Warszawa 2009,
s. 302

Bond. Pierwsza pomoc

GDZIE JAMES BOND JADAŁ szparagi w sosie béarnaise? Jakich dziewięć obowiązkowych elementów zawiera każda powieść o przygodach agenta 007? Skąd właści-

wie wziął się jego numer? Co ma wspólnego z dziewczynami Bonda niejaka Krystyna Skarbek i czym zajmuje się firma Universal Exports? Wszystko, co chcecie wiedzieć o Bondzie, znajdziecie w tym leksykonie. Zawiera on nie tylko analizy poszczególnych filmów autorstwa kilkorga bondosympatyków, ale też obszerne informacje dotyczące książek Iana Fleminga

i ich kolejnych ekranizacji. Zdobędziecie wiedzę o bohaterach, aktorach, twórcach słynnych filmowych czołówek, o komiksach i grach powiązanych z cyklem, ale znalazły się tu też mniej oczywiste hasła, jak „tortury” albo „papierosy”. A wszystko ubarwione słynnymi cytatami i ułożone w sposób zachęcający do nieustannego wertowania. — masa

Naga przemoc to główny motyw filmu, po którym dobrze się zastanowicie, zanim zaczniecie śpiewać „kocham cię jak Irlandię”

+++++ OLA SALWA

Opowieść naprawdę niesamowita „Parnassus”: gdy Terry Gilliam narzeka na współczesny świat, widzowie świetnie się bawią

S tary dziad Parnassus z merlinową (czy po „Władcy pierścieni” raczej gandalfową) brodą jeździ drewnianym rozklekotanym wozem. Szuka widzów dla swojego dziwaczego przedstawienia, a przede wszystkim pięciu dusz dla diabła – posiadzie każdą, gdy widz zechce zostać w świecie wyobraźni Parnassusa. Stawką jest życie jego córki Valentyny (Lily Cole, na zdjęciu obok). Ale co w czasach filmów w 3, 4, a nawet 5D, VOD i wszelkiej maści singstarów może zaoferować wyrafinowany magik ze swoją nietuzinkową wyobraźnią? Terry Gilliam z goryczą stwierdza, że mało, bo jego potencjalni widzowie oddali duszę konsumpcji: jedzeniu, nieumiarkowanemu picciu, dobrom materialnym i prostym rozrywkom. Nielicznych interesuje wycieczka do imaginarium reżysera, pełnego elementów jego dobrze znanej i uwielbianej twórczości: Gilliam przywołuje tu estetykę Monty Pythona, wątki z „Przygód barona Munchausena” czy „The Fisher King”. Ale sztuka, nawet ta prosta i jarmarczna, jest bezradna wobec zmasowanego ataku atrakcji z galerii handlowych. Smutek pojawia się także z po-

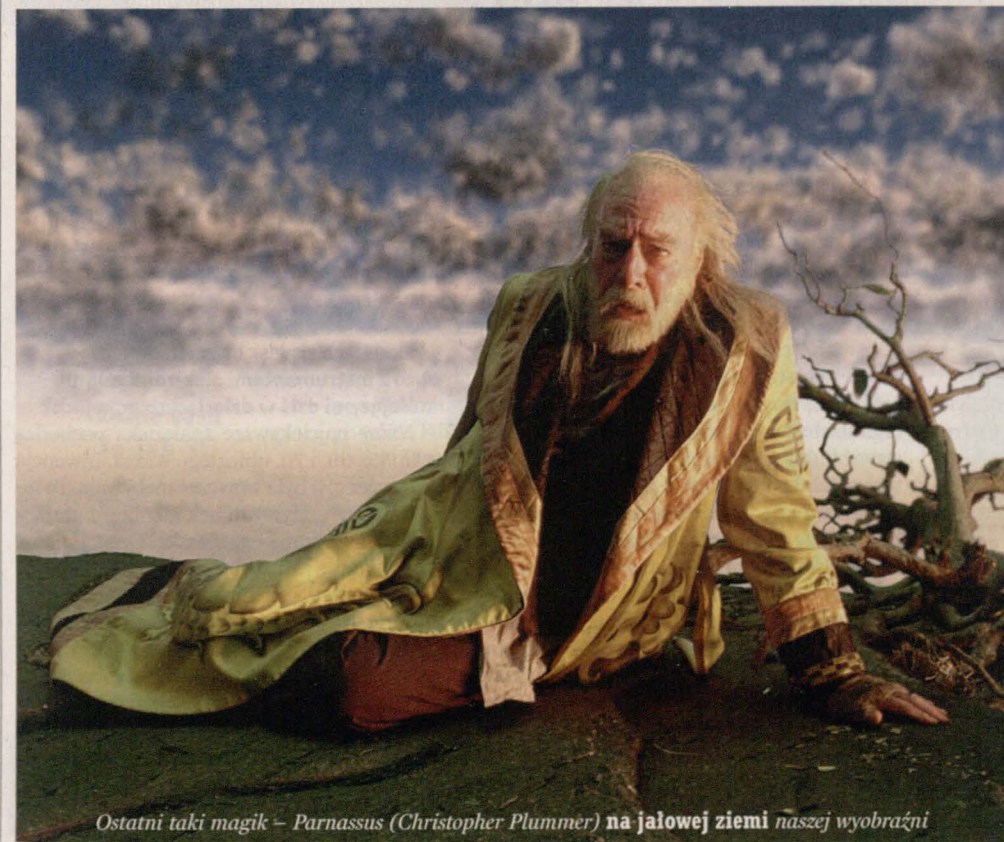


„Parnassus”,
reż. Terry
Gilliam, Francja/
Kanada/Wielka
Brytania 2009,
Gutek Film,
122’, premiera
8 stycznia

wodu śmierci Heatha Ledgera. Choć aktor jest obecny w wielu scenach, to jego nieobecność w tych nielicznych (gdzie zastąpili go pospół Colin Farrell, Jude Law i Johnny Depp) w sposób tajemniczy, znany tylko Gilliamowi, czuć bardzo na ekranie.

Nie dajmy się jednak zwieść posępnemu tonowi reżysera: jego fantazja jest wciąż żywa, pociągająca i zaskakująca. Nikt tak jak on nie potrafi wykreślić postaci rosyjskich gangsterów czy karła, zastąpić zmarłego aktora trzema zupełnie innymi, wymieszać tego z estetyką wysypiska śmieci i otrzymać zborną, fascynującą całość. Co więcej, w „Parnassusie” Gilliam wyjątkowo pieczołowicie dba o spójność narracji (co w jego

przypadku nie jest takie oczywiste – w jego filmach wyobraźnia zawsze brała górę nad logiką zdarzeń) i dopiero w drugiej godzinie wprowadza nadto artystycznego chaosu, ale na jego Parnas warto się wdrapać. Może wycieczka nań nie jest tak lekka i komfortowa jak jazda ruchomymi schodami czy wspinaczka na Górę Przeznaczenia, ale widok z niego z pewnością jest o wiele ciekawszy. □



Ostatni taki magik – Parnassus (Christopher Plummer) na jałowej ziemi naszej wyobraźni

+++++

Nie zapomnisz

„Gorzkie mleko” to cierpki filmowy napój, który warto wypić

Tytułowe „mleko smutku” to według peruwiańskich wierzeń trauma, jaką zgwałcone matki przekazują swoim nienarodzonym córkom. Jedną z nich jest Fausta, młoda, posagowo piękna dziewczyna, która nigdy się nie uśmiecha, ukrywa przed światem i przeżywa tragedię, które pozornie nie są jej udziałem. Jej matka została brutalnie zgwałcona podczas peruwiańskiej rewolucji w latach 80. 30 lat później córka boi się tak samo, unika mężczyzn, a w waginie nosi ziemniaka, który ma ją strzec przed gwałtem. Do tego rodzicielka wkrótce umiera, zostawiając ją na pastwę własnych nie własnych lęków. W nagrodzonym Złotym Niedźwiedziem filmie Claudii Llosy oglądamy historyczną tragedię w mikroskali ludzkich emocji. W historii Fausty (rewelacyjna, emocjonalnie skamieniała Magaly Solier) przegląda się historia wszystkich reżimów świata oraz fizycznych i emocjonalnych spustoszeń, jakie przyniosły. Nie ma za to polityki i związanych z nią rozliczeń, patosu czy tłumaczenia mętnych racji. Oglądamy świat pokazany z samego wnętrza lęku. Niezwykły jest język tego filmu łączący realizm magiczny, ludową klechę z namacalnym konkretem. W przeciwieństwie do „Madeinusa”, poprzedniego filmu Llosy, nie oglądamy tu wydarzeń będących źródłem traumy, co paradoksalnie tylko wzmacnia efekt. „Gorzkie mleko” to jednak przede wszystkim okrutny rozrachunek z paradoksami pamięci. Motto: „Nie zapomnę” powraca w tym filmie jak memento. I faktycznie, zapomnieć się nie da. Choć pamiętać równie trudno. Michał Burszta

„Gorzkie mleko”, reż. Claudia Llosa, Peru 2009, AP Mañana, 94’, premiera 1 stycznia



Male Instrumenty
i ich instrumenty
w studiu Rogalów
Analogowy. Pierwszy
z prawej Paweł
Romańczuk

Małe wielkie brzmienia Saksofon na korbkę i gwizdek na dyski – to tylko dwa z dwustu akcesoriów grupy Male Instrumenty, która debiutuje albumem „Antonisz”. Do równego traktowania wszystkich dźwięków przekonuje **Paweł Romańczuk**

MARIUSZ HERMA

Ile instrumentów zdążyliście już uzbierać?
– Około 200.

Najbardziej oryginalne?

– Urządzenie zaopatrzone w ołówkę, które służy jednocześnie do rysowania i grania muzyki. Jego sekret polega na tym, że grafit jest przewodnikiem prądu. Chociaż jest to dźwięk elektroniczny, jest od nas fizycznie zależny. Mamy też maszynę do pisania, która zamiast pisać, wydaje dźwięki. Albo saksofon na korbkę czy gwizdek na dyski.

Skąd w ogóle wziął się pomysł ograniczenia instrumentarium do przedmiotów niewielkich rozmiarów?

– Fascynowałem się tego rodzaju muzyką na długo przed założeniem Małych Instrumentów. Na świecie dojrzała scena: są festiwale, wyspecjalizowane wydawnictwa płytowe i dziesiątki wykonawców z Japonii, Francji, Niemiec czy USA. Około 2005 roku stwierdziłem, że jeśli w Polsce taki zespół miałby zaistnieć, to muszę go sam założyć. Na początek kupiłem kilka instrumentów i zacząłem zbierać skład, który udało się skompletować w 2007 roku. Wszyscy mieliśmy wcześniej do czynienia z bardziej tradycyjnymi instrumentami. Ja grałem na kontrabasie.

Debiutancki album poświęciliście Julianowi Antoniszowi, reżyserowi i kompozytorowi. Dlaczego on?

– Moja fascynacja tą postacią zaczęła się jeszcze w latach 90., kiedy udało mi się zgromadzić filmy Antonisza. A muzyka podobała mi się tym bardziej, że była autorstwa samego reżysera. Gdy planowałem stworzenie Małych Instrumentów, wiedziałem, że w repertuarze oprócz własnych kompozycji powinienem uwzględnić utwory Antonisza. Jego muzyka to skrzyżowanie estetyki orkiestry marszowej z korzeniami polskiej muzyki ludowej i eksperymentem dźwiękowym właściwym latom 60. To bardzo pociągające i inspirujące. Natomiast gdy w 2007 roku dowiedziałem się, że na festiwalu Era Nowe Horyzonty będzie miała miejsce retrospektywa jego filmów, przekonałem organizatorów, by przed projekcjami przedstawić publiczności repertuar muzyczny. Potem postanowiliśmy uwiecznić to na płycie. **Małe instrumenty to mały dźwięk – jak sobie radzicie z ich niedostatkami?**

– Poza frapującymi brzmieniami są oczywiście ograniczenia, ale to dla nas szkoła akceptowania wszystkich dźwięków. Uwalniając myślenie o muzyce, staramy się nadawać równorzędne znaczenie rozmaitym odgłosom, które nas otaczają. Zresztą nie jest to nasz autorski pomysł, ale idea, która zrodziła się w XX wieku. Cały pion muzyki współczesnej odnajduje dźwięki tam, gdzie nie zwykło się ich szukać.

Gdzie szukacie instrumentów? W sklepach z zabawkami?

– Najczęściej na aukcjach internetowych. Wiele z nich to rzeczywiście zabawki muzyczne przeznaczone dla dzieci, ale korzystamy także z instrumentów małych rozmiarów, jak mandolina czy ukulele. Inna grupa to instrumenty edukacyjne. Nie są już zabawkami, ale wciąż nie nadają się do wykonywania muzyki akademickiej. Jest cały szereg przedmiotów dźwiękowych, które nie mają cech instrumentu, ale wydają dźwięki. Te przydają się przy bardziej abstrakcyjnych konstrukcjach muzycznych, bo nie można wydobyć z nich melodii czy harmonii. Jeszcze inny sposób to modyfikowanie urządzeń elektronicznych w celu osiągnięcia zaskakujących zjawisk brzmieniowych.

A co z instrumentami elektronicznymi królującymi dziś w dziecięcych pokojach?

– Nasze najciekawsze znaleziska pochodzą z lat 50., 60. i 70. ubiegłego wieku. Inwencja producentów była wówczas niebywała. To instrumenty z „żywymi” elementami, grające struną, membraną czy blaszką. Dzisiaj mamy do czynienia z jedną wielką symulacją. Kupujemy instrument, który ma brzmieć jak gitara, ale zamiast struny jest guzik, który odtwarza bardzo niskiej jakości dźwięk elektroniczny. Nie otrzymujemy ani brzmienia prawdziwej gitary, ani nie mamy na dźwięk żadnego fizycznego wpływu. To, co my robimy, polega między innymi na pokazywaniu pewnej prawdy muzycznej. Promujemy brzmienia takie, jakimi są, a nie udajemy, że coś brzmi tak, jak niby powinno.



Devendra Banhart
„What Will We Be”, Warner
Naczelny hipis XXI wieku sili się na odrobinę

profesjonalizmu, a chwilami próbuje nawet kokietować radiową publiczność. Jak się okazuje, w wyprasowanej koszuli też jest mu do twarzy.



Dan Deacon
„Bromst”, Car Park
Radykalna elektronika dla nieradykalnych, psychodeliczna

dyskoteka dla nie tańczących, absurdalny humor dla ponuraków. Nawet jeśli nowojorski brodac ma nierówno pod sufitem, jego muzyce to służy.



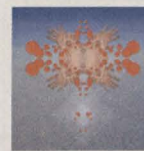
Dinosaur Jr.
„Farm”, Jagiuar/PIAS
Ciagle niedoceniona w Polsce grupa,

która jest filarem amerykańskiej sceny alternatywnej, podobnie równa w swoim dorobku jak Sonic Youth czy Yo La Tengo, czego potwierdzeniem jest ta płyta. Dużo świetnego gitarowego hałasu i jak zwykle wyraźne piętno Neila Younga.



Dirty Projectors
„Bitte Orca”, EMI
Podczas gdy inni śpiewają

o wolności, oni ją realizują w praktyce. Zakorzenieni są tyleż w amerykańskim garażu, co w afrykańskiej wiosce. Zakochani w rytmie potrafią porzucić go w środku taktu. A w plebiscycie Melodia Roku zawłaszczyci sobie całe podium.



Fuck Buttons
„Tarot Sport”, ATP
Apostołowie hałasu postanowili

przemówić do maluczkich, a narzędziem ewangelizacji są hipnotyzujące, transowe suity wycelowane w podświadomość. Do rozmyślań o wszechświecie.



Maxwell
„Black Summer's Night”, Columbia
Jeden z pionierów

neo soulu pozostaje wierny klasycznym, żywym brzmieniom, jakimi przed nim uwodzili Gaye, Green i Wonder. W spokojniejszych, balladowych

momentach chwyta za serce wielką wrażliwością, ale potrafi wybuchnąć prawdziwie funkowym ogniem.



Monsters of Folk „Monsters of Folk”, Shangri-La
Połączone siły Jima Jamesa z My Morning Jacket, Conora Obersta, Mike'a Mogisa (obaj Bright Eyes) i M. Warda, czyli pierwsza folkowa supergrupa nowego pokolenia. Przewidywalnie dobre. Szczegóły na muzyka.przekroj.pl.



Passion Pit
„Manners”, Sony
Żywił młodości w minio-

nym roku przybrał postać roztrzępanej, rozśpiewanej i rozkochanej w melodiach rockowo-

-elektronicznej piątki, która nie zna umiaru i bardzo jej z tym do twarzy. Przesyt błogosławiony.

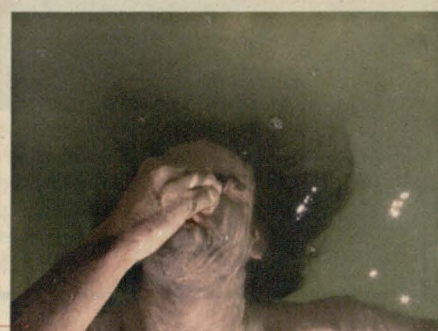
Love
„Love Lost”, Sundazed
Diamant podwójnie zagubiony:

płyta, którą legendarna kalifornijska grupa Arthura Lee nagrała w czasach świetności (1971) i nigdy jej nie wydała ze względu na konflikt z ówczesnym wydawcą. Na szczęście sam materiał, po raz pierwszy wydany w całości, okazał się ponadczasowy.



Zu „Carboniferous”, Ipecac
Włoskie jazzowe power trio, które gra metal. Albo

hard core. Tak czy owak, głośne to, intensywne i pokrecone. Mike Patton tak się nimi zachwycił, że nie tylko ich wydał, ale nawet zaśpiewał w dwóch numerach. Nie dał sobie wytłumaczyć, że to muzyka instrumentalna.



+++++

Takie lo-fi to jak SF

Indigo Tree, czyli aby zrobić krok do przodu, najpierw trzeba się wycofać

DLACZEGO NIE MAM O SWOIM patriotyzmie najwyższego mnieniania? Bo widząc dobrze zaprojektowaną grafikę i porażające zdjęcie martwej żaby na okładce, natychmiast pomyślałem, że dostałem jakąś nową zagraniczną płytę. Tymczasem Indigo Tree to największa niespodzianka, jaka mnie spotkała ze stro-

ny rodzimego rynku pod koniec ubiegłego roku. Filip Zawada, basista Pustek i AGD, o którym myślałem, że skoncentrował się ostatecznie na swojej drugiej pasji – fotografii. I jego niezłe śpiewający (i przy okazji świetnie śpiewający po angielsku) kolega (Peve Lety). To oni stworzyli garść krótkich piosenek, wycofanych, zrezygnowanych i ulotnych z założenia. Taka powinna być – prosta i skromna – twórczość lo-fi (przeciwieństwo doszli-

Indigo Tree
„Lullabies Of Love And Death”, Ampersand

fowanego w wielkim studiu brzmienia hi-fi). Nieco zawstydzające dla polskiej konkurencji spod znaku Brodki, Makowieckiego i innych próbujących z różnym skutkiem sił w takiej właśnie konwencji jest to, jak osiągnięto perfekcyjne brzmienie tej płyty – dzięki nagraniu jej w pomieszczeniach atelier fotograficznego Ośrodka Postaw Twórczych we Wrocławiu. Rozbrajająco trafiony zestaw, ulotnie piękny i szczęśliwie nieoczekiwany.

Bartek Chaciński

więcej recenzji no muzyka.przekroj.pl

+++++ TADEUSZ NYCZEK

Miłosz skatalogowany

Bibliografię też da się czytać!

Agnieszka Kosińska, ostatnia osobista sekretarka Miłosza, dokonała razem z dwuosobowym zespołem pomocniczym rzeczy wielkiej: sporządziła pierwszą w świecie kompletną bibliografię wszelakich książkowych wydań noblisty. Nie tylko polskich, ale także zagranicznych. Miłosz był jednym z najpracowitszych naszych pisarzy, żył długo, a po Noblu stał się prawdziwą gwiazdą światowej literatury. Nie dziwota więc, że robota nad zebraniem i uporządkowaniem tego wszystkiego była gigantyczna. Tom liczy ponad 800 stron i waży z półtora kilo, więc nie w kij dmuchał. Nie jest to też taki sobie prosty spis publikacji. Każdy utwór, który wyszedł spod ręki Miłosza, został tu prześwietlony na wszystkie strony i możemy go znaleźć albo w chronologicznym spisie dzieł, albo w indeksie tytułów, opisany do najmniejszego szczegółu.

wej literatury. Nie dziwota więc, że robota nad zebraniem i uporządkowaniem tego wszystkiego była gigantyczna. Tom liczy ponad 800 stron i waży z półtora kilo, więc nie w kij dmuchał. Nie jest to też taki sobie prosty spis publikacji. Każdy utwór, który wyszedł spod ręki Miłosza, został tu prześwietlony na wszystkie strony i możemy go znaleźć albo w chronologicznym spisie dzieł, albo w indeksie tytułów, opisany do najmniejszego szczegółu.

Znasz niderlandzki i ciekawi cię, co Holendrzy znają z Miłosza? Ze strony 230. dowiesz się, że w 2001 roku wyszedł w Amsterdamie „Mijn twintigste eeuw”, czyli „Mój wiek” – rozmowy Czesława Miłosza z Aleksandrem Watem, tom liczący 382 strony, w tym 1 nieliczbowa. Ale nie tylko utwory samego Miłosza tu znajdziemy. Odnotowano opracowania jego twórczości, książki rozmów z nim, wybory dzieł w wielu językach, wydania drugoobiegowe i te w jednym (!) egzemplarzu. Są kserokopie listów Miłosza do bibliografów i wydawców oraz

esencjonalne kalendarium życia i twórczości pisarza.

Spytacie: a cóż zwyktemu czytelnikowi po takiej księdze? Ani to czytać w pociągu, ani u dentysty. Prawda. To jest dzieło dla badaczy, krytyków, miłośników, studentów różnych filologii, szperaczy literackich, bibliofilów, a także dla wszystkich zwykłych entuzjastów Czesława Miłosza. Jeśli będzie ich tylko kilka, a może kilkanaście tysięcy w samej Polsce, to i tak nieźle, prawda? Że Kalicińska chodliwsza? Oczywiście. Ale nie mówimy o Kalicińskiej (choć uchylamy przed nią kapelusza). □



Agnieszka Kosińska „Czesław Miłosz. Bibliografia druków zwartych”, Krakowska Akademia im. A.F. Modrzewskiego, Instytut Dokumentacji i Studiów nad Literaturą Polską, Kraków–Warszawa 2009, s. 815, 64 zł

Pamięć i tożsamość? Pamięć o tożsamości i kanonach państwa świeckiego przynosi (wielki jest czas po temu, chciałoby się westchnąć) klasyczna już dziś praca Anatola France’a „Kościół a Rzeczpospolita” z 1904 roku wznawiana przez wrocławskie wydawnictwo Racjonalista na podstawie drugiego wydania polskiego z roku 1911 w przekładzie Aleksandra Sulkiewicza.



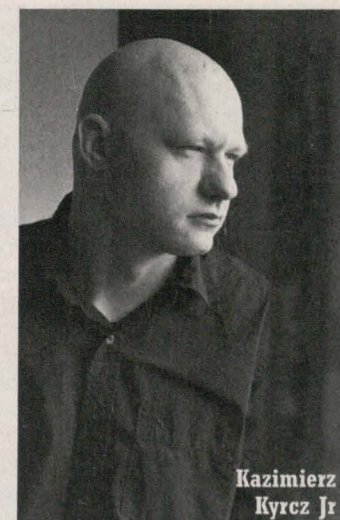
+++++ ŁUKASZ ORBITOWSKI

Straszno nad zalewem

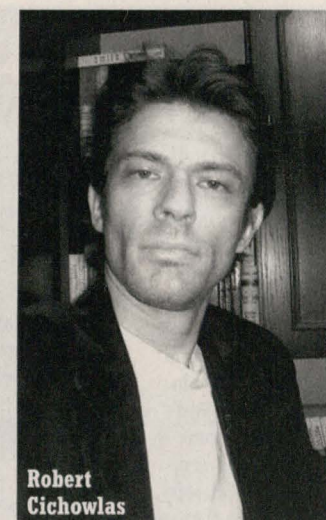
Amerykanie wymyślili nowoczesny horror. Polacy z powodzeniem nadrabiają zaległości

JAK TO SIĘ ROBI W AMERYCE? JEST sobie facet, najczęściej wolnego zawodu (tutaj aktor serialowy), którego spotyka niefart, i to gruby (tutaj śmierć żony). Nieszczęśnik bierze się z życiem za bary i w towarzystwie pociech (tutaj sztuk dwie) wybywa na prowincję, wierząc w nowe rozdanie. Zajmuje wiekową chałupę i zaczyna się jazda: pojawia się dziewczyna, wystarczająco zaradna i seksowna, by zaaplikować chorej duszy znieczulenie miejscowe (tutaj opiekunka do dzieci), a szkraby gaworzą sobie wesoło z duchami. W tle mnożą się niesamowite wydarzenia, pędząc po krzywej wznoszącej się, przyczyna ich obecności zaś jest dwójaka – wiąże się zarówno z miejscem, jak i bohaterem, który z całej afery nie wyjdzie żywy. A jeśli już, to poturbowany.

Upiorny duet Cichowlas&Kyrz Jr wziął te klocki i rozrzucił po plan-szy swojskiej, polskiej. Szkoda trochę minimalizacji warstwy obyczajowej,



Kazimierz Kyrz Jr



Robert Cichowlas



Robert Cichowlas, Kazimierz Kyrz Jr „Siedlisko”, Grasshopper, Lublin 2009, s. 443

tak błyskotliwie u Stephena Kinga: na przykład ich Kraków to miasto muzeów, bibliotek i lodziarni, a myślenie autorów o zawodzie aktora ma charakter czysto życzeniowy. Ujawnia się za to niemal mickiewiczowski nurt rozumienia opowieści niesamowitej jako moralitetu – wiem już, że przemoc domowa nie popłaca, zdrada tym bardziej. No i nie wolno angażować sił nieczystych w celu uwiedzenia. Tak więc mimo wszelkich braków, jeśli mierzyć „Siedlisko” intensywnością ciar biegnących po plecach, Kyrz z Cichowlasem ciała nie dali. □

Wyślij SMS my oddzwonimy zapłacisz przy odbiorze

Kup teraz!

Wyślij SMS z kodem podanym przy recenzji na nr 70500 koszt SMS-a z VAT 0,61 zł.

one step

one step* cena 31 zł/kod: siedl121

+++++

Dla koneserów i amatorów

Kapitałny album o heroicznych latach polskiej awangardy

TRAKTOWANE DO NIEDAWNA PO MACOSZEMU lata 70. doczekały się należnego im miejsca w historii polskiej sztuki współczesnej. Potwierdzeniem niech będzie doskonała publikacja dotycząca tego okresu. „Sztuka polska lat 70. Awangarda” to pozycja na akademickim poziomie, lecz dzięki pasjonującej treści i dopracowanej formie graficznej ma szansę dotrzeć do szerszego grona odbiorców.

Koncepcja wydawnicza, za którą odpowiada artysta Piotr Uklański, jest genialna w swej prostocie: archiwalne zdjęcia, dokumentacje akcji artystycznych, manifesty i fragmenty prac pieczołowicie zgromadzone przez Łukasza Rondudę zostały powiększone do imponujących rozmiarów. Zabieg ten sprawił, że czytając, nie-

mał namacalnie obucjemy ze sztuką tamtych lat, a część wizualna nie jest jedynie dodatkiem do tekstu – mówi własnym głosem. Czarno-białe czasy odzyskują pełnię kolorów, a za sprawą wyczerpujących tekstów poznajemy meandry życia artystycznego, które wywarło kluczowy wpływ na kształt późniejszej sztuki. Każdy rozdział w książce dedykowany jest innej postaci lub grupie. Przedstawione zostały przeróżne strategie działań twórczych, bohaterami są między innymi Warpechowski, Natalia LL, KwieKulik czy Warsztat Formy Filmowej. To rzecz zarówno dla znawców – ze względu na szczegółowość

opisu zjawisk artystycznych – jak i początkujących odbiorców sztuki, którym wiedza zawarta w albumie przybliży fenomen i specyfikę nowoczesnej, często domagającej się komentarza sztuki. – dom

Łukasz Ronduda (konceptja wydawnicza Piotr Uklański) „Sztuka polska lat 70. Awangarda”, Polski Western, Jelenia Góra i CSW Zamek Ujazdowski, Warszawa 2009, s. 380, 130 zł

+++++

Te przekłete kolonie

Reportaże o zapomnianych miejscach i ludziach

BEZ ELEKTRYCZNOŚCI, TELEFONU, bieżącej wody, szkoły i przychodni żyją w głębi Haiti potomkowie Polaków przybyłych na dawne San Domingo wraz z armią Napoleona, by tłumić bunt czarnych niewolników. Błękitne oczy i jasne włosy niektórych mieszkańców Cazale, obraz Matki Boskiej z Dzieciątkiem przypominającej częstochowską Czarną Madonnę, garść przysłów (robić coś jak w Krakowie, czyli bardzo dokładnie) i tęsknota za daleką ojczyzną – tyle pozostało tu po „białych Murzynach Europy”. Skomplikowana tożsamość – oto motyw przewodni „Zaginionych białych plemion” włoskiego reportera Riccarda Orizio, który dotarł nie tylko do haitańskich Polaków, ale też do potomków holenderskich pionierów z Namibii, niemieckich niewolników (sic!) z Jamajki czy francuskich kolonistów z Gwadelupy. Ci ostatni, zwani Blanc Matignon, żyjąc w kazirodznych związkach, rozpaczalnie próbują zachować etniczną odrębność. Bohaterowie reportaży skazali się na dobrowolną izolację. Mentalnie zanurzeni w epoce kolonialnych podbojów, żyją zwróceniu ku przeszłości. Od dawna przestali być Europejczykami, ale nigdy też nie zaczęli być „stad”. Są jak rośliny skazane na wymarcie, bo pozbawione korzeni. „Przeklęty cukier, przeklęta kawa, przeklęte kolonie” – zawołał Napoleon po klęsce na Haiti. Książka Orizio dowodzi, że zaiste przeklęte. – masa

Riccardo Orizio „Zaginione białe plemiona”, tłum. Joanna Ugniewska i Mateusz Salwa, Czarne, Wołowiec 2009, s. 328, 34,90 zł



LUKASZ DREWNIAK

Na stojaka Stendaperzy podbijają (na razie) Warszawę

W stołecznym klubie Chłodna 25 organizuje się właśnie Teatr Chłodnica dedykowany *stand-up comedy**. Na jego inauguracji pewnego listopadowego wieczoru wystąpiło od razu 10 monologistów, zarówno znanych aktorów, jak i kompletnych amatorów. Jako „Jaskiniowiec” w Fabryce Trzciny grasuje Łukasz Lewandowski. Rafał Rutkowski zapełnia do ostatniego miejsca dużą scenę Teatru Polonia. Tekst „Ojca polskiego” napisał mu Michał Walczak coraz odważniej flirtujący z tą formą komediowego monologu. Odwaga jest wskazana, bo ciągle nie umiemy wytłumaczyć sobie, co to, do cholery, jest *stand-up comedy*? „Czy można to grać na siedząco?” – zapytałem swego czasu w sytuacji bankietowej anglosaskiego znawcę tematu. Spojrzał na mnie jak na idiotę i poszedł do toalety. Drażąc temat, pobiegłem za nim: „A co z tak zwaną pozycją kuczną? Można czy nie?”.

Moje wścibstwo było uzasadnione, przecież nie każda seria skeczy automatycznie jest „stendapem”. Pietrzak, Dziewoński i Laskowik bardzo by się zdziwili na wieść, że sporo lat stojąc przed mikrofonem, byli prekursorami gatunku. Trudno też wrzucać do tego wora komediowe monodramy, na przykład „Kontrabasistę” Jerzego Stuhra. To przecież sztuka pełną gębą była, choć wielu niewyrobionych widzów odbierało ją (mimo kunsztu aktora!) jako produkt uboczny działalności zarobkowej Maksia z „Seksmisji”. Marcin Daniec, Cezary Pazura, Andrzej Grabowski osobowość mają, na monologach estradowych zęby zjedli, ale to jednak kabaret, a nie „stendap”.

Czym konkretnie aktor może sobie zasłużyć na miano wykonawcy *stand-up comedy*? Wszystkim i niczym. Nieistnienie granic gatunku uświadomiła mi swego czasu Ursula Martinez. Tak, ta sama od „sztuczki z chusteczką”, która osiem lat temu nie była jeszcze wcale prowokacyjnym numerem striptizerskim granym na amerykańskich złotych stendaperów przed wielotysięczną widownią, ale prologiem jej spektaklu „Show OFF”. Martinez (zła na krytyków, którzy zarzucali jej poprzedniemu występowi, że to *stand-up comedy without comedy* i w ogóle za mało w nim odważnej nagości) rozebrała się do rosołu, wyjęła chusteczkę... no, sami wiecie skąd, a potem powiedziała: „Ci, którzy przyszli na nagość, mogą już wyjść. Z resztą pogadamy sobie na stojąco o mojej

Ojciec polski
(Rafał Rutkowski)
sam stoi, ale dzieci
wyraźnie mu wiszą

sztuce. Proszę wstać: jestem artystką”. Otóż to. Żarty i kuglarskie triki to tylko zasłona dymna. Niby aktor jest tu po to, żeby rozbawić nas gadkami o sprawach męsko-damskich, polityce, ekonomii i celebrytach, ale w końcu i tak zaczynamy się koncentrować nie na tym, co opowiada, ale jak opowiada. Przecież *stand-up comedy* narodziła się w barze z rubasznymi opowieściami przy piwie w gronie stałych bywalców. Trzeba było wstać, żeby inni cię widzieli. A jednocześnie sporo się ruszać, żeby twarz nie tonęła w oparach siwego papierosowego dymu. Potem „stendap” wyemigrował na scenę, ale jego wykonawca bezpośredniego kontaktu z widzami już nie zatracił.

W „Ojcu polskim” Rutkowski wychodzi przed kurtynę z odczytem o modelu ojcostwa w polskiej kulturze. Wikła się i miota w gagach, aluzjach, podszczyptywaniach publiczności. Jest bardziej plastyczny niż błyskotliwy, jakby chciał zapełnić wszystkie puste miejsca w przestrzeni i czasie, ogrzać każdy gzyms i fotel, zaczepić każdego widza. Boi się pauzy, zmienia tonację, tempo, klasę żartów. Widać, słysząc i czując, że tekst jest tylko dodatkiem do energii

roznoszącej aktora. Śmiałyśmy się tak samo, gdyby w tych samych okolicznościach recytował „Króla Ducha”. Bo Rutkowskiego śmieszy śmieszność samej sytuacji.

Czasem nawet nie chodzi o *vis comica*. W „Jaskiniowcu” Lewandowski stacza trzygodzinny heroiczny bój z własnym *emploi*, bo nie ma nic bardziej karkołomnego od założenia, że sympatyczny i delikatny chłopiec będzie wygłaszał mało odkrywcze przemyslenia dresiarza o byczym karku obracającego się w kręgu dziewczyn w białych kozaczkach. Jeśli widzowi obcy jest ten model męskości, będzie siedział na widowni jak na tureckim kazaniu, słuchając śmiechów dookoła. Aż przyjdzie olśnienie, że nie o robienie jaj tu chodzi, lecz o popis transformacyjnych możliwości aktora. Podczas ukłonów Lewandowski wygląda tak, jakby dopiero co wyfedrował dwie tony węgla.

Rutkowski i Lewandowski w swoich występach nie tyle grają *stand-up comedy*, ile sprawdzają, czym jest, gdzie się zaczyna i gdzie kończy. Niby świntuszą, ile wlezie, jeden mieie ozorem, drugi wymachuje dzidą, ale żaden na szczęście nie próbuje wykonać sztuczki z chusteczką. Jaki z tego morał? *Stand-up comedy* można grać w dowolnej pozycji. Byłe nie na kolanach. □

Łukasz Lewandowski
bardzo się stara udawać dresiarza

Z polską:
komedia
na stojąco

+++++

Gangsterskie opowieści

„GTA Episodes From Liberty City” to kawał mięsistej i bardzo krwistej gangsterskiej opowieści

KTO NIE GRAŁ W „GRAND Theft Auto IV”, ten albo grać nie lubi, albo popełnił wielki błąd. Losy Nika Bellica rozbijającego się po przestępczym świecie Liberty City to doskonały (i nieczęsty) przykład gry z sensem i scenariuszem. Niedawno pojawiło się rozwinięcie tej historii. „Grand Theft Auto Episodes From Liberty City” to dwie gry w jednym pudełku będące równoległymi w stosunku do „GTA IV” opowieściami. Opowieściami, bo „Episodes...” wpisują się w epicki klimat serii i w pełni zasługują na miano pełnoprawnej historii. „Lost...” to dzieje niepokornego członka motocyklowego gangu; „Ballad...” umieszcza nas w towarzystwie latynoskiego kartelu narkotykowego. Na tych, którzy dobrze „wgrali się” w „GTA IV”, czekają smakowite nawiązania do historii Nika Bellica, ale pozostali będą równie dobrze się bawić.

- pstan

„Grand Theft Auto Episodes From Liberty City”, Cenega, Xbox 360, około 140 zł



„Majesty 2” lekko symuluje

Poddani mają cię w głębokim poważaniu

„MAJESTY 2: SYMULATOR królestwa Fantasy” kontynuuje zapoczątkowaną przez poprzedniczkę nietypową konwencję strategii,

+++++ PIOTR STANISŁAWSKI

Wspólne rżnięcie

„Left 4 Dead 2” – bo jak mordować, to nieindywidualnie. Najlepiej we czwórkę, z przyjaciółmi

Trudno zmusić graczy do współpracy – spora część sieciowych gier opiera się na współzawodnictwie i sprwadza się do możliwie szybkiego rozpaćkania wszystkich, co się rusza. Fenomenem jest „Counter Strike”, gdzie walczą przeciwko sobie dwie drużyny, ale to gra, która ma 10 lat. „Left 4 Dead 2” znowu wymaga najściślejszej współpracy czterech graczy. Może nawet nie tyle wymaga, ile wymusza – wylęwając się zewsząd strumień kos-

marnych zombi sprawia, że z najwyższą czułością myślisz o zwalistym Murzynie u twojego boku wymachującym siekierą. Zresztą raz po raz trafiasz na sytuacje, w których bez pomocy towarzyszy marne giniesz – zombiak wskazujący na twój kark czy owijający się długą, ślimaczką, która może zostać wyeliminowana tylko przez jednego ze współtowarzyszy niedoli. Są jednak momenty zwątpienia – masz jedną apteczkę, a zarówno ty, jak i jeden z ko-

legów zostaliście poobijani przez potwory. Pomóc czy dbać o swój tyłek? Oto moralny dylemat!

Fabuly za wiele tu nie ma, ale nie o nią chodzi. Świat opanowuje wirus, który zamienia ludzi w zombi. Ty oraz troje nieszczęśników zostaliście w środku miasta opanowanego przez kreatury i próbujecie dostać się do punktu ewakuacyjnego. Jest krwawo, bardzo krwawo. To jedna z najkrwawszych jatek na rynku gier, tym mocniejsza, że świetna graficznie.

Choć można przejść grę samodzielnie, wspieranym przez komputerową inteligencję, zabawa zaczyna się dopiero z żywymi towarzyszami. „Left 4 Dead 2” to po prostu gra stworzona do współpracy. □

„Left 4 Dead 2”, Electronic Arts, PC, Xbox 125–200 zł

w której rządzą, choć nie mamy władzy. Jako prezydent do tronu królestwa Ardanii rozbudowujemy miasteczka i dbamy o mieszkańców, którzy odwiedzają się, płacąc podatki i wydając pieniądze. Wpływ na zachowanie poddanych mamy jednak minimalny. Na mapie możemy tylko umieścić sztandary rozkazów, pozostawiając pod nimi drobne nagrody w zlocie. Wykonanie misji zależy wyłącznie

od woli sztucznej inteligencji. Jednak obywatele Ardanii mają to do siebie, że przeważnie ignorują nasze rozkazy. Efekt – „Majesty 2” jest strategią pozbawioną elementu taktycznego. Na mapie panuje totalny chaos, a my możemy tylko bezsilnie go obserwować, co chwila najmuąc nowych żołnierzy w miejscach, którzy zginęli.

Zalety? Piękna grafika i klimatyczna ścieżka dźwiękowa. Najważniejszy jednak jest humor, z jakim potraktowano konwencję fantasy – przerysowane postacie wygłaszają teksty, jawnie nabijając się z patosu podobnych produkcji.

Marcin Traczyk



„Majesty 2: symulator królestwa Fantasy”, Ino-Co, Cenega, PC, 100 zł



Krótko – nie chciałbyś tam być. Całe szczęście, że to tylko gra



WOLNI CZY BEZPIECZNI?

MODNE DO NIEDAWNA ROZWLEKŁE NEKROLOGI I ZWIĘZŁE KOMUNIKATY O ZGONIE NIEŚWIĘTEJ PAMIĘCI IDEOLOGII OKAZAŁY SIĘ MOCNO PRZESADZONE: IDEOLOGIE MAJĄ SIĘ DZIŚ ZNAKOMICIE, A NAMNOŻYŁO SIĘ ICH, JAKBY SIĘ NA KAMIENIU RODZIŁY – PRZEKONUJE **ZYGMUNT BAUMAN** W ROZMOWIE Z KATARZYNĄ JANOWSKĄ. ROZMOWIE NA KONIEC DEKADY

Czy można jakoś podsumować mijające dziesięciolecie? Co zadecydowało o jego charakterze?

– Ochotnicy do podsumowywania rozpędzonych dziejów po grząskim gruncie biegną, po niewymoszczonym jeszcze ani niewydeptanym, a w dodatku przez knieję się przedzierają – bez mapy, zdyszani, żeby za umykającymi zdarzeniami nadążyć, a więc niezdolni do tego, by się po gęstwinie porządnie rozejrzeć. Cokolwiek napiszą, nie będzie niczym więcej niż pocztówką z podróży; cokolwiek opiszą, będzie migawką, a co najwyżej (by amerykańskiego wyrażenia użyć) *mid-career report*, sprawozdaniem skazanym na wielokrotne przeróbki i rychłe zapomnienie...

Rosyjski poeta Włodzimierz Majakowski ostrzegał: nie malujcie epickich płócien w czasie rewolucji – rewolucjoniści i tak porwą je na strzępy. W listopadzie 1917 roku wzmianki o szturmie na Pałac Zimowy w Piotrogradzie przez tajemniczą sektę równie tajemniczo bolszewikami się przezywającą ginęły, i to w najpoważniejszych pismach Anglii czy Francji, w gąszczu innych doniesień z gabinetów osobliwości, jakich w świecie było zarówno wtedy, jak i teraz pełno... No, ale żąda pani, bym wbrew wszystkiemu, co przed chwilą powiedziałem, określił wyrazistość kończącej się wkrótce dekady. Więc zaryzykuję (jak się rzekło, miejsca wszak na mogiły przedwcześnie zrodzonych/poronionych podsumowań zostało sporo...). Otóż co w mijającej obecnie dekadzie uderzyło mnie bodaj najbardziej, to rosnące prawdopodobieństwo zmiany kierunku wahadła ludzkich preferencji, marzeń i pożądań.

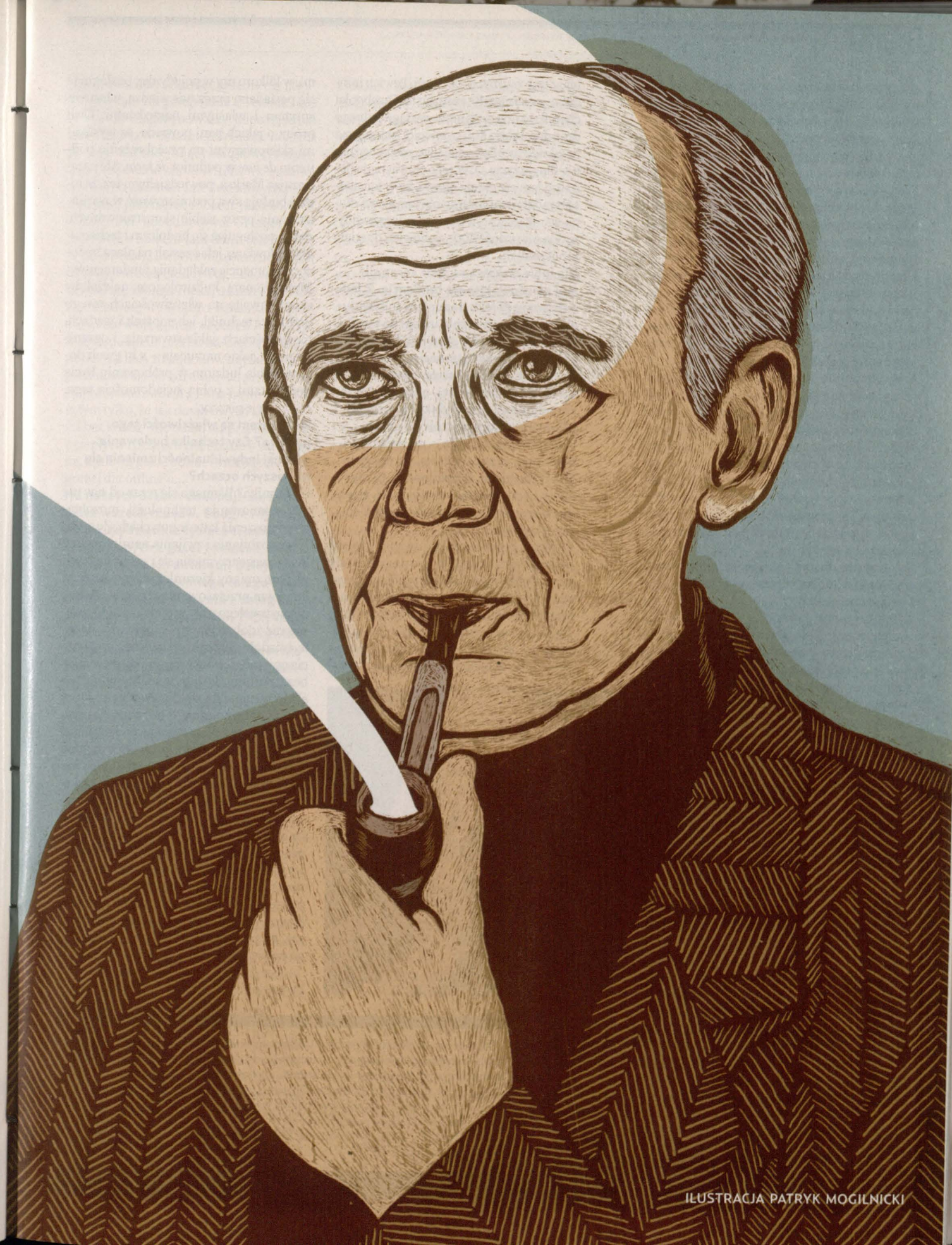
Zygmunt Freud odnotował niemal sto lat temu, że cierpienia psychiczne współczesnych powodowane były głównie złożeniem znacznej dozy wolności osobistej w ofierze zwiększonemu zabezpieczeniu przed kapryсами przyro-

dy, agresywnością ludzką i dolegliwościami ciała. Późniejsze lata zarówno tę diagnozę, jak i wynikającą z niej prognozę potwierdziły. XX wiek z jego nieustępliwym pędem do rozszerzania obszaru wolności doprowadził wszakże, jak się zdaje, do kresu: do sytuacji, w jakiej odnotowana przez Freuda reakcja odwróciła się o 180 stopni. Najpospolitsze dziś udręki i zaburzenia psychiczne i wynikające z nich pretensje oraz postulaty wobec warunków życia wzięły się z rezygnacji z rosnącej dozy bezpieczeństwa w imię niczym nieskrępowanej wolności. W dobiegającej końca dekadzie mnożyły się sygnały i dowody zmiany kierunku wahadła między bezpieczeństwem a wolnością, dwiema wartościami, bez których ludzie obejść się nie mogą, ale które pogodzić niezmiernie trudno, a być może nie sposób...

Ale szukanie tego balansu to chyba nie jest sprawa ostatniej dekady, ale niemal odwieczna, tylko pewnie inaczej kiedyś nazywana. Poza tym w krajach tak zwanej rozwiniętej wolności obywatele już od dłuższego czasu mniej lub bardziej świadomie ją ograniczają właśnie w imię wolności. Poprawność polityczna, dążenie do bezwzględnej równości daje skutki często odwrotne od zamierzonych. Pamiętam reportaż polskiego dziennikarza mieszkającego w Szwecji Macieja Zaremby o szwedzkim domu spokojnej starości, w którym opiekunka została ukarana za to, że odnosiła się do jednej z podopiecznych cieplej niż do pozostałych. Zwolniono ją z pracy, tłumacząc, że inne mieszkanki domu mogły czuć się dyskryminowane. Szwecja zresztą jest dobrym przykładem, że tego balansu nie sposób osiągnąć.

– Oburącz się pod pani smętną diagnozą podpisuję. Choć przypadek opiekunki szwedzkiego domu starców z innego popularnego dziś postulatu się zrodził, a mianowicie parytetu, który w bieżącej wersji zawołania bojowego permanentnej rewolucji nowoczesnej zastępuje po trosze „równość”, podobnie jak „sieć” zastępuje „braterstwo”, a „bezpieczeństwo” – „wolność”. Mariaż bezpieczeństwa z wolnością przypomina wielce dziś rozpowszechniony model stadła małżeńskiego: partnerzy żyć bez siebie nie mogą, a ze sobą, bez ciągłych swarów, utarczek i wojen podjazdowych, nie potrafią; bezpieczeństwo bez wolności to wszak cela więzienna lub barak obozowy, a znów wolność bez bezpieczeństwa to życie na wulkanie, w kasynie gry czy na ruchomych piaskach. Wybieranie jednej wartości kosztem drugiej jest jak rozważanie przewag roztrzaskania się o Scyllę nad rozpruciem kadłuba przez Charybdę. Skazaniśmy na to, by próbować żegluga w bezpiecznej odległości od obu skał – a cieśnina nieznacznie wąska i łatwo przeoczyć moment, w którym oddalając się od jednej skały, zbliżyliśmy się znowu do drugiej; dowiadujemy się o pomyłce z reguły po szkodzie i poniewczasie.

Słusznie pani zauważa, że poszukiwanie złotego środka nie jest sprawą nową. Powiedziałbym, że w tej czy innej formie i pod tymi czy innymi hasłami trwa ono od czasów Hammurabiego, Solona czy Likurga – ale jak dotąd bez rezultatu, jaki zadowoliliby bez zastrzeżeń wszystkich użytkowników naraz: przyjrzawszy się licznym z próbowanych w dziejach rozwiązań, nie trafiłem na żadne, które nie powodowałyby czyichś cierpień i nie pobudzałyby kogoś do utyskiwań, →



ILUSTRACJA PATRYK MOGILNICKI

→ protestu i buntu. Zarówno potrzeba zharmonizowania bezpieczeństwa i wolności, jak i niemożliwość całkowitego, bez usterek tej potrzeby zaspokojenia są – jak powiedzieliby filozofowie – nieodłącznymi atrybutami kondycji ludzkiej.

To zostawmy wolność i bezpieczeństwo. Może do cech charakterystycznych ostatniej dekady należy przesunięcie się życia społecznego, kulturalnego do Internetu. Blogujemy, uczestniczymy w forach dyskusyjnych, zapisujemy się do portali społecznościowych. Chętnie odpowiadamy na kampanie wyborcze rozpętałe w Internecie lub SMS-owo. Rodzi się w nas poczucie, że zyskujemy dzięki temu kontrolę nad światem. Uzasadnione czy złudne?

– Świat online zda się przynosić w darze ni mniej, ni więcej tylko ów kamień filozoficzny czy raczej „eliksir życia”, o które nowoczesni alchemicy tak usilnie choć bezskutecznie zabiegali: obiecuje on pogodzić wodę z ogniem, ofiarować użytkownikom wolność w jednym pakunku, w transakcji związanej z bezpieczeństwem – wyczyn, który także i świat, teraz „offline” przezwany, od paru już stuleci obiecywał, haniebnie się jednak ze swego przyrzeczenia nie wywiązując.

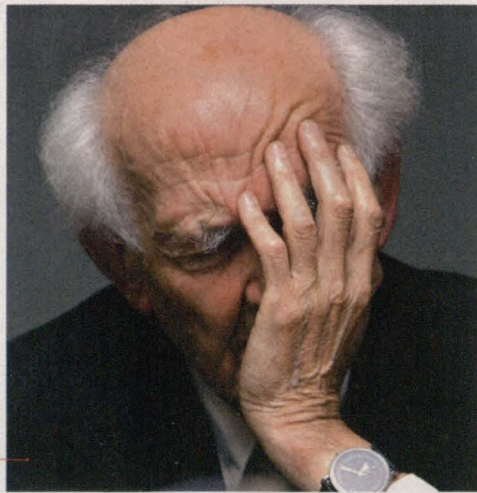
Czyli znowu dosiada pan profesor swojego ulubionego konika i draży sprawę wolności i bezpieczeństwa?

– Tak, bo mimo że nie jest to kwestia nowa, wydaje mi się dziś kluczowa dla zrozumienia tego, co w świecie się dzieje. W dzisiejszej odmianie świata „offline” wiązanie się z kimś na odległą przyszłość (już nie mówiąc o więzach zadzierzgniętych na całe życie, dopóki śmierć nas nie rozdzieli) jest przedsięwzięciem nader ryzykownym i przeto niewskazanym, bo w tym płynnym, kalejdoskopowo zmiennym świecie najcenniejszy nawet ładunek w mgnięniu oka może się przeobrazić w nieznosny balast. Im ściślej więzi związane i im mocniej trzymają, tym bezpieczniej może się człowiek dzięki nim poczuć, ale tym łatwiej szalupa ratownicza bez uprzedzenia może się przeobrazić w statek więzienny. Rozsądek ludzi falami miotanych każe zawiązywać węzły tak, by można było się od nich uwolnić w każdej chwili, i to jednym pociągnięciem sznurka. Albo jednym naciśnięciem klawisza „wymarz”, podpowiada świat online’u – i w tym jego powab, i moc magnetyczna, i sekret naszego dlań uwielbienia oraz naszych pokładanych w niej nadziei. W tym nowym wspaniałym świecie żaden krok nie jest nieodwołalny, wszystko, co się staje, odstać się może, nic nie jest raz na zawsze, klamka nigdy nie zapada. Od sieci (w odróżnieniu od wspólnot, w które się człowiek wrodził lub które sam mozolnie latami cegła po cegle budował – jakie przypadły mu w dziedzictwie lub jakim poprzysiągł dożgonną wierność) odłączyć się jest równie łatwo, jak do niej podłączyć. Sieć więc, łamiąc resztki murów ograniczających obszar wolności, zarażem przyobiecuje, że bezpieczeństwo od powa-

lenia tych murów nie ucierpi. Pewien młody, a zapamiętały entuzjasta Facebooka chętnie się przede mną, że w ciągu jednego dnia dorobił się 500 przyjaciół (więcej, niż ja zdołałem przez całe swe niewybaczalnie długie życie...). W jego słowach nie dostrzegłem się cienia obawy, że w ten sposób mógł nieopatrnie obciążyć swą długą – i wreszcie, a irytująco nieprzewidywalną przyszłość 500-osobowym długiem hipotecznym.

Dla mnie ciekawe są dwie coraz silniej zarysowujące się tendencje. Z jednej strony daleko posunięty indywidualizm, chęć zwrócenia uwagi na swoją niepowtarzalność, stąd między innymi zalew blogów w Internecie. Piszę, więc jestem. A z drugiej strony poczucie utraty podmiotowości, poczucie bycia zmanipulowanym trybikiem w rękach PR-owców, specjalistów od sprzedawania wszystkiego – od proszku do prania, przez politykę, po oczywiście informacje. Przekonanie, że myślimy narzuconymi schematami, tkwimy w matryksie, jest z roku na rok coraz silniejsze.

– Wciąż próbujemy być w tym świecie podmiotami. Dodałbym, że nie zanoszą się na to, byśmy kiedykolwiek próbować przestali. A i dodałbym, że podmiotami w naszym zindywidualizowanym świecie jesteśmy i tak, na mocy dekretu historii – uznano wszak, że rozwiązań dla napotykaných przez nas problemów szukać musimy sa-



Zygmunt Bauman, 85, socjolog, do 1968 roku prof. na Uniwersytecie Warszawskim. Po usunięciu z UW kierował katedrą socjologii na Leeds, gdzie mieszka do dziś. Jeden z najważniejszych współczesnych teoretyków nowoczesności i ponowoczesności (nie mylić z postmodernizmem). Posługuje się wieloma różnymi metodologiami i językami. Turysta, włóczęga,

parias – to jego ulubione metafory dla opisu kondycji współczesnego człowieka. Jego eseje są czytelne i zrozumiałe, mimo wysoko postawionej poprzeczki. Wydał m.in. następujące książki: „Nowoczesność i zagłada”, „Etyka ponowoczesna”, „Ponowoczesność jako źródło cierpienia”, „Europa niedokończona przygoda”.

mi, w kilkoro czy w pojedynkę, posługując się posiadaną przez nas wiedzą, własnym sprytem i własnymi narzędziami. Owe próby, o jakich pani powiada, są wysiłkami skierowanymi na przeobrażenie podmiotu *de jure* w podmiot *de facto*. Ale parafrazując Marksa, powiedziałbym też, że ludzie budują swą podmiotowość w warunkach nie przez siebie skonstruowanych, a więc posługując się budulcem i technologią budowlaną, jakie zastali na placu budowy w momencie zakładania fundamentów. Myślę, że nam, kulturologom, należałoby skupić uwagę na właściwościach owego budulca i techniki, ich cnotach i wadach, możliwościach, jakie stwarzają, i ograniczeniach, jakie narzucają – a to gwoździ do pomożenia ludziom w próbowaniu bycia podmiotami z pełną świadomością tego, co wprawie piszczy.

Jakie zatem są właściwości tego budulca? Czy technika budowania własnej indywidualności zmienia się na naszych oczach?

– Technika? Wymaga się teraz od nas nie tyle opanowania technologii mozołnego wznoszenia katedr gotyckich, ile szybkiego rozbijania i zwijania namiotów: nie kurczowego trzymania się raz obranej drogi, lecz zmiany kierunku wraz z każdym kolejnym przetasowaniem pokus i szans; nie wytrwałego okopywania i fortyfikowania raz zdobytej w świecie pozycji na tyle, by zdolna już była do końca naszego życia opierać się wichurom i wydobywać się bez szwanku z każdej zawieruchy, ale naśladowania, o ile się da, Proteusza, który to bohater antycznego mitu umiał przybierać na zwołanie wszelkiej postaci, jakiej zapragnął; albo wykradzenia Harry’emu Potterowi „zaklęcia Proteusza”, które wedle mitologii kończącej się właśnie dekadą pozwala zmienić czy wyrzucić na nic wszystko, na czego zmianę przyszłaby człowiekowi ochota... By się językiem socjologów posłużyć: z technologii budowy tożsamości (krzepkiej, niewzruszonej, raz za zawsze danej) akcent przesunął się na sztukę jej renegocjacji, przeróbki, recyklingu – i zastępowania inną: ponętniejszą, wygodniejszą czy po prostu bardziej na czasie.

A co do budulca: ano główne materiały budowlane to zawartość sklepów (i, rzecz

jasna, kieszeni) oraz natchnienia czy „cynki” płynące nieprzerwanie z reklam, kolorowych magazynów czy telewizyjnych talk-show... W ostatniej dekadzie doszedł do tego budulec bijący na głowę wszystkich współzawodników: strony internetowe typu „Second Life”, na których przebywając, przybierać możesz jakiegokolwiek tożsamości. Jak odnotował Grzegorz Kubera dwa z hakiem lata temu (oczywiście w Internecie), „Brunet intelektualista może zostać uroczą blondynką. Listonosz może stać się królem rocka, a każdy dziadek zamienić się w swojego wnuczka. Możliwości nie mają końca. »Second Life«, czyli „drugie życie”, czeka na Ciebie w Internecie. Już dziś 10 milionów użytkowników przeniosło się do wirtualnych przestrzeni, by próbować swoich sił »na nowo«”. Bieda w tym tylko, że jak dotąd owych „możliwości bez końca” nie udało się przełancować z ciepłych i żywych pól online’u na mroźną, a jałową glebę offline’owego życia. Tym gorzej dla offline’u...

Na naszych oczach dokonuje się kradzież wszech czasów. Google i Yahoo! publikują dziennie tysiące tekstów skopiowanych z gazet i książek, nie płacąc grosza ich autorom. Dzieje się to na oczach tak zwanego całego świata, który chętnie korzysta z usług pasera. Czy coś przegapiliśmy? Czy może prawo nie nadąża za zmianami cywilizacyjnymi? Tradycyjna prasa teraz się budzi, kiedy upada, i krzyczy, że jest okradana przez wyszukiwarki.

– Okropnie staromodny, jak na mój wiek przystało, jestem... Kołaczę mi się wciąż po głowie amerykańskie powiedzonko (w mej zamierzchłej młodości zasłyszane, a przez moich młodszych amerykańskich kolegów zaś zapomniane albo nigdy nieusłyszane), że jeśli ja ci dam dolara i ty mi dasz dolara, każdy z nas będzie miał po dolarze – ale jeśli ja ci dam myśl i ty mi dasz myśl, każdemu z nas po jednej myśli przybędzie. A także równie sędziwe porównanie kolacji z seminarium: jeśli niezapowiedziany gość przysiadzie się do kolacyjnego stołu, może to gospodynię zafasować: czy aby dla wszystkich starczy jadła?! Ale jeśli niespodziewany gość przysiadzie się do seminarijnego stołu, prowadzący pewnie się uraduje: chyba będzie więcej duchowej strawy dla każdego.

Jakoś nie mogę się pozbyć przykrego wrażenia, że wdrażając pojęcie „własności intelektualnej”, to nie intelektualści zaciągają rynek na służbę swojej misji, lecz rynek intelektualistów do służby swojej sprawie. Obrótu pieniężnego, a więc i wskaźników wzrostu gospodarczego, z pewnością od tego przybędzie – ale czy także duchowej zasobności przybędzie narodowi?

Choć, *summa summarum*, jakoś nie umiem się tym problemem wzruszyć.

Uważam bowiem, że dysputa zanosi się na czysto akademicką, jako że rynki znajdują już na to sposób, by intelektualność własnościowców albo własność uintelektualnić, spieniężyć i udochodować. Nic nie wskazuje na to, by ktoś gdzieś zabierał się poważnie do dekretowania limitów ich apetytu i chłonności. Jak zsumował ostatnio swe doświadczenia pewien rozczarowany entuzjasta francuski kolejnych wcieleń Internetu, „z utopijnego eldorado zwiastującego wyzwolenie i w obietnice (niedotrzymane) obfitującego Web przeobraził się w koszmarny konsumerystyczny – groźny, a bezlitosny. Gorzej jeszcze: każdy konsument przekształca się w „produkt”; i podobnie jak pospolite towary wystawiane na sprzedaż w supermarkecie musi zabiegać o przyciągnięcie oka nabywcy...

Czy takie narzędzia jak Google i Yahoo!, które wyparły tradycyjne encyklopedie, są ideologicznie obojętne?

– Clifford Geertz, jeden z najtęższych umysłów wśród późnodynastycznych badaczy światowych kultur, przyrównał naszą kulturę do kuweckiego bazaru: straganów nie przeliczysz, rozmaitość świecidełek wystawionych na straganach tak pstrą, że się od niej w głowie mąci, a wśród straganów mrowie przekrzykujących się nawzajem naganiaczy wychwalających cnoty błyskotek (każdy swoich). Ogłuszający harmider od świtu do zmierzchu, a od czasu do czasu tu i ówdzie bijatka zabiegających o uwagę klientów rywali.

Ideologie są składnikami kultury, a więc i o nich w alegorii Geertza mowa. Modne do niedawna rozwekle nekrologi i zwięzłe komunikaty o zgonie nieświeższej pamięci ideologii okazały się mocno przesadzone: ideologie mają się dziś znakomicie, a namnożyło się ich (i z dnia na dzień mnoży), jakby się na kamieniu rodziły. Tyle że inny to teraz gatunek ideologii od tego zapamiętanego z ubiegłych wieków. Dawne ideologie przymierały się do statusu *vademecum*, Lemowej „teorii wszystkiego” czy powszechnej encyklopedii wchłaniającej wszystko, co warte wchłonięcia. Dążyły do syntezy i konsolidacji, do skoordynowania przelicznych par opozycyjnych i sprowadzenia do wspólnego mianownika katalogu licznych, a najlepiej wszystkich bez wyjątku problemów ludzkiego życia – a zatem do narzucenia ładu chaosowi spostrzeżeń i nadania spójności życiowej strategii.

Dzisiejsze ideologie są od takich ambicji dalekie: skupiają się z reguły na jednym, najwyżej paru problemach, nie wnikając w zawartość godzin, by tak rzec, „pozazubowych”. Pozwala to ich wyznawcom dzielić swój czas i swe życiowe czynności między liczne a całkiem rozmaite „wyspecjalizowane” czy „częstkowe” ideologie, bez popadania w konflikt lojalno-

ści, wystawiania się na zarzut zdrady i ryzykowania wyrzutów sumienia. Nie są też dzisiejsze ideologie uzbrojone w biura polityczne, sądy partyjne i armie donosicieli i tropicieli odchylen – nie mówiąc już o Kołymach czy Dachau dla wytropionych: tutaj złapany przez Kozaka Tatarzyn za łeb Kozaka nie trzyma – miłośnicy dobierają sobie ideologie *à la carte*, w czasie dla siebie wygodnym i na czas dla siebie słodczy się lokieć przy łokciu w tychże ideologicznych koszarach rekruci przybywający z wielce różnorodnych regionów i do tychże obcych sobie wzajem terenów wybywający po capstrzyku. Do takiej to „ideologiczności” sprowadzają się deklaracje i komunikaty kuszące wystawione do „wysurfowania” na kuweckich bazarach zwanych Google czy Yahoo!

A co z kontrolą nad światem?

Czy w ostatniej dekadzie pojawił się jakiś nowy, nieznany dotąd zandarm?

– W ciągu ostatnich paru dziesięcioleci (znów wymykam się z ram ostatniej dekady) czynniki determinujące nasz dobrobyt i naszą niedolę (obecne, jak i przyszłe) wywędrowały z obszaru suwerennych państw-narodów w globalną „przestrzeń przepływów” (termin to ukuty przez Manuela Castellsa), gdzie zastane narzędzia kontroli, po dawnemu lokalne, i nadal zamknięte w granicach państwowych dosięgnąć ich (nie wspominając już o kontrolowaniu) nie mogą. Zasięg narzędzi politycznej kontroli konstruowanych przez naszych ojców i dziadków jest nader szczupły w zestawieniu z planetarnymi wymiarami dzisiejszych wyzwań. Moce, jakie uwolniły się od politycznej kontroli, wbrew lokalnym sprzeciwom unoszą się bez przeszkód w „przestrzeni przepływów”. Nie jest to tylko „sieć mechanizmów i instytucji finansowych”, lecz mnóstwo ciał, które łączą dwie tylko wspólne cechy: pogarda dla władz lokalnych i praktyczna od nich niezawisłość, oraz sabotowanie prób wdrożenia równie jak one ogólnoplanetarnych i eksterytorialnych praw i narzędzi ich kontroli. Dotychczasowy przebieg globalizacji nazywam „globalizacją negatywną”, by go przeciwstawić „globalizacji pozytywnej”, od której zależy rozciągnięcie efektywnej kontroli nad buszującymi w „przestrzeni przepływów” mocami, a więc i odzyskanie przez ludzi kontroli nad swym losem – która to globalizacja jeszcze się na dobre nie zaczęła. Kiedy piszę te słowa, czytam w „The New York Timesie”, że konferencja kopenhaska, która miała być krokiem ku niej, rozlatuje się z powodu sprzeciwu reprezentowanych tam państw wobec wymogu międzynarodowej kontroli nad wywiązywaniem się z podjętych zobowiązań. I tak to właśnie chaotycznie wkraczamy w drugą dekadę XXI wieku. □



Chili ZET
Nowe radio w Polsce
w pogoni za kulturą
www.chilizet.pl

OTWÓRZ
oczy

PRZYKUTEGO DO
WÓZKA INWALIDZKIEGO
STARCA TRUDNO
PORÓWNAĆ DO
IMPROWIZUJĄCEGO
JAZZMANA. ALE
MATISSE – TAK, TEN
MATISSE – JEDNAK
IMPROWIZOWAŁ.
ZAMIAST INSTRUMENTU
W DŁONI ŚCISKAŁ
NOŻYCHY. ZAMIAST
DŹWIĘKÓW TWORZYŁ
KOLORY I KSZTAŁTY

WYCIĄŁ SZTUKĘ

HENRI NOŻYCHY PAWEŁ STREMSKI

W wycinanki
Matisse'a jako
jeden z pierwszych
uwierzył paryski
wydawca Émile
Tériade. Prezentował
je w elitarnym
piśmie o sztuce
„Verve”

Henri Matisse 31/8³⁹

W wieku 70 lat Henri Matisse był wielką gwiazdą malarstwa. Gwiazdą porównywalną jedynie z Picassem. Ich nieustający artystyczny pojedynek elektryzował ówczesny świat sztuki, a sami artyści mimo rywalizacji nawiązali znajomość, którą niektórzy mogliby nazwać przyjaźnią. W 1941 roku Matisse dowiedział się o chorobie. Rak dwunastnicy wymagał natychmiastowej operacji. Szanse na powodzenie były niewielkie, ale zabieg się udał, Matisse przeżył. Jednak pokonanie raka było dla niego równocześnie wyrokiem – do końca (zmarł w listopadzie 1953 roku) przykuty był do łóżka i wózka inwalidzkiego. Musiał zapomnieć o wielogodzinnej pracy przy sztaludze. Posługiwanie się pędzlem przychodziło mu z trudem, malowanie stało się niemożliwe, a „pojedynek” z Picassem zakończony.

Ułomność, która mogła przekreślić jego dalszą karierę, nie załamała Matisse’a. Wręcz przeciwnie, zmusiła artystę do znalezienia nowej formy ekspresji. Takiej, która nie wymagałaby pójścia na artystyczny kompromis, a jednocześnie byłaby w zasięgu jego fizycznych możliwości. Wtedy Matisse sięgnął po papier i nożyczki. Zapomniana i lekceważona – w szczególności przez postępowych artystów współczesnych – technika wycinanki okazała się w jego przypadku idealna. Matisse odkurzył ją, dopasował do swoich potrzeb i w efekcie zrewolucjonizował.

No dobrze, ale czym się różnią wycinanki Matisse’a od łowickich? Tym, czym różni



Bezkarne rozrzucanie papierów mogłoby mu pozazdrościć nie jeden dzieciak. Matisse w pracowni. Poniżej: Egzotyczne rośliny i maski – echa podróży na Haiti



„The Sheaf” – jedna z cudownych roślin z kolorowego ogrodu Matisse’a

Trudno w to uwierzyć, ale wszystkie wycinanki Matisse’a powstawały bez szczegółowych szkiców i rysunków próbnych. Improwizacja była jego żywiołem



Matisse wycinał nie tylko liście, ale i kobiety. Zmysłowe, roztańczone

się malarz od malarza pokojowego. Matisse nie trzymał się żadnego schematu. Eksperymentował. Przez całą karierę pracował nad zestawieniami kolorów i kształtów na płótnach, ale mówi się, że dopiero w wycinankach odnalazł idealne połączenia. Połączenia, które są zaskakująco współczesne, niemalże komiksowe. Zwróćcie uwagę na odważne kontrasty, prostą, ale uciekającą od banału symbolikę. To dzieła kompletne i dojrzałe, pozbawione zbędnej ornamentyki. To mocny i pewny głos artysty. – Potrzebowałem dużo czasu, żeby dojść do momentu, w którym mogę powiedzieć dokładnie to, co chcę – mówił o sobie Matisse.

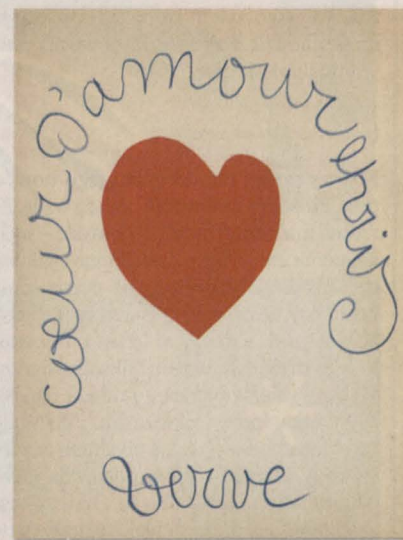
(W papierowym ogrodzie)

Trzy „Akty błękitne” z 1952 roku – stworzone zaledwie dwa lata przed śmiercią – to

jeden z jego największych artystycznych triumfów. To także jedno z najbardziej rozpoznawalnych i najczęściej reprodukowanych dzieł sztuki na świecie. Niewiele osób jednak wie, że to nie obraz, lecz... kolaż. Dopiero na dokładnej reprodukcji widać odcienie kilkunastu kawałków niebieskiego papieru, które Matisse zaaranżował na białym tle. Prościej się nie da – sylwetka siedzącej kobiety jest demonstracją geniuszu Matisse’a. Jej postać jest umowna i realistyczna zarazem. To ikona, pieczęć niepowtarzalnego artystycznego stylu.

Aż trudno uwierzyć, że wszystkie wycinanki Matisse’a powstawały bez szczegółowych szkiców i rysunków próbnych. Improwizacja była jego żywiołem. Wyobraźcie sobie starszego pana siedzącego na wózku inwalidzkim na środku pracowni. Wokół porzucane różnokolorowe arkusze →

Okladka pisma „Verve”. Numer 23 z 1949 roku przeszedł do historii sztuki





„La Gerbe”.
Trudno
uwierzyć,
ale ta
eksplozja
koloru
powstała
ledwie
rok przed
śmiercią
artysty



„Henri Matisse at
the Maison de la
Pensée Française”
(1950). Okładka
katalogu
wystawy

Poniżej: „L'Auteur de sabres”.
A pod nim, przyjrzyjcie się
dokładnie, a zobaczycie... tak,
tak – kreolskiego tancerza

*L'esprit humain.
L'artiste doit
apporter toute
son énergie,
sa sincérité
et la modestie
la plus grande
pour écarter
pendant son
travail les
vieux clichés*



→ specjalnie barwionego i przygotowanego papieru. Wszędzie ścinki – Matisse nigdy nie wyrzucał resztek, bo każdy kawałek, każdy wycięty kształt mógł się okazać potrzebny. Wycinanki – niech nie zmyli was to określenie, niektóre miały wielkość nawet kilku metrów – powstawały na podłodze i na ścianach. Asystenci mistrza przytwierdzali je zgodnie ze wskazówkami, żeby za chwilę przewiesić i szukać innych kompozycji. Niektóre kolaże powstawały natychmiast, inne dojrzewały w oczach Matisse'a tygodniami, a nawet miesiącami. Pracownia zmieniała się w nasycony kolorami ogród – na większości prac z tego okresu pojawiały się motywy roślinne, na przykład charakterystyczne liście: – Ponieważ są dni, kiedy nie mogę wstawać z łóżka, stworzyłem tu ogród, po którym mogę chodzić. Są tu rośliny, owoce i ptaki – tłumaczył Matisse.

(Syberyjska blond piękność)

Krytycy sztuki nie doceniali jego nowych prac. Prostotę i umowność brali za wadę. Zarzucali mu infantylność. W domyśle – wysyłali go na emeryturę. Zaskakujące, jak bardzo ich ocena różniła się od oceny samego artysty. Matisse był pewien swojej wizji. Wielokrotnie mówił, że okres po operacji to jego drugie życie. Nie tylko artystyczne. W tym życiu wspierała go młoda rosyjska asystentka Lidia Delektorska. Zatrudniona w latach 30., stała się obiektem zazdrości żony Matisse'a, która postawiła mężowi ultimatum: „Ona albo ja?”. Lidia została zwolniona, ale nie uratowało to małżeństwa

Okres po operacji nazywał swoim drugim życiem. Nie tylko artystycznym. Towarzyszyła mu w nim młoda rosyjska asystentka Lidia Delektorska. Była przyjaciółką, opiekunką i muzą artysty



„Le Cirque” – jedna z ilustracji do „Jazzu”, który ukazał się tylko w 250 egzemplarzach – dziś do zobaczenia między innymi w Victoria and Albert Museum w Londynie

artysty. Niedługo później pani Matisse odeszła od męża po 31 latach pożycia. Matisse ponownie zatrudnił Lidę. Syberyjska blond piękność stała się przyjaciółką, opiekunką i muzą artysty. Wspierała go we wszystkich decyzjach i była prawą ręką w pracowni. Ich platoniczny związek trwał do ostatniego dnia życia Matisse'a.

Przez ręce Lidii przechodziła większość prac Matisse'a. Także te, które przez dwa lata przygotowywał do jednej z najsłynniejszych artystycznych książek XX wieku, wydanego w 1947 roku albumu „Jazz”. Tytuł doskonale podsumowywał sposób pracy artysty – improwizatora i wirtuoza. Idea była prosta – pokazać 20 kolaży Matisse'a przeplatanych poezją. Jednak w ostatecznej wersji wiersze zostały zastąpione odręcznymi zapiskami artysty dotyczącymi poszczególnych prac. Nakład 250 egzemplarzy sprawił, że wydawnictwo szybko stało się artystycznym białym krukiem. Wielokrotnie reprodukowane, kilkanaście tygodni temu czekało się niezwyklej reedycji przygotowanej przez Taschen: dwutomowego wydawnictwa „Henri Matisse: Cut-outs – Drawing With Scissors”.

Wycinanki Matisse'a sprzed 60 lat wyglądają dziś bardzo nowocześnie. Po narzekaniach ówczesnych krytyków nie ma śladu. Zresztą Matisse już wtedy nie liczył się z ich opinią: – Tylko jedna osoba może mnie krytykować: Picasso – tłumaczył. Ale wieletni rywal wcale nie rwał się do krytykowania: – Biorąc pod uwagę całość, jest tylko Matisse – to jego słowa.

Autor prowadzi blog o sztuce art.blox.pl



Wydanemu na specjalnym włoskim papierze reprintowi „Jazzu” towarzyszy obszerny album Gilles'a Néréta i Xaviera-Gilles'a Néréta „Henri Matisse: Cut-outs – Drawing With Scissors” uzupełniony o rzadko publikowane zdjęcia artysty. Jeśli nie odstraszy was cena – 150 euro – to na pewno warto je kupić. Mniej wymagający mogą się zadowolić dużo mniej spektakularnym albumikiem „Matisse: Cut-outs” (też Taschen) za niecałe 8 euro lub zwykłym kalendarzem ściennym. Do 24 stycznia w Carnegie Museum w Pittsburghu można oglądać wystawę „Matisse: The Thousand and One Nights”



ROZMAITOŚCI

W tym tygodniu:

ROZMAITOŚCI JAK NOWY ROK
- NIBY ZUPEŁNIE NOWE,
A JEDNAK JAKBY TEŻ TROCHĘ
STARE...

Wymyślił i narysował Marek Raczkowski



Szary wiruje pył

MARCIN PIESZCZYK

Before party, czyli święta, święta i przed świętami

SZARY JUŻ SNUŁ PLANY NA 2010 rok, gdy Szara zaprote-
stowała: nie pisz o przyszłości,
skoro wciąż myślisz o przeszłości.
Szary wrócił więc do świąt,
które z dystansu wydały mu
się odwrótnością imprez kul-
turalnych. O ile after party było
nieraz ciekawsze od koncertu
właściwie najciekawsza była Wi-
gilia, która przecież do świąt nie
należała. Same święta nie zapa-
dały w pamięć. Chociaż...

1) Alkohol: od lat na topie
świątecznych atrakcji. Jedyna
zmiana – jego jakość świadczy-
ła o statusie właściciela. Podczas
odwiedziny u rodziny Szary za-
stawiał zaprojektowany przez
architekta barek z opróżnionymi
do połowy butelkami, co mia-
ło świadczyć o jego używaniu.
Sami jednak gospodarze prosili
o przyniesienie piwa, nie chcą-
c naruszać dzieła, na które wy-
dali przecież pieniądze. Gdyby
ich poprosić o burbon, umarliby

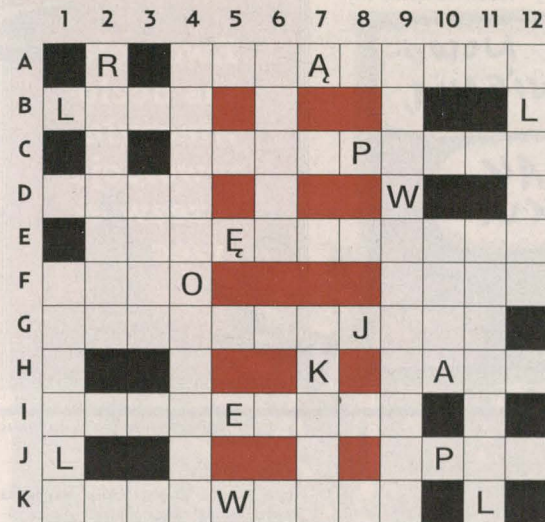
z przerażenia, nie wiedząc,
ki diabeł, i nie mając pojęcia,
jak go podać.
2) Jedzenie: najbardziej
ze świąt z pewnością cie-
szyła się pełna lodówka.
Do obowiązkowych punktów
rodzinnych zjazdów należało
wychwalanie polskiej kuchni
i typowo „polskich” potraw
– jak na reklamie „Pizza we-
dług staropolskiej receptury
sporządzonej”.

3) Koledy: za bary z kole-
dami brali się najczęściej
piosenkarze mający kłopoty
z oryginalnym repertuarem,
co dawało wynik podobny
do interpretacji hymnu przez
Edytę G.: nawet po kilku mi-
nutach takiej koledy Szary
pytał: „Jaka to melodia?”
4) Pogoda: żelazny punkt
narzekania, gdy znudzi nam

się narzekanie na polityków.
Bo i tak wiadomo, że zawie-
dzie. Swoją drogą to ciekawe
– Ktoś, Kto zawiaduje
pogodą, musi być chyba ko-
munista, skoro na 1 Maja
zawsze ofiarowuje piękne
doznania meteorologicz-
ne, podczas gdy dzień przed
Wigilią roztapia śnieg i ga-
si słońce.
5) Prezenty: Szaremu nigdy
nie zabiło mocniej serce, gdy
kolejny rok z rzędu otwierał
paczki z ciepłymi kalesona-
mi, a Szarej – gdy wachała
kolejny zestaw kuleczek ką-
pielowych z Rossmanna. Nie
mieli zresztą prawa narzekać
– sami wykazywali się nie
lada okrucieństwem, fundu-
jąc swoim bliskim powieści
Marcina Wolskiego, zestaw
skrobaczek do warzyw albo

JOLKA NR 1

AUTOR: JERZY BUCZEK



WYRAZY
11-LITEROWE:

• Z NIEPEWNOŚCIĄ
JEST TAM CORAZ
NIŻEJ • STUDENCI NA
TORACH
• KRWIA TRIÓW
ZBRYZGANI
• NIEUMIĘTNOŚĆ
MAŁEJ RÓŻYCHKI

WYRAZY
9-LITEROWE:

• ZWRACA UWAGĘ
NA SKALĘ • GUZIK
Z TELENOWELI
• SYZYFOWY PUC

• JOWISZ POD
PAPROTKĄ

WYRAZY
7-LITEROWE:

• LUSTRATOR X
V MIEŚCI SIĘ W MAŁEJ
BAJCE

WYRAZY
6-LITEROWE:

• CACKO PO
PRZEJŚCIACH • SIEWKA
SIEWKA

WYRAZY
5-LITEROWE:

• KOPRODUKCJA TALII

I DUDKA • CIEPLEJSZY
OD DRANIA

WYRAZY
4-LITEROWE:

• TRZY TO KONIEC
LICYTACJI NA
AUTOSTRADZIE
• WALENIE PO
SIEJBACH • MIEJSCE
PRZEPRAW GRAF
• PRIME TIME POTU
• PRZEPISANA
KATARZYŃKOM • ZBÓR
RUR • ŚRODKI DO
UŁOTKI • WAŻKA
KOLIBERKA

Określenia podano w innym szyku niż kolejność wyrazów w diagramie.
W diagramie ujawniono niektóre litery. Po wypełnieniu diagramu należy
rozszyfrować następujące hasło:

A8_K7_H12_ / D6_H1_K9_H4_I11_F3_E12_ / I6_C10_ / C5_ /
C6_G1_D2_A12_J4_ / C2_F10_I2_A5_ / G6_K8_C11_E6_I3_F9_ / ?
J7_E4_C7_ / E2_D3_K3_J9_F12_B3_A11_?

LAUREACI Z NR. 48

KRZYŻÓWKA:

Kazimierz Biliński, Mieszkowice;
Monika Pszczolek, Kraków;
Wiesław Pyżewicz, Zielona Góra;
Danuta Stocka, Wrocław;
Jakub Zawadzki, Łódź

JOLKA:

Grażyna Kowalska, Kraków;
Aleksandra Pietkiewicz, Bydgoszcz;
Renata Wapińska, Warszawa;
Janusz Wojna, Dębica;
Wanda Woźniak, Dzierżoniów

AVATAR, PANTOMIMA PACYFISTYCZNA Z VERY HAPPY ENDEM

WYSTĘPUJĄ:

JAMES CAMERON

– jako czterometrowy, niepokalany moralnie Na'vi

BARACK OBAMA

– jako średniego wzrostu skarłaly etycznie prezydent i laureat

J. C.: { wielką niebieską łapą oskarżycielsko wskazuje w kierunku }
Baracka Obamy
B. O.: { wytrzeszcza oczy, rumieni się, po czym błyskawicznie oddaje }
{ Nagrodę Nobla i czym prędzej wycofuje wojska z Iraku }

KURTYNA zapada w trybie urzędowym

Czy żyjemy w czasach publicznych? Zamiast dóbr publicznych mamy enklawy dóbr, getta zamożności, zagrodzoną własność

ROMAN KURKIEWICZ

KONIEC Z ILUZJĄ PODSUMOWAŃ.
Dość list przebojów, pakietów
najlepszych książek, wykazu naj-
durniejszych polityków, list głu-
pich filmów, wyliczenia skretynia-
nych ustaw, osiągnięć debilnych
gwiazd. Żadnych typowań i prze-
widowań, ani śladu jakichkol-
wiek wieszczów i wiążących prze-
glądów nieważnych spraw, nie-
istniejących problemów, wydu-
manych pytań, iluzorycznych do-
ciekań, pozornych zagadek i nie-
pozornych kwestii fundamental-
nych. Żadnego podliczania nie-
podliczalnego, żadnego sumowa-
nia wielkości niesumowalnych,
żadnych bilansów, żadnych pod-
liczeń, wyróżnień, porównań. Wy-
liczanie jest dzisiaj służą kupowa-
nia, handlowania, zarabiania, wy-
ciskania siódmych potów, nieza-
ważnego zzebraczenia w pejza-
żu bogactwa.

Publiczne przestaje być zbyt
wiele z tego, co publicznym być
powinno. Jawne, dostępne, dla
wszystkich. Zamiast dóbr publicz-
nych (a bynajmniej nie zaliczają
się do nich domy publiczne) ma-
my enklawy dóbr, getta zamoż-
ności, oparkowaną, zagrodzoną
własność. Mamy bogą posiadania
(święte prawo własności), mamy
pochwałę majętności.

Warto mówić o 1 stycznia każ-
dego roku nie z powodu wynale-
żenia cudownego środka na kaca
czy tym podobnych pierdół, tylko
dlatego, że to święto innego myś-
lenia, Dzień Domeny Publicznej
(<http://koed.org.pl/dzien-domeny-publicznej/materialy/>).

Jarosław Lipszyc z Koalicji
Otwartej Edukacji pisze: „Co roku
1 stycznia na całym świecie otwie-
ra się dostęp do nowych zasobów,
które przestały podlegać prawu
autorskiemu i przeszły do dome-
ny publicznej. Obecnie obowiąz-
ujący w Polsce okres trwania praw
autorskich to 70 lat po śmierci
autora. To oznacza, że 1 stycznia
2010 roku (bo prawa wygasają
ze skutkiem na koniec roku kalen-
daryzowego) do domeny publicznej

przejdą utwory twórców zmarłych
w roku 1939. Wśród nich znajdują
się utwory Witkacego, Dmowskiego,
Czechowicza, Estreichera, Dołęgi-
-Mostowicza i tysięcy innych mniej
i bardziej znanych twórców. Od te-
go momentu będą one mogły być
swobodnie wykorzystywane przez
scenarzystów, którzy na ich pod-
stawie chcieliby pisać scenariusze
filmowe, przez artystów grafików,
którzy tworzą kolaże, przez twór-
ców filmów dokumentalnych, któ-
rzy chcieliby wykorzystywać mate-
riały archiwalne, przez historyków
i nauczycieli, którzy chcą tworzyć
podręczniki”.

Obszerną listę autorów, których
zmarli w 1939 roku i których dzieła
przechodzą do domeny publicznej,
można znaleźć na: http://koed.org.pl/wp-content/uploads/2009/09/dp_autorzy_19391.pdf. Domena pu-
bliczna wymaga naszej żarliwo-
ści. Trzeba o nią walczyć. Bo nie
wszystko jest na sprzedaż.

Na koniec wiersz, już z dome-
ny publicznej, Williama Butlera
Yeatsa „Wielki dzień”:

Hurra rewolucjo! Hurra wszystkie
salwy!
Żebraka idącego żebrak z konia
batem wali.
Hurra rewolucjo! Hurra
– znów wystrzały!
Żebracy się zamienili, a bat
niezmiennie rani.

Dobrego roku
dwadzieścia dziesięć!





MYŚLNIK

Ewolucja nas ucłowieczyła, rewolucje – zezwierzęcają.

Krzysztof Bilica

KRZYŻÓWKA NR 1



Litery z oznaczonych pól czytane poziomo utworzą wyraz-rozwiązanie.

POZIOMO:

4. ZAKŁADANY NA JEDNO KOPYTO
5. TAM SPRZEDAJE DILER
7. OGLĄDA SIĘ ZA LASKAMI
8. GÓWNIANE LINIE LOTNICZE
9. ŚLUB BEZ WESELA
12. OSTATNIA ŁADA RATUNKU
16. BUDA ASA
17. O PORZE
18. WIELOKROPEK
19. PRAŻY SIĘ W SPODNIACH

PIONOWO:

1. UKOCHANE DZIECKO DOBROCYŃSKICH
2. DO ROBIENIA ZAPASÓW
3. PARA RĄK
5. KRÓLICZEK PLAYBOYA
6. PRZED UNIWERSYTETEM IM. MIKOŁAJA KOPERNIKA
10. NA BANK SIĘ UPIJESZ
11. PSI PSI-PSI
13. ZAKONNIK POŁOWY
14. PLAC NA SPRZEDAŻ
15. SŁODKI WALCZYK

Sponsorem nagród do jolki i krzyżówki jest stereo.pl – www.stereo.pl



Wygraj jedną z 10 płyt Macieja Maleńczuka „Psycho Dancing”. Rozwiąż krzyżówkę lub jolkę i prześlij do nas hasło. Wyślij SMS o treści PRZEKROJ.HASLO JOLKI lub PRZEKROJ.HASLO KRZYŻÓWKI na numer 7243. Rozwiązania możesz także przysłać na kartce pocztowej (decyduje data stempla) na adres: „Przekrój”, ul. Nowogrodzka 47 A, 00-695 Warszawa z dopiskiem: „jolka 1” lub „krzyżówka 1”. Na prawidłowe rozwiązania czekamy do 11 stycznia 2010. Koszt SMS-a: 2 zł netto/2,44 zł brutto. Rozwiązania jolki oraz krzyżówki z nr. 50 szukaj na przekroj.pl.

Dane osobowe uczestników konkursu w zakresie: imię i nazwisko, adres zamieszkania, numer telefonu stacjonarnego lub komórkowego, będą przetwarzane przez organizatora konkursu, tj. Wydawnictwo Przekrój sp. z o.o. z siedzibą w Warszawie przy ul. Nowogrodzkiej 47 A, w celu realizacji umowy przystąpienia do konkursu i jego prawidłowego przeprowadzenia lub marketingu własnych produktów bądź usług organizatora konkursu. Gwarantujemy prawo wglądu do swoich danych osobowych oraz ich poprawiania, jak również żądania zaprzestania ich przetwarzania. Podanie danych jest dobrowolne. Dane osobowe nie będą udostępniane innym podmiotom. Regulamin konkursu został wyłożony do wglądu w siedzibie organizatora konkursu.



OLA SALWA

Zamotaj się

Tuba na mróz, deszcz i upał

OTO TEKSTYLNA ODPOWIEDŹ NA ROZWÓJ TRENDU DIY (zrób to sam) oraz na regres gospodarki. Kawalek płótna, który w zależności od pomysłu, figury i liczby posiadanych pasków, agrafek lub broszek może być sukienką z amerykańskim dekoltem, tuniką, szalem, spódnicą. To latem. Zimą można taką tubą szczelnie owinać szyję, a gdy pada śnieg, założyć jej część także na głowę. Połączona z owczymi buciorami (Ugg/Emu/anonimowe podróby) i waciakiem sprawi, że będziesz wyglądać jak baba z Syberii. Założona tak samo, ale do eleganckiej jesionki i czółenek, wywoła skojarzenia z gwiazdami kina lat 50. Dwa wyjścia, dwie – przepraszam za to okropne słowo – stylizacje. Wszechstronność i pomysłowość są przecież dziś dalece bardziej przydatne niż deklinacja, myślenie przestrzenne oraz setka innych umiejętności wywiczonych w szkole.



Oto propozycja na deszcz albo prażące słońce. Do zdjęć pozuje tuba Ani Kuczyńskiej i pasek Ani Grzywacz, której dziękujemy za wszystko

Szal lub nosidło dla dziecka. Ewentualnie dla małego pieska



Tunika na imprezę lub nawet do pracy. Pod warunkiem że masz wolny zawód i wolną agrafkę

FOT. IMAGESTATE/BEW, LIBRARY OF CONGRESS



KUBA DĄBROWSKI

Błada twarz patrzy

Pod pozorem antropologicznego projektu Edward Curtis fotografuje Indian z książki o Indianach

MEATTLE, ROK 1895. EDWARD SHERIFF CURTIS PROWADZI małe studio fotograficzne. Pewnego dnia na ulicy spotyka sześćdziesięciokilkuletnią ubogą kobietę w indiańskim stroju, z pooraną zmarszczkami twarzą i uznaje, że to fascynująca kandydatka na piękny portret. Za pozowanie płaci jej dolara. Okazuje się, że modelka to „Księżniczka Andżelina”, córka legendarnego wodza Seattle (od niego pochodzi nazwa miasta). Portret faktycznie wychodzi pięknie, Curtis w ramach „pracy własnej” zaczyna fotografować mieszkających w okolicy Indian. Zdjęcia wysyła na konkursy, zdobywa dzięki nim środowiskowy rozgłos.

Trzy lata później, w czasie jednej ze swoich peizażowych wypraw do parku narodowego Rainier Curtis przypadkiem poznaje przyrodnika, odkrywcę i badacza amerykańskich „kultur prymitywnych” George’a Grinnella. Korzystając z okazji, pokazuje im portfolio swoich indiańskich portretów. Będący pod wrażeniem naukowcy zapraszają fotografa na finansowaną przez magnata kolejowego Edwarda Harrimana pionierską wyprawę badawczą na Alaskę. Curtis godzi się bez wahania. Ma dokumentować to, co naukowcy będą obserwować.

Pracując w towarzystwie antropologów, fotograf dowiadywał się wiele o sytuacji Indian. Okazuje się, że zamknięcie plemion w rezerwach przyniosło opłakane skutki. Stare, związane z rytmem przyrody zwyczaje straciły pierwotny sens. Indianie ścinają swoje długie włosy, wigwamy zamieniają na drewniane domy, a skórzane ubrania na garnitury. Prastara kultura umiera.

Z wyprawy Curtis wraca jako inny człowiek. Prowadzenie studia spada na żonę, on postanawia się poświęcić i stworzyć monumentalne dzieło dokumentujące odchodzącą w niebyt kulturę Indian. Znajduje sponsora w osobie bankiera J.P. Morgana i wyrusza w pięcioletnią podróż po rezerwach. Niestety, wspaniały dziki świat, który pragnie fotografować, w zasadzie już nie istnieje. Curtis podrasowuje więc rzeczywistość. Przebiera Indian w stroje „z epoki”, namawia ich do odtwarzania kulturowanych przez nich obyczajów, retuszuje z kadrów przedmioty, których nie powinno w świecie Indian być, na przykład zegarki. Jego praca nie jest etnograficznym zapisem, lecz raczej wcieleniem w życie ukształtowanych przez książki przyrodnicze wyobrażeń typowej białej twarzy.



Curtis robi ponad 40 tysięcy zdjęć, 1500 z nich publikuje w 20-tomowym wydawnictwie „The North American Indian”. Archiwum negatywów skupują Biblioteka Kongresu i etnograficzne muzea z całego kraju. Fotograf przeprowadza się do Hollywood, zaczyna kręcić filmy przyrodnicze



Polityka nie ciekawiła mnie prawie wcale, Cracovia wygrała cztery mecze z rzędu, w tym jeden z Wisłą – o Boże, jak się wtedy żyć chciało! – setki, a może i tysiące mniej lub bardziej godnych odnotowania rzeczy się wydarzyło, a ja w tej lawinie, a może z dala od tej lawiny, niezauważalnie rozstałem się z P.B.

JERZY PILCH

GRUDZIEŃ 2009

W WISŁĘ JAK PAN BÓG PRZYKAZAŁ: MINUS CZTERNAŚCIE STOPNI mrozu plus czternaście centymetrów śniegu. Można powiedzieć: zatrważająca luterska równowaga. W dzisiejszych czasach mało co poza meteorologią Panu Bogu zostało. Ileż ja się nasłuchałem tutejszych opowieści o ulewach, cudownie zatrzymanych tuż przed początkiem nabożeństwa na wolnym powietrzu, albo o gradobiciu, które czekało, aż ostatni wierny wejdzie do kościoła, albo o śnieżcach, które wszystko z wyjątkiem naszych ścieżek zasypały. Dzieśiątki przypowieści, osobne ewangelie, bezlik apokryfów. Protestanckich ma się rozumieć, one Panu specjalnie miłe. Braci katolików On też wysłuchuje, ale mniej uważnie. Nawet jak na najwyższym szczeblu modły o deszcz czy choćby o orzeźwiająca mżawkę wznoszą.

Nie zaczynam od pogody, zaczynam od Pana Boga, a jak od pogody, to z powodów teologicznych. W minionym roku od Narodzenia Chrystusa Dwa Tysiące i Dziewiątym utraciłem wiarę. Jeszcze parę innych rzeczy godnych, a nawet godniejszych uwagi się zdarzyło: umarł Leszek Kołakowski, zgasła gwiazda Leo Beenhakera, do poezji wrócił Janek Polkowski, kolejny raz przeczytałem „Sklepy cynamonowe”, „Bouvarda i Pécucheta”, „Śmierć Iwana Illicza” i parę innych książek. Do bezliku dawno przeczytanych raz po raz zaglądałem, by rytualnie skonstatować, że nic a nic nie pamiętam nawet z najważniejszych. Kupiłem sporo nowych i niektóre stare. I zawsze wybierałem tomy grube, a nawet opasłe.

W zdziczałych sopockich ogrodach karmiliśmy zaprzyjaźnioną sforę kotów, upadła gazeta, w której pisałem felitony; prawa ręka zaczęła wieść kompletnie samodzielne życie, mimo to, a może nawet z większą dokładnością ułożyłem grubo ponad setkę stron nowej prozy. Parę razy lądowałem w Krakowie, dwie-trzy podróże były zupełnie fantastyczne; poza Bachem nie słuchałem żadnej muzyki (dopiero koło samego Bożego Narodzenia, zwabiony udziałem Magdaleny Kożeny, puściłem parę razy „Czech Christmas Mass” Jana Jakuba Ryby – kompozytora, o którego istnieniu nie miałem, rzecz jasna, zielonego pojęcia i którego okolicznościowa prostota spasowała mi na święta, inna rzecz: z tych samych, czyli kolędowych, względów ten właśnie zachwyt nie bardzo się liczy).

Parę kryzysów miałem solidnych, euforii mniej, ale były; w sumie pół biedy, i tak w zasadzie jest już po zawodach. Z każdym otoczeniem, w którym byłem, czyli najczęściej z samym sobą, toczyłem zajadłą walkę, by do szesnastej mieć święty spokój – udawało się rzadko – najwyraźniej jako taki słabną, jako swój wróg krzepną. Polityka nie ciekawiła mnie prawie wcale, Cracovia wygrała cztery mecze z rzędu, w tym jeden z Wisłą – o Boże, jak się wtedy żyć chciało! – setki, a może i tysiące mniej lub bardziej godnych odnotowania rzeczy się wydarzyło, a ja w tej lawinie, a może z dala od tej lawiny, niezauważalnie rozstałem się z P.B.

Nawet nie umiem powiedzieć, czy oko opatrności – co od początku mi się przyglądało – zamknęło się nagle; czy powieka została opuszczona, czy przez dziesięciolecie sprawiająca najrealniejsze w świecie wrażenie fatamorgana tego oka pierzchła wreszcie; czy na tyle dorosłem, by wiadoma baśń przestała przekonywać, czy limit czasu, jaki mi dał Wiekuisty, bym weń wierzył, wyczerpał się na jednym z ostatnich zakrętów, czy ubocznym skutkiem trawiących mnie dolegliwości jest fideistyczna zartata? Czy co? I jak?

Nie wiem, którego dnia to się zdarzyło ani o której godzinie;



porę roku określam z trudem. Jeszcze na wiosnę było jako tako, ale latem, o jesieni nie wspominając, fiasko zupełne.

Jednego upalnego i zupełnie zachwycającego dnia siedzieliśmy w Łoży, przed nami tętnił swoim niepojętym rytmem rynek – krakowski rynek w czerwcu

– osobna piosenka. Było harmonijnie jak nigdy – wszystko w duszy, w sercu, w rozumie, a nawet – nie uwierzcie – w świecie zewnętrznym miałem poukładane jak się patrzy, niczego się nie bałem. Nawet prawa ręka na blacie stolika była spokojna, czy może skutecznie pozorowała spokój, i nagle nienowa, ale tym razem przeraźliwa jak tytanowe ostrze myśl: Wszystko trzeba zostawić. Prędzej czy później, ale nawet jak później, to i tak lada chwila. Czas terazniejszy przestał istnieć, przyszły sypie się jak piach z wykołajonego wagonu, o przeszłości szkoda gadać – co z tego, że mam ją w głowie. Dziesięć, dwadzieścia, a może i trzydzieści lat? One już minęły. Nawet w ekspansywnie optymistycznej wersji. Nieśmiertelna linijka Bronka Maja: „Twój czas minął – już jesteś”. Jeszcze jestem? I to nie. Dziś już jestem w dniu jutrzejszym, który przelatuje jak pojutrze. Jadę ekspresem do Warszawy i zarazem siedzę w powrotnym InterCity, wstanę, zanim legnę, zamknę, zanim otworzę, wyjmę, zanim włożę, w kwietniu wigilia za pasem. Rynek zanurzony w masach upalnego powietrza, nad nimi olbrzymi kryształ mrozu, nie wisi, już spada, zanim na dobre spadnie – prawie całkiem stopnieje – z tego mam się cieszyć? No wala! Lada chwila trzeba krakowski rynek zostawić, istniał on będzie dalej, i to podobno miliardy lat – nie przesadzałbym z ekstazą, przeleciał jak wszystko – istniał będzie ten największy plac Europy – ale nie moim już spojrzeniem omiatany – i nawet z osobliwą pieczołowitością rozwijane przeświadczenie, że wszyscy, co teraz przez ten rynek idą, wszyscy łącznie z końmi, psami i niemowlętami też umrą i też przestaną się gapić, nie przynosi ulgi, a jak przynosi, to marną.

MAGAZYN LUDZI WYJĄTKOWYCH



W styczniowym numerze między innymi:

- Tymon Tymański – artysta w mentalnym szpagacie.
- Jan Nowicki: Starość jest fajna.
- Emmanuelle Seigner - Ile poświęci dla Polańskiego?

SIĘGNIJ PO **SUKCES**

W KARNAWALE PRZENIEŚ SWÓJ BIZNES DO ERY

Podane ceny nie zawierają VAT.



SONY ERICSSON W995

1 zł

- HSPA/UMTS/EDGE/WLAN
- GPS Z APLIKACJĄ NAVIEXPERT
- KARTA PAMIĘCI 8 GB
- blueconnect

*Teraz
dodatkowo
internet
stacjonarny
za 1 zł*

**Ty też w karnawale przenieś swój biznes do Ery
i skorzystaj z noworocznej oferty!**

Tylko do końca karnawału:

- rozmawiasz ze wszystkimi w Erze za 0 zł bez dodatkowych opłat nawet przez 2 lata
- po okresie promocyjnym abonament za usługę to jedynie 5 zł miesięcznie, a rozmowy nadal za 0 zł
- multimedialny telefon Sony Ericsson W995 – już od złotych

Wszystkie formalności związane z przeniesieniem numeru załatwimy za Ciebie.
Zapraszamy do punktów sprzedaży sieci Era.

Szczegóły na www.era.pl/biznes lub pod numerem telefonu 602 900 000.



BIZNES